

Howard Robert

Conan władca miasta



calibre 0.9.27

JACK PETERS

CONAN WŁADCA MIASTA

TYTUŁ ORYGINAŁU: THREE-BLADED DOOM

PRZEKŁAD GRZEGORZ RUKAT

ROZDZIAŁ 1

OSTRZE W CIEMNOŚCI

Gdy minął ciemne przejście, usłyszał za plecami szybkie, stłumione kroki. To ostrzegło

Conana. Obrócił się z kocią szybkością i zobaczył pod łukowatym sklepieniem wysoką postać

zadającą mu potężny cios. Na wąskiej, przypominającej zaułek, ulicy, było ciemno, ale Conan

dostrzegł dziką, brodatą twarz oraz błysk stali w uniesionej dłoni. Zobaczył to, próbując jednocześnie skrętem całego ciała, uniknąć śmiertelnego uderzenia. Nóż rozerwał mu koszulę.

Nim napastnik odzyskał równowagę Cymeryjczyk chwycił jego ramię i trzasnął napastnika w

twarz, mocno zaciśniętą pięścią. Mężczyzna padł na ziemię bez słowa.

Conan stanął nad nim, nasłuchując w napięciu. W górze ulicy, za najbliższym rogiem,

usłyszał kroki kogoś w sandałach, oraz stłumione, stalowe pobrzękiwania.

Powiedzieli mu, że

ulice Khorshemish w nocy będą śmiertelną pułapką dla mającego tu wielu

wrogów Conana.

Zawahał się, na wpół wyjmując z pochwy wielki, obosieczny miecz, potem
wzruszył

ramionami i pośpieszył w dół ulicy, omijając z daleka ciemne, sklepione
łukami przejścia,

pojawiające się w ścianach budynków, wyznaczających ulicę. Skręcił w inną,
szerszą ulicę i

w kilka chwil później stuknął delikatnie do drzwi, nad którymi płonęła oliwna
lampa.

Drzwi otwarto prawie natychmiast i Conan szybko wkroczył do środka.

— Zamknij drzwi!

Wysoki, zarośnięty Kothyjczyk, który wpuścił Cymeryjczyka, zatrzasnął ciężki
rygiel i

odwrócił się. Zaniepokojony szarpał swoją brodę badając wzrokiem
przyjaciela.

— Twoja koszula jest rozcięta, Conanie! — zagrzemiał.

— Jakiś człowiek próbował pchnąć mnie nożem — odpowiedział Conan. —

Inni mnie

śledzili.

Dziki oczy Kothyjczyka rozbłysły, a jego muskularna ręka spoczęła na
rękojeści miecza

wiszącego przy jego biodrze. Miecz miał około metra długości, lecz nie
dorównywał

mieczowi, który wisiał a boku Conana.

— Pozwól nam wyruszyć i uśmiercić te psy! — nalegał.

Conan potrząsnął głową. Był wysokim, wspaniale zbudowanym mężczyzną i jego

powierzchność wywoływała głębokie wrażenie. Potężna klatka piersiowa, pokryty

węzłami mięśni kark i szerokie ramiona przedstawiały obraz prawie pierwotnej siły i

wytrzymałości. Poza tym, poruszał się z miękkością i swobodą, która zdradzała możliwość

błyskawicznego działania.

— Niech odejdą. Są wrogami Akariona, którzy wiedzieli, że pójdę do króla dziś w nocy,

by prosić go o łaskę dla niego.

— A co powiedział król?

— Jest zdecydowany zniszczyć Akariona. Nieprzyjaciele Serotańczyka zatruli umysł króla

przeciwko niemu, a Akarion jest nieustępliwy. Odmówił powrotu do

Khorshemish i odparcia

oskarżenia o bunt. Król przysięga, że wyruszy w przeciągu tygodnia, zrówna

Khroszę z

ziemią i zdobędzie głowę Akariona, jeśli on z własnej woli nie przybędzie i nie podda się.

Wrogowie Akariona nie chcą jego przyjazdu. Wiedzą, że oskarżenia, które rzucili, nie

utrzymaj się, jeśli ja będę go bronił. To dlatego próbują osunąć mnie z drogi.

Nie ośmielają

się jednak uderzyć otwarcie. Chcę się przekonać, czy zdołam nakłonić

Akariona, by przybył i

poddał się,

— Tego Wódz Khroshy nigdy nie zrobi — powiedział Kothyjczyk.

— Prawdopodobnie nie, ale mam zamiar spróbować. Akarion jest moim

przyjacielem.

Obudź Medasha i przygotuj konie, ja tymczasem spakuję rzeczy. Natychmiast

ruszamy do

Khroshy.

Kothyjczyk ani słowem nie sprzeciwił się nocnej podróży przez Wzgórza i nie

wspomnił

o późnej porze. Mężczyźni towarzyszący Conanowi przywykli do trudnych

wypraw i

niehumanicznych godzin.

— A Slikh? — spytał przed odejściem.

— Zostaje w pałacu. Król ufa Slikhowi bardziej niż własnym strażnikom i

pragnie

zatrzymać go jakiś czas, jako straż przyboczną. Jest niespokojny odtąd

Imperator Brythunii

został zamordowany przez tego fanatyka Gastona. Wrogowie Akariona

prawdopodobnie

obserwują dom, ale nie wiedzą o drzwiach, które prowadzą do zaułku za

stajniami.

Wymkniemy się tamtędy.

Potężny Kothyjczyk wkroczył do wewnętrznej komnaty i potrzęsął

mężczyznę śpiącym

tu na stercie futer.

— Obudź się, synu diabła. Ruszamy na wschód.

Medash, krępy Zamorańczyk, usiadł ziewając.

— Gdzie?

— Do miasta Serotańczyków, do Khroshy, gdzie ten zbuntowany pies Akarion

bez

wątpienia wyrwie nam wszystkim nasze serca — warknął Yarali Nakh.

Medash wstając z łóżka uśmiechał się szeroko.

— Nie kochasz Serotańczyka, ale on jest przyjacielem Conana.

Yarali Nakh rzucił gniewne spojrzenie i zamruczał coś pod nosem wychodząc

z godnością

na wewnętrzny dziedziniec. Skierował się ku stajni. Stajnia stała za wysokim

ogrodzeniem i

nikt poza ludźmi Conana nie wiedział, że ukryte drzwi łączą ją z aleją na

tyłach. Dlatego

wszystkie cienie, które czaiły się przy jego domu tej nocy, obserwowały inne

fragmenty

posiadłości w czasie, gdy mała grupa oddalała się ukradkiem ciemną aleją. W

pół godziny od

momentu, gdy Conan zapukał do drzwi swojego domu, stukot kopyt na

skalistej drodze poza

miastem dał świadectwo, że trzech mężczyzn pojechało szybko na wschód.

Tymczasem w pałacu, kothyjski król doświadczał niepokoju; jakie

nawiedzają wszystkie

koronowane głowy.

Wyłonił się z wewnętrznej komnaty z wyrazem z troskania na twarzy i

automatycznie

pozdrowił wspaniale zbudowanego Slikha, który wyprężył się w pełnej

gotowości postawie.

Król skręcił w korytarz, dając znak ręką, że chce być sam. Slikh poklonił się i

cofnął zajmując

z powrotem swoje stanowisko przy drzwiach, nieświadomie pieszcząc pokrytą

skórą rekina

rękojeść swojej długiej szabli.

Jego ciemne oczy podążały za królem idącym wzdłuż korytarza. Wiedział, że

jego

przyjaciel Conan miał prywatne trwające kilka godzin, spotkanie z królem, z

którego wyszedł

z gwałtownością świadcząca o irytacji.

Spotkanie to było obecne również w umyśle króla, gdy wkroczył do ogromnej

oświetlanej

pochoźniami komnaty i podszedł do okratowanego złotem okna, które

wychodziło na śpiące

miasto. Rozmowa stała się pierwszą rysą w jego stosunkach z

Cymeryjczykiem, który grał

rolę nieoficjalnego doradcy, wywiadowcy i najemnego żołnierza. Otoczony

przez potężne

narody, które używały jego górzystego królestwa jako pionka w swych grach o

imperium,

król silnie polegał na awanturniku z Pomocy, który udowodnił swoją

niezawodność mnóstwo

razy.

Władca zmarszczył brwi, był wzburzony, spoglądał jałowo na kotarę

osłaniającą alkowę,

której zachowanie wskazywało na nasilający się wiatr, ponieważ gobelin lekko

się kołysał.

Rzucił okiem na złotem okratowane okno i zamarł. Cienkie zasłony wisiały

nieporuszone.

Jednak kotara przy alkowie ruszała się...

Król był potężnym mężczyzną, posiadającym mnóstwo osobistej odwagi.

Prawie

instynktownie skoczył, chwycił tkaninę i rozerwał ją — sztylet w ciemnej dłoni

wyprysł ze

szczeliny w materiale i uderzył go prosto w pierś: Krzyknął. Padając pociągnął

przeciwnika

ze sobą. Mężczyzna warczał jak dzika bestia, jego rozszerzone oczy błyszczały

szaleństwem.

Sztylet rozerwał królewską szatę, odsłonił kolczugę, która nie raz uratowała życie władcy.

Poza komnatą niski okrzyk odpowiedział na wołanie króla o pomoc i wzdłuż korytarza

zadudniły kroki biegnących. Władca chwycił napastnika za gardło i nadgarstek ręki, w której

był nóż, ale żyłaste mięśnie mężczyzny przypominały stalowe węzły. Gdy toczyli się po

podłodze sztylet ślizgał się na kolczudze, raniąc króla w ramię, udo i dłoń.

Morderca

przytrzymał słabnącego władcę pod sobą, chwycił go za gardło i ponownie uniósł nóż. Coś

mignęło w świetle pochodni, jak błękitna błyskawica i morderca oklapł z głową

rozszczepioną aż do szczęki.

— Wasza Wysokość, mój Panie! — Slikh pod czarną brodą był blady. — Czy zginąłeś?

Nie, ty krwawisz! Spokojnie!

Odepchnął trupa na bok i podniósł króla. Władca ciężko łapał oddech, cały był pokryty

krwią,, własną i napastnika. Opadł na dywan, a Slikh zaczął oddzierać pasma jedwabiu z

zasłon, aby opatrzyć jego rany.

— Spójrz! — sapnął król na coś wskazując. Był wściekły, dłoń mu się trzęsła. —

Nóż!

Nóż!

Sztylet leżał błyszcząc przy dłoni zabitego — dziwaczna broń z ostrzem w kształcie węża.

Slikh spojrział i zaklął pod nosem.

— Sztylet, Sztylet Węża! — wydyszał król, w którego oczach pojawił się strach.

—

Nożem tego rodzaju zabito Imperatora Brythunii i Króla Corynthii!

— Znak Ukrytych! — mruknął Slikh, niespokojnie przypatrując się

złowieszczemu

symbolowi straszliwego kultu, który w ciągu ostatnich, lat ciągle uderzał w

ludzi zajmujących

wysokie stanowiska.

W pałacu narastał hałas, ludzie biegali po korytarzach, wykrzykując pytania o

to co się

wydarzyło.

— Zamknij drzwi — zawołał król. — Wpuść tylko marszałka dworu*

— Ale potrzebujemy lekarza, Wasza Wysokość — zaprotestował Slikh. — Te

rany nie

zasklepią się same, sztylet mógł być zatruty.

— Więc wyślij kogoś po Hakima. Ukryci skazali mnie!

Król był odważnym człowiekiem, ale jego doświadczenie sprawiało, że trząsał

nim strach.

— Któż przeciwstawi się sztyletowi w ciemnościach, wężowi pod stopami,

truciźnie w

pucharze wina? — odparł Slikh.

— Slikh, idź szybko do domu Conana i powiedz mu, że rozpaczliwie go
potrzebuję!

Sprowadź go do mnie! Jeśli jest ktoś w Koth, kto może mnie ochronić przed
tymi ukrytymi
diablami, to tylko on!

Slikh uklonił się i pośpiesznie opuścił komnatę. Potrząsał z niedowierzaniem
głową,

wspominając strach na obliczu, na którym strach nigdy nie gościł.

Istniał powód przerażenia króla. Obcy i straszliwy kult zrodził się na ziemi.

Kim oni byli,

jaki był ich ostateczny cel, nikt nie wiedział. Nazwano ich Ukryci. Zabijali
nożami o kształcie

wijącego się węża,; wykonanych ze złota, często zatrutych ostrzach. To

wszystko co o nich

wiedziano. Ich agenci pojawiali się nagle, uderzali i znikali, albo ginęli nie

dając się wziąć

żywcem. Niektórzy uważali ich za zwykłych fanatyków jakiegoś kultu. Inni

wierzyli, że

działania sekty mają znaczenie polityczne. Slikh wiedział, że nawet Conan nie

miał żadnych

pewnych informacji. Ale był przeświadczony o zdolności Cymeryjczyka do

pomocy i

ochrony przed tymi przebiegłymi mordercami.

*

Trzy dni po pośpiesznym opuszczeniu Khorshemish, Conan siedział w

towarzystwie

jednego człowieka na szlaku, w miejscu, gdzie przekraczał on skalistą

krawędź i opadał ku

miastu Khroshą.

— Stoję pomiędzy tobą i śmiercią! — ostrzegł mężczyznę siedzącego

naprzeciw.

Człowiek ten pociągał w zamyśleniu swą purpurowo zabarwioną brodę. Był

potężnie

zbudowany, miał szerokie ramiona, a jego pas jeżył się ód rękojeści sztyletów.

Był to

Akarion, wódz niepokromionych Serotańczyków, oraz absolutny

zwierzchnik Khroshy i jego

trzystu dzikich wojowników.

Jednak na jego twarzy nie gościł najmniejszy cień arogancji.

— Niech bogowie cię błogosławią! Jednak któż może uniknąć swego

przeznaczenia?

— Proponuję ci sposób osiągnięcia pokoju z królem:

Akarion potrząsnął głową z fatalizmem charakterystycznym dla jego

plemienia.

— Mam zbyt wielu wrogów na dworze królewskim. Gdybym udał się do

Khorshemish,

król dalby wiarę ich kłamstwom. Przywiązałby mnie do słupa na stosie, albo

powiesił w

żelaznej klatce, jako pokarm dla sępów. Nie, nie pojedę!

— Więc weź swoich ludzi i znajdź inną siedzibę. Są miejsca na tych wzgórzach,

gdzie

nawet król nie podąży za tobą.

Akarion spojrzał w dół, wzdłuż stoku, na grupę wież z kamienia, które

górowały ponad

otaczającym osiedle murem z tego samego materiału. Jego cienkie nozdrza

rozszerzyły, się, a

w oczach rozbłysł ciemny płomień, jak u orla, który ogląda własne gniazdo.

— Nie, na Croma! Mój klan posiada Khroshę od czasów Akara. Niech król

rządzi w

Khorshemish. Tu jestem u siebie!

— Król tak samo włada Khroshą — stwierdził przybyły Yarali Nakh,

kucnąwszy za

Conanem wraz z Medashem.

Akarion spojrzał w przeciwnym kierunku, gdzie szlak na wschodzie znikał

pomiędzy

sterczącymi skałami. Na skałach kawałki białego materiału powiewały na

gwałtownym

wietrze. Obserwujący to wiedzieli, że jest to odzież żołnierzy, którzy strzegli

przejścia dzień i

noc.

— Niech przybędzie — powiedział Akarion ponuro. — Utrzymamy miasto.

— Sprowadzi pięć tysięcy ludzi, z wieżami oblężniczymi — ostrzegł Conan. —

Spali

Khroszę i zabierze twoją głowę do Khorshemish.

— Wiem o tym — zgodził się Akarion spokojnie, niezłomnie i z przekonaniem,

że takie

jest przeznaczenie.

Conan, jak to często w przeszłości, zdusił narastającą złość. Każdy instykt

jego zawziętej

natury, przeciwstawiał się tej filozofii obojętności. W tym momencie sytuacja

przypominała

impas, nie odrzekł więc nic, tylko siedział patrząc na skały na zachodzie, nad

którymi wisiało

słońce, kula ognia na ostrym wietrznym błękanie.

Akarion przyjmując milczenie Conana za uznanie porażki, oddalił problem

niedbałym

machnięciem ręki.

— Conanie — powiedział — jest coś co pragnę ci pokazać. Tam na dole, przy tej

zrujnowanej chacie, która stoi poza murem miasta, leży martwy mężczyzna,

jakiego nigdy nie

widziałem ani ja ani nikt z Khrosy. Nawet po śmierci wygląda obco i

straszenie; myślę, że nie

jest w ogóle człowiekiem, ale

Ostry, dźwięk okrzyku rozległ się echem pomiędzy skałami na zachodzie i

natychmiast

wszyscy czterej mężczyźni, zerwali się na równe nogi, patrząc w tamtą stronę.

Wiatr przyniósł odgłosy pełnych złości wrzasków. Później na urwisku

pojawiła się jakaś

postać, skacząca zręcznie z występu na występ. Mężczyzna tańczył jak górski

diabeł

wymachując włócznią; jego postrzępiony płaszcz trzepotał na wietrze.

— Ohai, Akaronie! — wrzeszczał walcząc z porywami wiatru. — Jakiś człowiek

podający

się za Slikha, na ochwaconym koniu czeka za przełęczą. Żąda rozmowy z

Conanem!

— Slikh! — sapnął Conan, sztywniejąc. — Wpuść go natychmiast!

Akarion potwierdził rozkaz rykiem, który zawibrował w powietrzu pomiędzy

urwiskami, a

wartownik wspiał się z powrotem po występach. Niebawem na przełęczy

pojawił się jeździec.

Koń sprawiał wrażenie, że padnie po każdym następnym kroku. Łeb miał

opuszczony, a skórę

pokrytą pianą i potem.

— Slikh! — wykrzyknął Conan.

— Na Croma! — Slikh z grymasem na twarzy zsunął się sztywno na ziemię. —

Słusznie

zwą cię Amra — Lew Pustyni! Nie wydaje mi się abyś miał więcej niż godzinę

przewagi

nade mną, gdy przejeżdżałem wrota Khorshemish, ale mimo moich wysiłków,

zmiany

świeżych koni w każdej napotkanej wiosce, przez trzy dni nie mogłem cię

dogonić.

— Twe wieści muszą być pilne, Slikhu.

— Są, Conanie — zapewnił Slikh. — Król wysłał mnie za tobą z prośbą, o twój

natychmiastowy powrót do Khorshemish. Sztylet Węża uderzył w króla!

Silne ciało Conana stężało jak ciało pantery wietrzącej niebezpieczeństwo.

— Opowiedz mi o tym — zażądał, a Slikh w kilku zwięzłych słowach

opowiedział o ataku

na króla.

— W twojej kwaterze dowiedziałem się, że wyruszyłeś do Khroshy —

powiedział Slikh.

— Wróciłem do pałacu i król pchnął mnie w pościg za tobą. Kazał cię

sprowadzić. Cierpiał

od ran i prawie umierał z przerażenia.

— Czy powiedział coś o wyprawę, jaką planował poprowadzić przeciwko

Khroshy? —

spytał Conan.

— Nie. Ale myślę, że nie opuści pałacu aż do twojego powrotu. A na pewno nie

do chwili,

kiedy jego rany wygoją się, jeśli nie umrze od trucizny, którą pomazano ostrze

sztyletu.

— Otrzymałeś od Przeznaczenia szansę — powiedział Conan do Akariona, a do

Slikha

rzekł: — Idź do miasta, zjedz i wyśpij się. Ruszamy do Khorshemish o świcie.

Gdy pięciu mężczyzn ruszyło w dół stoku, prowadząc za sobą zmęczonego,

ciężko

stającego konia, Akarion spojrzał na Conana.

— Co o tym myślisz? — spytał.

— To, że ktoś pociąga za sznurki w Aquilonii, Turanie albo w Stygii —

odpowiedział

Cymeryjczyk.

— Doprawdy? Ja uważam Ukrytych za zwykłych fanatyków.

— Obawiam się, że są czymś więcej — powiedział Conan. — Najwyraźniej jest

to tajne

stowarzyszenie, kierujące się nie znanymi nam zasadami. Zauważyłem

jednak, że każdy

władca, którego zabito czy zaatakowano był sprzymierzony lub

zaprzyjaźniony z waszym

królem. Sądzę więc, że stoi za tym, któraś z potęg. Ale co chciałeś mi pokazać?

— Zwłoki w zrujnowanej chacie — Akarion skręcił w bok i poprowadził ich ku

szopie. —

Moi wojownicy natknęli się na niego u stóp urwiska, z którego spadł lub został

zepchnięty.

Kazałem im przynieść go tutaj, ale zmarł w drodze mamrocząc w obcym

języku. Moi ludzie

bali się, że sprowadzi on przekleństwo na osadę. Uważają go za maga lub

diabła, i mają ku

temu powody, — O jeden długi dzień drogi na północ, pośród gór tak dzikich i
jałowych, że

nikt nie może tam mieszkać, leży kraj, który zwiemy Tryptysthan.

— Tryptysthan! — zawtórował Conan złowieszczco. — Po aquilońsku lub
stygijsku znaczy

to Kraina Róż, ale w języku Corinthian oznace Kraj Upiorów.

— Tak, kraj wampirów, zły obszar czarnych turni i dzikich wąwozów
unikanych przez

rozsądnych ludzi. Wydaje się niezamieszkały, jednak ludzie tam żyją. Ludzie i
demony.

Czasem ktoś umiera, albo kobieta lub dziecko znika z odosobnionego szlaku i
wtedy wiemy,

że to ich robota. Spostrzegaliśmy i podążaliśmy za niewyraźnymi postaciami
przemykającymi

nocą, ale zawsze trop urywał się na pustym urwisku, które tylko demon
mógłby przebyć.

Niekiedy słyszeliśmy głosy demona odbijające się echem pośród turni. Dźwięk
ten obraca

serca mężczyzn w lód.

Dotarli do ruin i Akarion otworzył przekrzywione drzwi. W chwilę później
pięciu

mężczyzn pochylało się nad kształtem leżącym na podłodze. Postać była obca i
absurdalna:

niski, przysadzisty mężczyzna o szerokich, kwadratowych, płaskich rysach,

koloru ciemnej

miedzi i wąskich skośnych oczach — prawdziwy demon. Krew zastygła na

gęstych, czarnych

włosach w tyle jego głowy. Nienaturalne położenie dała świadczyło o

złamanych kończynach,

— Czyż nie ma wyglądu demona? — spytał Akarion niespokojnie.

— To Quanag — odpowiedział Conan. — Są tysiące takich jak on w kraju skąd

przybył,

daleko na wschód i nie są to magowie ani demony. Ale co on tutaj robił, tego

nie umiem

zgadnąć ...

Nagle jego ciemne oczy rozbłysły, chwycił i rozdarł poplamioną krwią szatę.

Ukazała się

poplamiona, wełniana koszula i Yarali, spoglądając ponad ramieniem Conana

wydał

gwałtowny okrzyk. Na koszuli, wyhaftowany karmazynową nitką tak, że na

pierwszy rzut oka

można by go pomylić z plamą krwi, ukazał się dziwny symbol. Ludzką pięść

zaciśnięta na

rękojeści, z której wyrastało ostrze w kształcie wijącego się węża.

— Sztylet Węża — wyszeptał Akarion, cofając się na widok przerażającego

emblematu,

który stał się symbolem przepowiadania śmierci, i, destrukcji dla władców.

Wszyscy spojrzeli na Conana, ale nikt nie rzekł słowa. On patrzył w dół na

ponure godło,

próbując połączyć niejasny ciąg skojarzeń, które powstały; zamglone

wspomnienia

starożytnego kultu zła, który używał takiego samego symbolu dawno temu.

— Czy możesz rozkazać, aby twoi ludzie zaprowadzili mnie do miejsca, gdzie

znaleziono

tego człowieka, Akarionie? — spytał w końcu.

— Tak, Conanie. Ale to złe miejsce. Znajduje się w Wąwozie Demonów, blisko

granic

Tryptysthanu i...

— Dobrze. Slikh, ty i pozostali idźcie spać. Wyruszamy o świcie.

— Do Khorshemish?

— Nie. Do Tryptysthanu.

— Więc myślisz...

— Nic nie myślę; jeszcze. Wyruszamy na poszukiwanie prawdy.

ROZDZIAŁ 2

MROCZNY KRAJ

Zmierzch okrywał poszarpany horyzont, gdy pochodzący z Khroshy

przewodnik Conana

zatrzymał się. Przed nimi nierówny teren przecinał głęboki kanion, za którym

wznosił się

zakazany obszar czarnych skał i srogich urwisk. Przemiana szarych łupków,

brązowych

stoków i czerwonych głazów była nagle, jakby kanion określał wyraźny

geograficzny

dział. Za wąwozem nie, dostrzegli nic z wyjątkiem dzikiego krajobrazu,

przypominającego

rumowisko pełne zniszczonych, czarnych skał.

— Tam zaczyna się Tryptysthan — powiedział Serotańczyk. Jego jastrzębioocy

towarzysze instynktownie wydobyli noże i zazgrzytały pochwy od wyciąganych

mieczy. —

Poza tym wąwozem, Wąwozem Demonów, zaczyna się kraj przerażenia i

śmierci. Nie

pojedziemy dalej, Conanie.

Conan przytaknął, jego przenikliwe spojrzenie sprawdzało szlak, który wił się

w dół

nierównego stoku aż do kanionu. Był to zanikający ślad starożytnej drogi,

którą jechali od

wielu mil. Wyglądało jednak, że drogę używano często i to niedawno.

Serotańczyk, domyślając się jego wniosków, kiwnął głową.

— Ten szlak jest używany. Demony czarnych gór przybywają nim i odchodzą.

Ludzie,

którzy podążają za nimi, nigdy nie wracają.

Yarali Nakh szarpał wojowniczo brodę i chociaż w głębi ducha podzielał ich

przesady,

zakpił:

— Demony? Czyż demony potrzebują szlaku?

— Kiedy demony przyjmują ludzką postać, mogą chodzić jak ludzie.

Medash mruknął coś w głębi swojej gęstej brody. Slikh pozostał

niewzruszony. Jego

własna mitologia była pełna potwornych demonów, ale Slikh skąpił szacunku

zabobonom

innych ras.

— Demony latają jak nietoperze! — zapewnił Yarali Nakh. Serotańczyk

postanowił

zignorować Kothyjczyka i wskazał na omijany przez szlak, sterczący występ.

— U stóp tego stoku znaleźliśmy człowieka, którego nazwałeś Quanagiem. Bez

wątpienia

jego brat demon klócił się z nim i zepchnął go.

— Bez wątpienia popełnił błąd i stoczył się ze szlaku — mruknął Conan. —

Quangowie to

ludzie pustyni. Nie nawykli do wspinaczek, a ich nogi są wykrzywione i słabe

przez życie w

siodle. Ktoś taki mógł łatwo potknąć się na wąskim szlaku.

— Gdyby był człowiekiem, to być może tak — ustąpił Serotańczyk. — Jednak mówię ...

bogowie!

Wszyscy, z wyjątkiem Conana, drgnęli. Serotańczycy zbledli i unieśli miecze, spoglądając

jak przestraszono wilki. Spomiędzy skał na południu dotarł dziwny dźwięk o szczególnym

brzmieniu i ostrości, szorstki, przenikliwy ryk, wibrujący pomiędzy skałami.

— To głos demona! — wykrzyknął jeden z wojowników, nieświadomie szarpiąc wodze

tak silnie, że zwierze rżąc przeraźliwie cofnęło się. — Panie, w imię Vaala, bądź rozsądny!

Wracaj z nami do Khroschy!

— Jedźcie do swojej osady. Taka była umowa. Ja ruszam dalej.

— Akarion będzie Cię oplakiwał — przywódca grupy krzyknął z wyrzutem ponad

ramieniem, potem kopnął swego wierzchowca czym nakłonił go do dzikiego galopu. —

Kocha cię jak brata! W Khroschy nastanie żałoba! Aie! Ahai! Ohee!

Jego lamenty zamilkły pośród stukotu kopyt o kamienie, gdy Serotańczycy, ostro

okładający swe konie, wspinali się w górę zbocza i znikali z pola widzenia.

— Uciekajcie, synowie beznosych matek — wrzasnął Yarali Nakh, który nigdy

nie omijał

okazji, aby dać upust plemiennym uprzedzeniom i pysznić się osobistą

wyższością, —

Napiętnujemy wasze diabły i przywlecziemy za ogony do Khroshy. Zamilkł,

gdy jego ofiary

umknęły z pola słyszalności.

Conan i jego towarzysze zostali na swych rumakach sami, przy krawędzi

kanionu, patrząc

w kierunku, z którego nadleciał złowieszczy odgłos.

Medash uniósł się nerwowo w siodle, a Yarali Nakh poszarpywał obfitą brodę

i spod oka

patrzył na Conana, przypominając przestraszonego wampira z metrową

maczetą. Ale, Conan

odezwał się do Slikba.

— Czy kiedykolwiek przedtem słyszałeś podobny dźwięk?

Wysoki Slikh przytaknął.

— Tak, w górach łodzi, którzy służą diabłu.

Conan uniósł wodze bez komentarza. On także słyszał ryk trzymetrowych,

spiżowych trąb,

które grzmiały ponad nagimi, czarnymi górami odległego Quanagu, w rękach

ogolonych do

gołej skóry kapłanów Erlika.

Yarali Nakh prychnął. On nie słyszał tych trąb i jego nikt nie pytał o radę. Był

tak

wojowniczo zazdrosny o uwagę; Conana, jak ulubiony pies gończy jest
zazdrosny o swego
pana. Wepchnął swego konia przed Slikha tak, aby być przy Conanie, gdy
zjeżdżali stromymi
zbozcami w purpurowym blasku zmierzcha. Wyszczrzył zęby do Slikha,
który był zbyt
przyzwyczajony do takich przejawów niecywilizowanej pychy, aby się obrażać
i powiedział
szorstko do człowieka, którego przyjaźń cenił bardziej niż cokolwiek na
świecie:
— Teraz, gdy zostaliśmy zwabieni do tego kraju diablów, przez zdradzieckie,
serotańskie
psy, które z pewnością skradają się z tyłu i poderzną nasze gardła podczas
snu, co
zaplanowałaś dla nas?
Tak mógł warczeć stary, wierny pies na swego pana za to, że głaszcze innego
psa. Conan
pochylił głowę i splunął, aby ukryć uśmiech.
— Rozbijemy obóz dzisiaj w kanionie. Konie są zmęczone i nie ma sensu
borykać się z
tymi parowami w ciemnościach. Jutro przeprowadzimy trochę badań i mały
rekonesans. Nie
ma wątpliwości, że, Quanag należał do Ukrytych, Musiał wędrować pieszo,
kiedy spadł. —

Gdyby jechał konno, nie spadłby bez konia. Serotańczycy nie znaleźli martwego zwierzęcia, tylko martwego człowieka. Jeśli był pieszo, to jest pewne, że znajdował się blisko jakiegoś obozu czy spotkania. Quanag nie uszedłby daleko; tak naprawdę, na takim stoku nie uszedłby więcej niż paru metrów. Im więcej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że Ukryci spotykają się gdzieś w tym kraju za wąwozem. Tworzy on doskonałą kryjówkę. Wzgórza w tym szczególnym miejscu nie są gęsto zamieszkałe. Khrosha jest najbliższą osadą, a leży w odległości jednego dnia ostrej jazdy, jak się przekonaliśmy. Wędrownie klany trzymają się z dala, bojąc się Serotańczyków, a ludzie Akariona są zbyt przesądni, by przekraczać wąwóz niepotrzebnie. Ukryci, chowający się gdzieś tam, mogą poruszać się prawie niezauważeni.

Stara droga, którą jechaliśmy większość dnia, była głównym szlakiem transportowym wieki temu i ciągle jest przejezdna dla ludzi na koniach. A co ważniejsze, omija miejsca zamieszkałe i obecnie nie jest używana przez plemiona. Ludzie nim jadący mogą dotrzeć na

odległość jednego dnia drogi od Khroshy, nie obawiając się spotkania kogokolwiek.

Pamiętam, że oglądałem ten szlak na starych mapach, narysowanych na pergaminie wieki

temu. Szczerze mówiąc, nie wiem co zrobimy. Przede wszystkim będziemy mieć oczy

szeroko otwarte i czekać na rozwój wydarzeń. Nasze przeznaczenie — powie Conan bez

cynizmu — leży w rękach Croma.

— Tak być musi — zgodził się Yarali donośnie.

Gdy zjeżdżali do kanionu, spostrzegli, że szlak prowadzi w poprzek pokrytego skałami

terenu i w głąb wąskiego przepastnego wąwozu, który wpadał do kanionu z południa.

Południowa ściana kanionu była wyższa od północnej i o wiele bardziej stroma. Pięła się w

górze jak ponury wał obronny z masywnej, czarnej skały przerywanej co jakiś czas przez

wąskie, szczelinowate otwory przełomów. Conan wjechał w gardziel, w którą skręcał szlak i

podążał nim do pierwszego zakrętu, odkrywając, że zakręt jest pierwszym z szeregu pętli.

Parów biegnący pomiędzy prostopadłymi, skalnymi ścianami wił się i zakręcał, jak ślad węża,

ciemność wypełniała go po krawędzie.

— Tędy ruszymy jutro — powiedział Conan, a jego ludzie kiwnęli w milczeniu głowami,

gdy prowadził ich z powrotem do głównego kanionu, gdzie ciągle jeszcze pozostało trochę

światła. Gęstniejący mrok wyglądał upiornie. Stukot końskich kopyt wydawał się rozrywać

ponurą, okrutną ciszę.

Kilkadziesiąt metrów na zachód od parowu pochłaniającego szlak, kolejny, węższy jar

rozdzielał ściany kanionu. Jego skaliste podłoże nie wskazywało na istnienie jakiegokolwiek

drogi. Zwężał się tak gwałtownie, że Conan skłonił się ku wnioskowi o ślepym końcu.

Mniej więcej w pół drogi, pomiędzy tymi szczelinami parowów, ale bliżej pomocnej

ściany, która była w tym miejscu urwista, tryskało niewielkie źródło w naturalnej niecce, w

wyplukanej przez wieki skale.

Przy źródle, w niszy przypominającej jaskinię, rosła rzadka trawa sucha i sztywna jak drut.

Tam spętali zmęczone konie, a przy źródle rozbili obóz. Jedli, nie ryzykując rozpalenia ognia,

który mógł zostać spostrzeżony z daleka, przez wrogie oczy, chociaż zdawali

sobie sprawę, że

już mogli zostać odkryci przez ukrytych obserwatorów. Taka szansa zawsze

istnieje w

górach. Namioty zostały w Khroshy. Derki rozłożone na ziemi były i tak

luksusem dla

Conana i jego twardych towarzyszy.

Ich pozycja wydawała się strategiczna. Grupa nie mogła zostać zaatakowana z

północy z

powodu stromego urwiska; nikt nie mógł dotrzeć do koni bez przejścia przez

obóz. Conan

zabezpieczył się przed niespodziankami z południa, ze wschodu i z zachodu.

Wybrał ze swojej grupy dwóch obserwatorów. Slikha umieścił na straży

zachodniej strony

obożu, w pobliżu węższego parowu, a Medash dostał stanowisko blisko

szczeliny

wschodniego jaru, którym zgodnie z logiką, mogło nadejść

niebezpieczeństwo. Medash zajął

ten posterunek zamiast Slikha, którego przewyższał w dowolnym rodzaju

walki, ponieważ

miał zmysły odrobinę bardziej czule niż Slikh; zmysł każdego barbarzyńcy są

w naturalny

sposób bardziej wyostrzone od specjalnie wytrenowanych zdolności

cywilizowanego

człowieka.

Każda wroga banda poruszająca się w górę lub w dół kanionu, czy wylaniająca się z

każdego z jarów, musiałaby minąć któregoś ze strażników, których czujność

Conan

wypróbował wiele razy w przeszłości. Później w nocy on i Yarali Nakh zajmą ich miejsca.

Ciemność nadeszła szybko. W kanionie wydawało się, że splywa dotykalnymi falami po

czarnych stokach i sączy się z jeszcze ciemniejszych szczelin i parowów.

Gwiazdy migotały

zimne, białe i bezosobowe. Wysoko tkwiły zamyślane, wielkie i mroczne góry, okrutnej i

pierwotne. Gdy Conan zasypiał, zastanawiał się, jakich ponurych widowisk były świadkami

od początku Czasu i jakie nieludzkie istoty ukrywały się pośród nich, nim nastał człowiek.

Pierwotne instynkty drzemiące w każdym człowieku, stają się ostre jak brzytwa przez

życie w ciągłym ryzyku. Conan obudził się natychmiast, gdy Yarali Nakh go dotknął,

Cymeryjczyk wiedział, że niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu. To pełne napięcia

dotknięcie na jego ramieniu mówiło mu jasno o bliskim zagrożeniu.

Natychmiast podniósł się i ukląkł na jednym kolanie z nożem w ręku.

— O co chodzi?

Yarali Nakh kucnął przy nim, jego gigantyczne ramiona rysowały się niewyraźnie w mroku. Oczy Kothyjczyka świeciły w ciemności, jak oczy kota. Z tyłu, w cieniu urwiska, niewidoczne konie poruszały się niespokojnie. Był to jedyny dźwięk w nocnym kanionie.

— Niebezpieczeństwo! — wysyczał Kothyjczyk. — Blisko nas, pełza w ciemności!

Medash nie żyje!

— Co?

— Leży blisko skały, przy parowie, z gardłem przeciętym od ucha do ucha.

Śniłem, że

śmierć skrada się pomiędzy nami, podczas naszego snu i lęk mnie obudził.

Bez przerywania

twojego snu zakradłem się do wejścia wschodniego parowu, i oto widzę, leży

tam Medash we

krwi. Musiał umrzeć w milczeniu i nagle. Nie widziałem nikogo i nie słyszałem niczego w

parowie, który jest tak czarny jak piekło. Potem pośpieszyłem wzdłuż

południowej ściany do

zachodniego parowu i nie znalazłem nikogo! Mówię prawdę, Mitra mi

świętkiem. Medash nie

żyje, a Slikh zniknął. Diabły wzgórz zamordowały jednego, porwały drugiego

nie budząc nas,

którzy śpiemy lekko jak koty! Żaden dźwięk nie nadbiegł z parowu, przed

którym Slikh miał

posterunek. Nic nie widziałem, nic nie słyszałem, ale czulem czającą się tam

Śmierć. Śmierć

o czerwonych oczach, straszliwie głodną i o palcach ociekających krwią.

Conanie, jacy ludzie

mogli bezgłośnie poradzić sobie z takimi wojownikami, jak Slikh i Medash?

Ten wąż jest

naprawdę Wąwozem Śmierci!

Conan nie odpowiedział, tylko przykucnął wytyężając wzrok i słuch w

ciemnościach.

Jednocześnie rozważał zdumiewające zdarzenia jakie miały miejsce. Nie

przyszło mu na

myśl, żeby wątpić w historię Kothyjczyka. Mógł zaufać temu człowiekowi tak,

jak ufał

swoim oczom i uszom. To, że Yarali Nakh mógł wykraść się z obozu bez

obudzenia jego

samego nie było niespodzianką, ponieważ Kothyjczyk należał do tej rasy ludzi,

którzy

wślizgują się nago, we mgle, do strzeżonych namiotów aquilońskich żołnierzy,

aby kraść

broń. Ale to, że Medash zginął, a Slikh rozplynął się bez odgłosu walki, było

wprost

niemożliwe. Miało to diabelski posmak.

— Kto może wygrać z diabłem, Conanie? Wsiądźmy na konie i jedźmy...

— Słuchaj!

Gdzieś tam goła stopa plasnęła o skaliste podłoże, Conan wstał bacznie

wpatrując się w

mrok. W ciemnościach poza obozom poruszały się jakieś kształty. Jakieś

cienie, odcinając się

od ciemnego otoczenia, podkradały się do nich. Conan wyciągnął miecz, a nóż

wepchnął z

powrotem do pochwy. Slikh był gdzieś tam jeńcem, prawdopodobnie

znajdował się

kilkanaście metrów od nich. Yarali Nakh kucnął przy nim chwytając swój

miecz, teraz w

śmiertelnym milczeniu, podobny do wilka na polowaniu, przekonany, że stoją

w obliczu

ohydnych diabłów ciemnych gór, ale gotowy do walki z ludźmi czy duchami,

jeśli Conan

tego pragnął.

Słabo widoczne kontury powiększały się powoli, a Conan i Kothyjczyk cofnęli

się kilka

kroków, żeby mieć skalę za plecami i uchronić się przed otoczeniem przez te

widmowe

postacie.

Uderzenie było nagłe, porywiste jak wiatr, gole stopy klapiące miękko a

skaliste podłoże,

stał błyskająca w przyćmionym świetle gwiazd. Conan w ciemności widział jak

kot, a oczy

Yarali Nakha mogły należeć do kogoś urodzonego i wychowanego w

przepastnej czerni

wzgórz. Mimo to mogli dostrzec niewiele — tylko masywność swoich

napastników oraz

łśnienie stali. Uderzali i parowali ciosy instynktownie, kierując się bardziej

wyczuciem niż

wzrokiem.

Conan zabił pierwszego mężczyznę, który znalazł się w zasięgu miecza, a

Yarali Nakh

pobudzony przez świadomość, że ich wrogowie mimo wszystko są ludźmi

wydał głęboki ryk

i wpadł w szal wilczego okrucieństwa. Sam górował nad otaczającymi ich

przysadzistymi

postaciami zaś jego metrowej długości miecz wyprzedzał ostrza, które sięgały

ku niemu i ciał

głęboko. Stojąc ramię przy ramieniu, mając ścianę za plecami byli obaj

zabezpieczeni przed

atakami z tyłu i flanki. Stał dźwięczała ostro, a błękitne iskry wlatywały

oświetlając przez

chwilę dzikie brodate twarze. Wzmagały się nieprzyjemne odgłosy kramu

rzeźnickiego,

odgłosy ostrych narzędzi tnących ciało i kości. Mężczyźni krzyczeli lub

charczeli z

przeciętych gardel. Przez kilka chwil skręcony, ludzki węzeł wił się i

wykrwawiał blisko

skalnej ściany. Akcja była zbyt szybka, zaciekla i ślepa, by kierować się jakimś planem, czy z

góry przyjętą myślą. Ale przewagę mieli mężczyźni przy skale. Widzieli tyle co

i ich

przeciwnicy, ale byli silniejsi i zręczniejsi; wiedzieli również, że kiedy

uderzają, ich stal

zagłębia się tylko w ciele wroga. Atakujący mieli przewagę w swojej

liczebności i

ciemnościach, ale świadomość, że ciosem na oślep mogą zabić towarzysza

musiała studzić

ich szaleństwo.

Conan robiąc uniki przed ciosami mieczy, znalazł jeszcze czas na dokonanie

zadziwiającego odkrycia. Trzykrotnie jego ostrze zgrzytnęło o coś

ustępliwego, ale nie do

przebicia. Ci ludzie nosili kolczugi. Ciał tam, gdzie wiedział, że są nieosłonięte uda, głowy i

szyje, a mężczyźni umierając tryskali na niego krwią.

Później atak odpłynął równie nagle, jak zaistniał. Atakujący odstąpili i

rozpłynęli się, jak

fantomy w ciemności, która nie była już tak absolutna. Wschodnia krawędź

kanionu

błyszczała srebrnym ogniem wywoływanym przez wschodzący księżyc.

Yarali Nakh zaskowyczał jak wilk i splunął za niewyraźnymi, uciekającymi postaciami.

Krwawa plama pokrywała jego brodę. Potknął się o jakieś ciało, ciął mieczem dziko w dół nie

uświadamiając sobie, że to trup. Wtedy Conan chwycił jego rękę, szarpnął mocno, by go

powstrzymać. Prawie zbił Cymeryjczyka z nóg, gdy próbował się wyrwać i pogonić za

wrogiem. Oddychając gwałtownie, opadł na ziemię, jak schwytyany na lasso byk.

— Co robisz, idioto! Chcesz wpaść w pułapkę? Niech uciekają!

Emocje Yarali Nakha opadły do stanu wilczej ostrożności, co nie oznaczało, że jest mniej

groźny niż będąc w szalonej furii. Dopiero wtedy podążyli za niewyraźnymi postaciami

znikającymi w szczelinie wschodniego parowu. Tam ścigający zatrzymali się przyglądając

bacznie ciemnej głębi parowu. Gdzieś daleko w skale roztrącane kamyki gruchotały o

podłoże. Obaj mężczyźni, jak nieufne pantery mimowolnie napięli mięśnie.

— Psy, nie zatrzymują się — zamruczał Yarali Nakh, — Wciąż uciekają.

Podążamy za

nimi?

Nie powiedział tego z przekonaniem. Conan po prostu potrząsnął głową. Nie

śmieliby

nawet zagłębić się w tę ciemną studnię, gdzie zasadzka może grozić śmiercią

przy każdym

kroku marszu. Cofnęli się do obozu i oszalałych ze strachu koni, które

wprawiał w

przerażenie odór świeżej krwi.

— Gdy księżyc wzejdzie na tyle wysoko, by oświetlić kanion — rzekł Yarali

Nakh —

wystrzelają nas z ukrycia.

— To ryzyko musimy podjąć — wyszeptał Conan. — Może nie są dobrymi

łucznikami.

Przy pomocy niewielkiego płomienia z zapalonego suchego krzaka Conan

zbadł czterech

martwych mężczyzn, których pozostawili napastnicy. Mały płomień światła

przesuwał się od

twarzy do twarzy. Wszyscy mieli brody. Yarali Nakh spoglądając ponad jego

ramieniem

mruknął:

— Czcidle diabła, na pazury demonów! Ragorsi! Synowie Menega Taurusa!

— Nic dziwnego, że przekradają się przez mrok jak koty — mruczał Conan,

który dobrze

znał ludzi posiadających talent doskonałego podkradania się, należących do

starożytnego i

wstrętnego kultu, który czcił Czerwonego Węża w „Mieście Seta.

Yarali Nakh wykonał gest obrony przed diabłami, które mogły się czaić w pobliżu miejsca, gdzie ich czciciele zginęli.

— Odejdźmy stąd, Conanie. Nie przystoi abyś dotykał tę padlinę. I Nic dziwnego, że

mordują i kradną jak demony ciszy. Są dziećmi nocy i ciemności, mają w sobie cechy

żywiółów, które dały im życie.

— Ale co oni tu robią? — zastanowił się Conan. — Ich ojczyzną i jest Stygia i Miasto

Seta. Jest to ostatnia forteca ich rasy, do której wypędzili ich wrogowie.

Quanag ze wschodu i

czciciele diabła ze Stygii. Jaki tu istnieje związek?

Chwycił szorstką bawełnianą szatę najbliżej leżącego ciała, co wywołało natychmiastowy

sprzeciw Yarali Nakha.

— To ciało jest przeklęte — skrzywił się Kothyjczyk, wyglądający jak zgorszony wampir,

z ociekającym krwią mieczem w ręku i poplamioną brodą. Krew sączyła mu

się z wybitego

zęba. — Dotykanie ich nie przystoi, wojownikowi takiemu jak ty. Jeśli to musi

zostać

zrobione to pozwól mi...

— Och zamilknij! Ha! Tak jak myślałem!

Nikły blask światła spoczął na kaftanie, który okrywał potężną klatkę
piersiową górala.

Błyszczał tu podobny do plamy świeżej krwi, emblemat dłoni zaciśniętej na
sztylecie o
kształcie węża.

— Uaa! — odrzucając skrupuły, Yarali Nakh zdarł wierzchnie szaty z
pozostałych trzech
zwłok. Każdy nosił na sobie znak pięści i sztyletu.

— Czy Quanagowie są cywilizowani Conanie? — spytał po drwili.

— Niektórzy tak. Ale człowiek w chacie u Akariona nie. Miał spilowane, ostre
kły. Był

wyznawcą Erlika, żółtego Boga Śmierci, Kanibalizm jest elementem ich
rytuałów...

— Mężczyzna, który zabił imperatora Brythunii był Aesirem — zastanowił się
Yarali

Nakh. — Niektórzy z nich także potajemnie czczą Menega Taurusa. Jednak
władcę Corinthii

zamordował Kushyta, a do wicekróla Zamory wystrzelił z łuku Shemita. Co
cywilizowani

ludzie robili w towarzystwie Quanagów i Ragorsów, czcicieli diabła?

— Po to tu jesteśmy, by się tego dowiedzieć — odpowiedział Conan gasząc
płomień.

Milcząc przykucnęli w cieniu urwiska, podczas gdy światło księżyca,
niesamowite i

upiorne, opanowywało kanion, a skały, występy i zbocza przybierały swoje

kształty. Żaden

dźwięk nie przerywał panującej wokół ciszy.

Yarali Nakh w końcu podniósł się i stanął wyraźnie oświetlony przez

magiczne promienie

księżyca. Stanowił doskonały cel dla kogoś czającego się u wejścia do parowu.

Nie rozległ się

jednak żaden dźwięk.

— Co teraz?

Conan wskazał na wyraźne, ciemne plamy na nagim skalnym podłożu, które

ujawniło

światło księżyca.

— Zostawili nam ślad, który dziecko może rozpoznać.

Bez słowa Yarali Nakh schował do pochwy swój nóż i umocował łuk pomiędzy

zwojami

koca. Conan uzbroił się podobnie. Przymocował również do pasa zwój

cienkiej, mocnej liny

zakończoną krótkim żelaznym hakiem. Odkrył kiedyś, że taka lina jest

czasami bezcenna w

górach. Księżyc wzeszedł wyżej i całkowicie oświetlił kanion, przeciągając

cienkie nitki

srebra wzdłuż środka parowu. Tyle światła wystarczyło Conanowi i Yarali

Nakhowi.

W świetle księżyca zbliżali się do szczeliny z mieczami w dłoniach, obawiając

się

luczników, którzy mimo wszystko mogli się tam ukrywać, ale gotowi podjąć
ryzyko

szczęścia, zguby, bogactwa, czy czegokolwiek co czeka ludzi na szlaku w
nieznane. Nie

nadleciała jednak żadna strzała, żadne postacie nie przemykały pośród cieni.

Krople krwi

znaczyły skaliste podłoże gęsto. Najwidoczniej Ragorsi mieli kilku poważnie
rannych.

Conan pomyślał o Medashu leżącym w kanionie bez kopca przykrywającego
jego dąło.

Teraz jednak nie należało tracić czasu na zmarłych.

Zamorańczyk to bolesna przeszłość, a Slikh był więźniem w rękach ludzi,
których

miłosierdzia nikt nie zaznał. Ciałem Medasha można będzie zająć się później.

Teraz

najpilniejszym zadaniem było wyśledzenie Ragorsów i wydostanie od nich

Slikha nim go

zabiją, jeśli nie zrobili tego do tej pory.

Bez wahania ruszyli parowem z uniesionymi mieczami. Poruszali się pieszo,
bo uważali,

że ich wrogowie także uciekają na własnych nogach, a konie mają ukryte
gdzieś w górze

parowu. W tak wąskim i wyboistym wąwozie jeździec byłby w bardzo

niekorzystnej sytuacji

w razie jakiegó potyczki.

Przy każdym zakręcie parowu oczekiwali zasadzki, ale krwawy ślad ciągnął się dalej i

żadna postać nie zagroziła im drogi. Krople krwi nie były już tak gęste, ale w wystarczającym stopniu oznaczały drogę.

Conan przyśpieszył krok mając nadzieję, dopędzenia Ragorsów, którzy teraz rzeczywiście

wydawali się uciekać. Mieli przewagę, która prawdopodobnie gwałtownie malała, bo jak

uważał, nieśli jednego lub więcej rannych i byli obarczeni więźniem, który na pewno sprawiał

więcej kłopotu niż pomagał. Sądził, że Slikh żyje ponieważ nie znaleźli jego ciała. Gdyby

Ragorsi zabili go, to nie mieli powodu ukrywać zwłok.

Droga opadała stromo, jar zwężał się i rozszerzał. Nagle za zakrętem pojawił się następny

kanion mający tylko kilkadziesiąt metrów szerokości i ciągnący się w przybliżeniu ze

wschodu na zachód. Ślad krwawych kropeł biegł wprost ku pionowej południowej ścianie... i

urywał się.

Yarali Nakh mruknął:

— Serotańskie psy mówily prawdę. Ślad znika przy urwisku, które tylko ptak

rab demon

mógłby pokonać.

Conan zatrzymał się u stóp urwiska, zaskoczony. Zgubili pozostałość

starożytnego szlaku

w Wąwozie Demonów, ale tą drogą przybyli bez wątpienia Ragorsi. Krew

pokrywała szlak u

stóp urwiska — później znikał, jak gdyby ci, którzy krwawili rozplynęli się w

powietrzu.

Przebiegł wzrokiem po pionowej ścianie, która wznosiła się na wysokość

kilkudziesięciu

metrów. Bezpośrednio nad nimi, około pięciu metrów nad ich głowami,

sterczał wąski występ

skalny, długości trzech czy pięciu i szerokości około jednego metra.

Wydawało się, że nie jest

to rozwiązanie tajemnicy, ale w połowie drogi do występu Conan zobaczył na

skale nikłą

czerveną plamę.

Kierując się tą wskazówką Conan rozwinął swoją linę, zakręcił obciążony

koniec nad

głową i rzucił w górę. Hak uderzył w krawędź występu i zaczepił się. Conan

wspiał się po

cienkiej i gładkiej linie tak szybko i swobodnie, jakby była to drabinka

sznurowa. Po

przeplnięciu wielu mórz zyskał doświadczenie we wspinaniu się po linach

przy każdym

rodzaju pogody.

Gdy mijął płamę na kamieniu, przekonał się, że była to krew. Ranny został

wciągnięty na

skalny występ, lub wspinał się sam, i zostawił taki ślad.

Yarali Nakh, poniżej, niepokoił się. Trzymał w rękach łuk i próbował uzyskać

lepszy

widok na występ. Na przemian krytykował postępowanie swojego towarzysza

i zaklinał go o

zachowanie ostrożności. Jego pesymistyczna wyobraźnia zaludniała skalny

występ

niewidocznymi mordercami leżącymi płasko na skale. Jednak półka okazała

się pusta, kiedy

Conan przeczołgał się przez krawędź skalną.

Pierwszą rzeczą jaką zobaczył był ciężki, metalowy pierścień osadzony

głęboko w skale

tak nisko, że z dołu nikt go nie mógł dostrzec. Metal lśnił, jakby wytarty przez częste

używanie. Krew pokrywała obficie miejsce, gdzie ktoś przeczołgał się nad

pierścieniem,

musiał wspiąć się po linie do niego przymocowanej, — A może został

wciągnięty.

Krople krwi plamiące skalę, prowadziły po przekątnej do pionowej skały,

która w tym

miejscu okazała się dość zwietrzała. Poza tym Conan zobaczył coś innego,

zamazany, ale

niewątpliwy czerwony odcisk palców na kamieniu. Stał bez ruchu przez kilka chwil, nie

zważając na nawoływania Yarali Nakha, i badał szczelinę w skale. W końcu położył dłoń na

skale ponad krwawym odciskiem palców i pchnął. Natychmiast, gładko, część skalnej ściany

obróciła się w głąb i ukazał się wąski tunel, słabo oświetlony przez księżyc

łśniący gdzieś w

głębi.

Ostrożny, jak skradająca się pantera wkroczył do środka i od razu usłyszał okrzyk

przestraszonego Yarali Nakha, dla którego Conan wstąpił po prostu w litą skalę. Conan

wychylił się z korytarza, by zbesztać swego zdumionego towarzysza i nakazać mu spokój.

Później podjął na nowo poszukiwania.

Tunel okazał się krótki. Światło księżyca wlewało się do niego z przeciwnej strony. Drugi

koniec korytarza kończył się rozpadliną. Światło wpadało z góry do rozpadliny, która biegła

prosto przez jakieś trzydzieści metrów, a potem nagle zakrecała. Dalsza obserwacja nie była

możliwa. Koniec rozpadliny przypominał ciecie nożem przez litą skalę.

Wrota, przez które wszedł, tworzyła nieregularna płyta wisząca na potężnych, dobrze naoliwionych, żelaznych zawiasach. Płyta pasowała idealnie do otworu, a jej nieregularny kształt powodował, że szczeliny wprost zlewały się z naturalną erozją skalnej ściany.

Drabina sznurowa o ciężkich pokrytych skórą szczeblach leżała zwinięta na skalnej półce wewnątrz tunelu. Conan wrócił z nią do występu. Wciągnął i zwinął — swoją linę, potem umocował drabinę i spuścił ją na dół. Yarali Nakh wdrapał się z szaleńczą niecierpliwością, chcąc ponownie znaleźć się u boku przyjaciela.

Zaklął cicho, gdy zrozumiał tajemnicę znikającego śladu.

— Ale dlaczego wrota nie są zaryglowane od środka?

— Prawdopodobnie ludzie ciągle wchodzą i wychodzą. Mężczyźni na zewnątrz mogą rozpaczliwie pragnąć wejść bez zwracania niczyjej uwagi. Szansa, że przejście zostanie odkryte jest mniejsza niż jeden do tysiąca. Nie odkryłbym go, gdyby nie ślady krwi; to przecucie kazało mi pchnąć skalę.

Yarali Nakh chciał natychmiast zagłębić się w rozpadlinie, ale Conan stał się ostrożny. Nie

słyszał ani nie wiedział nic co świadczyłoby o obecności straży, jednak nie wierzył, że ludzie, którzy okazali tak wiele kunsztu w ukryciu swego królestwa pozostawiliby bez ochrony wejście, mimo nieznacznych szans na jego odkrycie.

Wciągnął skórzano-sznurową drabinę, zwinął ją, położył na skalnej półce i zamknął wrota

przecinając obieg księżycowego światła i pogrążając ten koniec tunelu w ciemności. Rozkazał

Yarali Nakhowi, aby czekał na jego powrót. Kothyjczyk zaklął szeptem, ale, Conan uważał,

że jeden człowiek lepiej zbada teren za tajemniczym zakrętem i jak zwykle postawił na

swoim. Yarali Nakh kucnął w ciemności przy wejściu biorąc w objęcia własne kolana i

mamrocząc klątwy. Conan poszedł tunelem w kierunku rozpadliny.

Była to zwykła skalna szczelina w potężnej masie skalnej. Nieregularny, ostro zarysowany

fragment krawędzi widoczny na tle usianego gwiazdami nieba, wznosił się dziesiątki metrów

ponad głową Conana. Jednak wystarczająca ilość światła księżycowego docierała na dno

rozpadliny. Wystarczająca dla kocich oczu Conana.

Nie dotarł jeszcze do zakrętu, gdy przed niebezpieczeństwem ostrzegł go

odgłos kroków. Z

trudnością ukrył się za odłamem skały, który odpadł kiedyś od jednej ze ścian.

Pojawił się

strażnik. Szedł leniwie, zachowując się, jak ktoś dokonujący niedbale

rutynowego zadania,

chroniący — w swoim przekonaniu niedostępnego azylu. Był to przysadzisty

Quanag o

miedzianej cerze i szerokich ustach. Generalnie jego powierzchowność

przypominała nieco

opisy demonów, w które obfitowały legendy Wzgórz.

Gdy mijał kryjówkę Conana jakiś mroczny instynkt kazał mu się

błyskawicznie odwrócić.

Natychmiast uniósł miecz, obnażył zęby, zaskoczony warknął. W tym

momencie jednak

stalowe sprężyny mięśni Conana rozprężyły się i momentalnie znalazł się na

równych nogach.

Gdy ostrze przeciwnika opadało już w dół, uderzył swoim mieczem. Quanag

padł jak wół z

okrągłą głową przeciętą do szczęki.

Conan przykucnął bezszelestnie, spoglądając wzdłuż korytarza skalnego.

Ponieważ żaden

dźwięk nie wskazywał na obecność kogoś innego w pobliżu, zaryzykował ciche

gwizdnięcie,

które sprowadziło pędzącego na łeb na szyję Yarali Nakna. Oczy mu błyszczały

chęcią walki.

Wydał pełen ekspresji okrzyk na widok trupa.

— Tak, jeszcze jeden czciciel Erlika. Tylko diabeł, który ich splodził wie ilu
jeszcze

ukrywa się w tym wąwozie. Wciągniemy go za skałę, za którą ja się
ukrywałem. Gdy zabiłeś,

ukrycie ciała zwykle jest pożyteczne. Chodź! Jeśli za tym zakrętem było ich
więcej, słyszeli

hałas, który wywołałem.

Conan miał rację. Lecz za zakrętem długi wąwóz okazał się pusty, aż do
następnego

skalnego zakrętu. Conan uważał, że mężczyzna, którego zabił był jedynym
strażnikiem

postawionym na posterunku w rozpadlinie i bez wahania ruszyli dalej.

Światło księżyca w

wąskim gardle nad ich głowami bladło, W końcu wydostali się na, otwartą
przestrzeń. Wąwóz

rozpadł się w chaos zgruchotanych skał. Pojedynczy korytarz zmienił się w pół
tuzina ścieżek

wijących się pomiędzy ponurymi, samotnymi skałami i szczelinami w
urwiskach.

Przypominało to rzekę, która zmienia się przy ujściu do morza w deltę.

Pokruszone szczyty i

wieżyce z czarnego kamienia, stały, jak posępne duchy w szarym świetle,

które zdradzało

nadchodzący świt. Przekradłszy się pomiędzy tymi ponurymi strażnikami,

ujrzeli poziomą,

pokrytą kamieniami płaszczyznę, która ciągnęła się przez trzysta metrów do

stóp stromeego

urwiska. Szlak, którym podążali, rysował się wyraźnie w zwietrzalej skale,

przecinał równinę

i wiał w górę urwiska po rampach wyciętych w skale. Ale co znajdowało się na

szczycie,

mogli tylko zgadywać. W prawo i w lewo wznosiła się potężna skała, otoczona

zwietrzalymi

szczytami.

— Co teraz, Conanie? W szarym świetle Kothyjczyk przypominał górskiego

goblina,

zaskoczonego przez świt poza swoją jaskinią.

— Myślę, że jesteśmy blisko naszego przeznaczenia. Słuchaj!

Ponad urwiskiem przetoczył się taki sam ryk, jaki słyszeli zeszłego wieczoru.

Teraz jednak

był znacznie bliższy; przeraźliwy, wzbudzający grozę, posępny ryk

gigantycznych trąb.

— Odkryto nas? — spytał Yarali Nakh, zgrzytając jednocześnie mieczem

wyjmowanym

gwałtownie z pochwy.

— Wszystko w rękach Croma, ale musimy się sami przekonać. Poza tym nie

możemy

wspinać się, nie wiedząc co znajduje się na górze. To posłuży naszym celom!

Conan wskazał na zwietrzałą stromą skałę, która wznosiła się, jak wieża
pośród swoich

niższych sąsiadów. Każde wychowane w górach dziecko wspięłoby się na nią.

Yarali Nakh i

Conan znaleźli się w górze tak szybko, jakby w skale wykute były schody.

Uważali tylko, aby

nim wejdą na szczyt, który wyrastał ponad urwisko, masa skalna znajdowała
się pomiędzy

nimi, a ich przeciwnikami. Na szczycie położyli się za skalną krawędzią i

spojrzeli poprzez

różową mgielkę wstającego świtu.

— Demony zła! — powiedział Yarali Nakh, mimowolnie sięgając po łuk
zarzucony na

plecy.

Widziane z tak dogodnego punktu obserwacji urwisko ujawniło swoją
prawdziwą naturę.

Było bokiem, jakby góry stołowej, która przypominała Conanowi formacje
rodzinnej

Cymerii. Masa skalna wznosiła się stromo ponad poziom okolicy, na wysokość
około stu

dwudziestu metrów, a jej pionowe boki wydawały się nie do zdobycia, z

wyjątkiem miejsca,

gdzie szlak został pracowicie wykuty w kamieniu. Ze wschodu, pomocy i z zachodu góra była otoczona przez pokruszone turnie oddzielone od płaskowyżu kanionem o dosyć równym dnie i szerokości od trzystu do pięciuset metrów. Na południu płaskowyż graniczył z gigantyczną, nagą skałą, której posępne wierzchołki górowały nad okolicą.

Mężczyźni poświęcili tylko jedno spojrzenie geograficznej formacji, mechanicznie analizując i uznając jej wyjątkowość. Inny, bardziej niewiarygodny fenomen przykuł ich uwagę.

Conan nie był pewien, czego się spodziewał na końcu krwawego szlaku.

Oczekiwał

natknięcia się na coś, to pewne; grupę namiotów i z końskiej skóry, jaskinię, może nawet wioskę skleconą z mułu i kamienia przylepioną do zbocza jakiegoś wzgórza.

Patrzyli jednak

na miasto, którego wieże i dachy domów błyszczwały w różowym świetle świtu.

Przypominało

magiczne miasto czarnoksiężników wykradzione z bajecznego kraju i osadzone na pustkowiu!

— Miasto Demonów! — wykrzyknął Yarali Nakh, którego z powrotem ogarnęła

wiara w

niematerialne pochodzenie ich wrogów. — Vaal jest moją ochroną przed złem

Węża

Potępionego! — strzelił palcami w geście starszym niż jego rasa.

Plaskowyz był w przybliżeniu owalny, rozciągał się półtora kilometra z

pomocy na

południe i nieco mniej niż kilometr ze wschodu na zachód. Miasto leżało

bliżej południowej

strony wczepione w czarną górę, która wznosiła się za nim. Nad kamiennymi

domami o

plaskich dachach i grupami drzew górowały, wielkie gmachy, których

purpurowe sklepienia

błyszczały w ostrych promieniach świtu, mieniły się złotem.

— Czary i czarnoksiężstwo — wykrzyknął Yarali Nakh całkowicie

wyprowadzony z

równowagi.

Conan nie odpowiedział, ale krew w jego żyłach odczuła mroczny aspekt

oglądanej sceny.

Nieprzyjemna posępność czarnych skał nie została złagodzona przez zupełnie

inny obraz

miasta; miało coś z ponurej groźby, mimo masy zieleni i jasnych kolorów.

Połysk purpury i

pokryte złotem sklepienia były złowieszcze. Czarne skały rozsypujące się ze

starości,

stanowiły doskonałą oprawę dla miasta. Przypominało ono siedzibę
demonicznej tajemnicy,
wznoszącej się pośród ruin i rozkładu, błyszczącej grzechem i występkiem.
— To musi być twierdza Ukrytych — mruknął Conan. — Spodziewałem się w
końcu
odkryć ich siedzibę ukrytą gdzieś w wysokich i niedostępnych górach, ale to
miejsce jest
bardziej odpowiednie. Stąd mogą uderzać we wszystkie kraje Zachodu i mieć
jednocześnie
bezpieczną kryjówkę. Któż by jednak spodziewał się odkryć miasto takie jak to
tutaj, w
rejonie od tak dawna uważanym za praktycznie niezamieszkały.
— Nawet my nie zdobędziemy tego miasta ludzi lub diabłów — mruknął Yarali
Nakh.
Conan leżał bez słowa i badał odległy widok. Po dokładnej analizie miasto nie
wyglądało
na tak olbrzymie, jak na pierwszy rzut oka. Zaplanowano je w sposób zwarty,
ale bez murów
obronnych. Domy jedno lub dwupiętrowe stały pomiędzy grupami drzew i
zaskakujących
ogrodów — zaskakujących bo płaskowyz wydawał się prawie jednolitą skałą —
ciągnących
się tak daleko, jak sięgał wzrok obserwujących. Conan podjął decyzję.
— Yarali, wróć pędem do naszego obozu w Wąwozie Demonów. Zbierz konie i

pojedź do

Khroshy. Opowiedz Akarionowi o wszystkim, co się wydarzyło i przekaż mu,

że potrzebuję

go i wszystkich, jego mieczy. Przeprowadź Serotańczyków przez rozpadlinę i

zatrzymajcie

się pośród tamtych przełęczy do czasu otrzymania znaku ode mnie lub wieści

o mojej śmierci.

Jest tu szansa na ścięcie dwóch karków jednym uderzeniem miecza. Jeśli

Akarion pomoże

nam oczyścić to gniazdo żmij, król przebaczy mu.

— Niech ogień pochłonie Akariona! Co z tobą?

— Idę do tego miasta.

— Po co?! — wykrzyknął kothyjczyk.

— Muszę. Ragorsi tam zniknęli, a Slikh musi być z nimi. Mogą go zabić nim

przybędą

Serotańczycy. Wydostanę go, a potem zabierzemy się do planowania ataku na

miasto. Jeśli

wyruszysz teraz, dotrzesz do Khroshy tuż po zmroku. Wrócisz tu po

wschodzie, słońca, jeśli z

Khroshy wymaszerujecie niezwłocznie. Jeśli będę żywy i spotkamy się w tym

miejscu. Jeśli

nie, pozwalam ci i Akarionowi postąpić wedle własnego uznania. Teraz jednak

najważniejsze

jest sprowadzić tu Serotańczyków,

Yarali Nakh natychmiast odkrył przeszkody.

— Akarion zbyt nie lubi. Jeśli pójdę do niego sam, splunie na mą brodę, ja go

zabiję, a jego psy zabiją mnie!

— Nie zrobi czegoś takiego i ty o tym wiesz.

— Nie przybędzie tu!

— Przebrnie przez piekło, jeśli ja go wezwę.

— Jego ludzie nie podążą za nim, boją się diabłów.

— Przyjdą dość szybko, jeśli opowiesz im, że to ludzie straszą w Tryptysthanie.

— Ale konie zniknęły, z pewnością ukradły je diabły.

— Wątpię w to. Nikt nie opuścił miasta od czasu, kiedy ruszyliśmy za śladem krwi.

Również nikt nie szedł za nami. Poza tym, możesz dotrzeć do Khroszhy pieszo, jeśli okaże się

to konieczne. Po prostu zajmie to więcej czasu.

Następnie Yarali Nakh zaczął rwać swą brodę w gniewie i ujawnił prawdziwy powód

swojej niechęci do opuszczenia Conana.

— Te psie syny obedną cię ze skóry za życia.

— Nie, zwalczę postępowanie podstępem. Będę uciekinierem przed gniewem króla, wyjętym

spod prawa i szukającym azylu. Świat jest pełen kłamstw mnie dotyczących.

Teraz one mi

pomogą.

Yarali Nakh zaprzestał nagle sporu uświadamiając sobie jego bezcelowość.

Gderając pod

nosem i okropnie kręcąc głową Kothyjczyk zszedł ze skały i zniknął w wąwozie

nie

odwracając się ani razu.

Gdy zniknął z pola widzenia, Conan również zszedł na dół i ruszył w kierunku

urwiska.

ROZDZIAŁ 3

UKRYCI

Conan przy każdym kroku oczekiwał, że ktoś pośle mu strzałę z urwiska, chociaż nie dostrzegł żadnej strażnicy, pomiędzy skałami na jego krawędzi, kiedy był jeszcze na skalnej wieży. Jednak przeciął kaniony dotarł do stóp urwiska i zaczął wspinać się po stromej ścieżce ciągle poplamionej tu i tam czerwonymi kroplami — i nie zobaczył żadnej istoty ludzkiej.

Szlak wiał się w górę bez końca, po szeregu półek, które na zewnętrznej krawędzi miały niski, potężny murek. Miał czas podziwiać inżynierskie zdolności, które stworzyły taką budowlę.

Kothyjczycy z gór z pewnością tego nie stworzyli, nie była to także konstrukcja nowa.

Wyglądała na starożytną i mocną, jak sama góra.

Dziesięć metrów skalnych półek zmieniło się w serię stromych stopni wyciętych w kamieniu, zagłębiających się w głąb skały i tworzących jakby szczelinę przy krawędzi urwiska. Wciąż nikt nie stanął na drodze. Po wejściu na płaskowyż minął kilka okrągłaków leżących na drodze. Za jednym z nich siedmiu mężczyzn kuczało wokół jakiejś

gry. Skoczyli

na równe nogi, spojrzeli dziko, jakby ukazało się widmo.

Wszyscy byli Stygijczykami, chudzi wojownicy o kamiennych ciałach,

haczykowatych

nosach, szczupłych taliach otoczonych pasami z wiszącymi szablami i łukami

w rękach.

Łuki natychmiast zostały wycelowane w Conana, który nie wykonał żadnego

ruchu ani nie

okazał zaskoczenia lub niepokoju. Postawił drzewce swojego łuku na ziemi i

spoglądał na

zaskoczonych Stygijczyków spokojnie.

Bandyci byli niezdecydowani, jak przyparty do muru żbik i dlatego równie

niebezpieczni i

nieobliczalni. Życie Conana zależało od drżącego palca na cięciwie łuku. Na

razie

Stygijczycy byli zaskoczeni i oniemiaли przez nieoczekiwaną materializację

Conana.

— Conan! — wymruczał wyższy ze Stygijczyków, w oczach płonął mu strach,

podejrzliwość i instynkt zabijania. — Co tu robisz?!

Conan, nim odpowiedział, powoli powiódł oczyma po siedmiu napiętych

postaciach. Sam

wyglądał na odprężonego.

— Szukam waszego władcy — powiedział w końcu.

To nie wydawało się rozproszyć ich wątpliwości. Zaczęli mruzczyć pomiędzy

sobą nie

zmniejszając czujności i nacisku palców na cięciwach.

Głos wyższego Stygijczyka, pełen gniewu, wznosił się ponad inne.

— Kraczecie jak wrony! Sprawa jest prosta: pochłonał nas hazard i nie spostrzeżliśmy, jak

nadchodzi. Naszym obowiązkiem jest obserwować schody i dopilnować, aby nikt nie wspiął

się po nich bez pozwolenia. Nie dopełniliśmy naszego obowiązku. Jeśli to się wyda

zostaniemy ukarani. Zabijmy go i zrzucmy z urwiska!

— Tak — zgodził się Conan spokojnie. — Zróbcie tak. A, kiedy wasz władca zapyta

„Gdzie jest Conan, który niósł dla mnie ważne wieści?” odpowiedźcie mu

„Panie, nie

przekazałeś nam żadnych poleceń co do tego człowieka, więc zabiliśmy go, aby dać mu

nauczkę!”

Zgryźliwa ironia jego słów wykrzywiła ich twarze. Rzucili między sobą

niespokojne

spojrzenia.

— Nikt się nigdy nie dowie — warknął jeden. — Zabić go.

— Nie, strzała może nie wystarczy, odgłosy walki zostaną usłyszane i powstaną pytania,

na które trzeba będzie odpowiedzieć.

— Poderżnąć mu gardło! — zaproponował najmłodszy z bandy, ale został

obrzucony tak

groźnymi spojrzeniami, że wycofał się szybko, zakłopotany.

— Tak, poderżnijcie mi gardło — poradził Conan, śmiejąc się. — Jeden z was

pewnie to

poderżnięcie mojego gardła przeżyje i opowie tę historię.

To nie była zwykła napauszoność i większość z nich wiedziała o tym. Zdradzali

swój

niepokój rzucając spode łba ciemne spojrzenia. Tęsknili za możliwością

zabicia go, ale nie

śmieli użyć luków, ponieważ połowa mogłaby nie mieć czasu na sięgnięcie po

inną broń.

Przynajmniej starsi znali okropną cenę, którą zapłaciliby atakując go białą

bronią. On nie

miałby skrupułów, aby użyć własnej broni, obawiali się morderczej furii

przeciwnika,

bardziej niż gniewu swoich dowódców. Spokój Conana siał niepewność w ich

umysłach.

Czuli się, jak owe rozmawiające z wilkiem.

— Nóż jest cichy — mruknął najmłodszy próbując się usprawiedliwić.

Za swoją głupotę i niezrozumienie sytuacji został nagrodzony uderzeniem w

brzuch, co

zmusiło go do oddania mimowolnego niskiego pokłonu i rozpoczęcia

lamentów.

— Cicho, psi synu! Chcesz żebyśmy walczyli z Conanem gołym żelazem?

Pozbywszy się w ten sposób pewnej części swojego niezadowolenia Stygijczycy uspokoiili się nieco.

— Jesteś oczekiwany? — zapytał niespokojnie jeden z nich Conana.

— Czy przyszedłbym tu gdyby mnie nie oczekiwano? Czy jagnię mając głowę w paszczy wilka ma nadzieję na przeżycie?

— Jagnię? — Stygijczycy zarechotali szyderczo. — Ty jesteś jagnięciem? Ha, bogowie!

Powiedz raczej: Czy lew z okrwawionym pyskiem nie szuka przypadkiem myśliwego?

— Jeśli na mych kłach znajdzie się krew to będzie to krew tych głupców, którzy nie słuchają rozkazów swego pana — odciął Conan. — Wczoraj w nocy, w Wąwozie Demonów...

— Yarah! To ty walczyłeś z tymi głupcami, Ragorsami? Nie rozpoznali cię! Powiedzieli, że zabili jakiegoś Turańczyka i jego sługi w Wąwozie Demonów..

Więc to dlatego strażnicy byli tak beztroscy; z jakiegoś powodu Ragorsi skłamali o wyniku potyczki i obserwatorzy nie spodziewali się pościgu.

— Czy któryś z was, w swojej ignorancji, napadł na mnie w wąwozie?

— A mamy kłopoty z poruszaniem się? Czy krwawimy? Czy padamy ze zmęczenia i ran?

Nie, nie braliśmy udziału w walce, Conanie!

Cymeryjczyk z zadowoleniem usłyszał pewną nutę rezygnacji z morderczych zamysłów.

— Zatem bądźcie mądrzy i nie popełniajcie błędu, który oni zrobili, i przez który niektórzy zginęli. Tym co przeżyli skóra będzie zdzierana z pleców cienkimi paseczkami.

A teraz, czy zaprowadzicie mnie do tego, który na mnie czeka, czy chcecie zamienić się w łajno przez lekceważenie jego rozkazów?

— Crom niech broni! — wykrzyknął wysoki Stygijczyk. — Nikt nie wydał nam żadnych rozkazów. Nie, Conanie, twoje serce jest tak pełne podstępów, jak u węża i gdzie kroczysz tam miecze się czerwienią, a ludzie umierają zda się bez powodu. Jeśli jest to kłamstwo, wtedy nasz władca ujrzy twoją śmierć. Jeśli jednak to, co mówisz jest prawdą, nikt nie będzie nas winił. Oddaj łuk i miecz, a my zaprowadzimy cię do niego.

Conan oddał broń, pocieszając się myślą o wielkim nożu spoczywającym w pochwie pod jego lewym ramieniem.

Przywódca, grupy podniósł luk upuszczony przez młodego wojownika, który

wciąż zgięty

we dwoje jęczał przeraźliwie, solidnym kopniakiem doprowadził go do pozycji

wyprostowanej, wpakował mu luk w ręce i rozkazał tak uważnie obserwować

schody, jakby

jego życie zależało od tego — bo zależało — obdarował go jeszcze jednym

kopniakiem, a

wszystko przypieczętował szturchnięciem w ucho. Odwrócił się i szczechnął

rozkazy innym.

Gdy otoczyli i zbliżyli się do pozornie nieuzbrojonego Cymeryjczyka, Conan

wiedział, że

ręce ich świerzbią, aby pchnąć go nożem w plecy. Posiał jednak ziarno lęku i

niepewności w

ich prymitywnych umysłach i nie obawiał się ataku. Ruszyli spod grupy

okrągłaków i weszli

na drogę prowadzącą do miasta. Droga ta kiedyś została wybrukowana i

miejscami

nawierzchnia była jeszcze w zadawalającym stanie.

— Ragorsi minęli wasz posterunek tuż przed świtem? — spytał zdawkowo,

szybko

dokonując oszacowania czasu.

— Tak — otrzymał zwięzłą odpowiedź.

— Nie mogli maszerować szybko — wymruczał Conan prawie do siebie. —

Nieśli

rannych i Slikh, którego więzili, z pewnością stawiał opór. Musieli go bić,

popędzać i

ciągnąć.

Jeden z mężczyzn odwrócił głowę i zaczął:

— Dlaczego, Slikh...

Przywódcą kazał mu milczeć i spojrzał na Conana podejrzliwie.

— Niech nikt nic nie mówi. Nie odpowiadać na jego pytania. Nie zadawać

własnych. Jeśli

zadrwi sobie z nas, nie odgryzać się. Jest przebiegły jak wąż. Jeśli będziemy z

nim

rozmawiać, wpadniemy w jego moc, zanim dotrzemy do Shalhizaru,

Więc tak zwało się to fantastyczne miasto; Conanowi wydawało się, że

pamięta te nazwę

w powiązaniu z przedwieczną historią uciekinierów z Atlantydy.

— Dlaczego mi nie ufacie? — spytał. — Czy nie przyszedłem do was z otwartą

dłonią?

— Tak! Kiedyś widziałem, jak przyszedłeś z otwartą dłonią do Shemitów z

Akkhari, ale

kiedy ją zacisnąłeś ulice Akkhari spłynęły krwią, a głowy panów z Akkhari,

kołysały się u

siodel twych jeźdźców. Nie, Conanie, znam cię dobrze, pamiętasz, kiedy

przeprowadziłeś

swoich banitów przez bagna Stygii? Walczyłem wraz z tobą w Czarnych

Królestwach, a

**później, z powodu zmiany polityki, walczyłem przeciwko tobie. Nie mogę
równać swoich
umiejętności z twoimi, taki samo, jak swojej inteligencji i języka. Umiem
jednak trzymać
język za zębami, i będę to robił dalej. Nie musisz wymyślać chytrych pułapek,
bo nie mam
zamiaru się odzywać. Zabieram cię do władcy Shalhizaru. Wszystkie interesy
będziesz
prowadził z nim. To nie moja sprawa. Będę jak niemowa albo koń, który
jednakowo służy
królowi i banicie. Odpowiadam jedynie za to, aby doprowadzić cię przed
oblicze mojego
pana. Tymczasem nie próbuj schwytać mnie w pułapkę. Nie będę mówił, a
jeśli któryś z
moich ludzi odpowie ci, złamię mu kark uderzeniem rękojeści miecza.**

**— Myślę, że cię poznaję — powiedział Conan. — Jesteś Voltar. Byłeś dobrym
wojownikiem.**

**Szczuple, pokryte bliznami oblicze Stygijczyka pojaśniało po tej uwadze i
zaczął coś
mówić, potem przypomniał sobie swoje stanowienie, zrobił dziką minę, zaklął
na jednego z
ludzi, który w żaden sposób nie zawinił, wyprostował ramiona i wysunął się
sztywno przed
całą grupę.**

Conan nie siedł szybko, raczej spacerował, a jego spokojna postawa miała wpływ na strażników. Miał poczucie, że raczej idzie pośród honorowej eskorty niż straży. Jego zachowanie oddziaływało Stygijczyków tak, że nim dotarli do miasta, mieli już luki zarzucone i plecy, zamiast trzymać je w gotowości. Pozwolili na utworzenie pełnego szacunku odstępu pomiędzy nim, a nimi.

W miarę zbliżania się, szczegóły miasta stawały się wyraźniejsze. Conan dostrzegał sekrety ogrodów i zagajników. Ziemia, bez wątpienia sprowadzona pracowicie z odległych dolin, została ułożona gołej skale, w wielu zagłębieniach, jakie pokrywały płaskowyż, a staranny system irygacyjny, głębokich i wąskich kanałów, które minimalizowały naturalne odparowanie wody, oplatał ogrody najprawdopodobniej biorąc początek w jakimś niewyczerpywalnym zbiorniku wodnym blisko centrum miasta. Płaskowyż chroniony przez szczyty wznoszące się ze wszystkich stron, miał bardziej umiarkowany klimat niż w górach i roślinność rosła tu obficie.

Ogrody leżały głównie na wschodnich i zachodnich krańcach miasta. Droga tuż przed miastem biegła pomiędzy dużym sadem po lewej stronie i mniejszym ogrodem po prawej. I sad, i ogród otoczono niskim, kamiennym murem. Conan nie mógł przewidzieć, jak krwawą rolę ten sad odegra w dziwnej przygodzie, którą przeżywał. Szeroka, otwarta przestrzeń oddzielała sad od najbliższego domu, ale po przeciwnej stronie drogi, dwupiętrowy, kamienny dom o płaskim dachu, sąsiedował z ogrodem od południa. O parę metrów dalej zaczynało się właściwe miasto, szeregi płasko-dachych, kamiennych domów stojących frontem do, siebie, przy szerokiej, wybrukowanej ulicy, każdy mający na tyłach obszerny ogród.

Miasta nie otaczał mur obronny, a murki wokół domów i ogrodów były niskie, w oczywisty sposób nie przeznaczone do obrony. Sam płaskowyz stanowił fortecę. Góra, która dominowała nad miastem od południa, stała dalej niż to się wydawało na pierwszy rzut oka.

Ze skalnej wieży wyglądało, że dotyka plecami górskiego zbocza. Teraz widział

blisko pół

**kilometra pociętej jarami równiny, oddzielającej miasto od góry. Jednak sam
płaskowyż był**

**połączony z górą: przypominało to wielką półkę wystającą z masywnego
zbocza.**

**Ludzie pracujący w ogrodach i włóczący się po ulicy zatrzymywali się i patrzyli
na**

**Stygijczyków i jeńca. Zobaczył więcej Stygijczyków, wielu Shemitów oraz
Ragorsów;**

**widział Irańczyków, Aesirów, Turańczyków, Brythuńczyków, a nawet kilku
Cymeryjskich**

**górali. Jednak nikogo z Koth. Widocznie różnorodna populacja dziwnego
miasta nie miała**

żadnego powiązania z ojczystym ludem tego kraju.

**Ludzie nie posuwali swojej ciekawości dalej niż do pytających spojrzeń. Ulica
rozszerzyła**

**się i zmieniła w zaułek, zamknięty od południa przez szeroki mur, który
otaczał pałacowy**

budynek ozdobiony wspinałym sklepieniem.

**Nie było straży u masywnych spiżowo–złoty wrot, tylko barwnie ubrany
murzyn, który**

**ukłonił się nisko i otworzył szeroko wrota. Conan i jego eskorta, weszli na
obszerny**

dziedziniec wyłożony kolorowymi płytami, w środku którego pień się

fontanna i trzepotały

**gołębie. Wschód i zachód dziedzińca ograniczony był przez wewnętrzne
ściany, ponad**

**którymi ukazywały się liście świadczące o kolejnych ogrodach. Conan
spozrzegł smukłą**

**wieżę wznoszącą się nieco pod dachy, której ozdobna elewacja błyszczała w
promieniach
słońca.**

**Stygijczycy maszerowali wprost przez dziedziniec i zostali zatrzymani dopiero
na**

**szerokim, pałacowym portyku, przez straż złożoną z trzydziestu Irańczyków w
błyszczących**

**regaliach — ozdobionych piórami hełmach z posrebrzanej stali, pozłacanych
pancerzach,**

**pokrytych skórą nosorożca tarczach i wyposażonych w złotem cyzelowane
szable. Ten**

**wspaniały ekwipunek kontrastował z ostrymi obosiecznymi mieczami w ich
rękach i pasami**

pełnymi sztyletów opasującymi ich szczuple talie.

**Kapitan o orlej twarzy porozmawiał krótko z Voltarem. Conan wywnioskował,
że**

**pomiędzy tymi dwoma przedstawicielami rywalizujących ras nie ma
najmniejszych**

przyjaznych uczuć, mimo okoliczności, które doprowadziły do sojuszu.

Kapitan, którego mężczyźni zwali Ammad, w końcu wykonał szczupłą,

brązową dłoń i

Conan został otoczony przez tuzin połyskujących Irańczyków, pomaszerował

pomiędzy nimi

w górę szerokie marmurowych stopni i pod dużym łukiem zamykanym przez

ogromne drzwi.

Stygijczycy szli z tyłu bez łuków w ogóle nie wyglądając na szczęśliwych.

Minęli obszerne, słabo oświetlone sale. U ozdobnych sufitów wisiały dymiące

kadzielnice

z brązu, zaś zasłonięte aksamitem łuki przejść napomykały o tajemniczych

wnętrzach.

Gobeliny szeleściły, delikatne kroki szeptały. W pewnej chwili Conan ujrzał

delikatną, białą

dłoń trzymającą kotarę, tak, jakby jej właściciel spoglądał ukradkiem zza niej.

Przyzwyczajony do ukradkowości i przyciszonych półgłosów pałaców

Wschodu, Conan

wyczuł tu więcej niż zwykłą atmosferę tajemnicy i sekretów.

Nawet zuchwalstwo Irańczyków, z wyjątkiem kapitana, zmieniło się.

Stygijczycy

okazywali jawnie niepokój. Tajemnica i nieuchwytnie niebezpieczeństwo

czaiło się w tych

ciemnych, wspaniałych pomieszczeniach. Gdyby nie nowoczesna broń eskorty

mógłby

również dobrze przemierzać pałace starożytnej Atlantydy.

W końcu weszli w szerszy korytarz i zbliżyli się do podwójnych, spiżowych
drzwi,
otoczonych większą ilością ubranych strażników — Shemitów,
wyperfumowanych i
pomalowanych, jak wojownicy z Anthadronu — noszących starożytnie
wyglądające włócznie
zamiast mieczy i luków.

Te dziwaczne postacie stały niewzruszenie, jak statuy, podczas gdy Irańczycy
zuchwale
minęli ich wraz z więźniem — czy gościem — i weszli do półokrągłego pokoju,
gdzie
gobeliny z wyhaftowanymi smokami pokrywały ściany, ukrywając wszystkie
istniejące drzwi
lub okna, za wyjątkiem tych, którymi weszli. Sufit był wysoki, tworzyły go
łuki, pokryte
złotem i hebanem, obwieszony złotymi lampami. Naprzeciwko wielkiego
wejścia znajdowało
się marmurowe podium. Na podium stał ogromny fotel przykryty
baldachimem, rzeźbiony i
ozdobiony jak tron, a na atlasowych poduszkach, które go wyścielały siedziała
niedbale,
szczupła postać w wyszywanej perłami szacie i pantoflach ze złotego
materiału i zadartymi
noskami. Na turbanie różowego koloru błyszczała ogromna, złota brosza

usiana diamentami,

mająca kształt dłoni zaciśniętej na sztylcie z ostrzem w kształcie węża. Twarz

pod turbanem

była owalna, koloru starej kości słoniowej, z małą, czarną szpiczastą bródką.

Oczy ogromne,

ciemne i baczne. Ten człowiek był Irańczykiem.

Po bokach tronu stali gigantyczni, czarni strażnicy, jak wizerunki pogańskich

bogów

wyrzeźbione w czarnym bazalcie, nadzy z wyjątkiem sandałów i jedwabnych

przepasek na

biodrach, z zakrzywionymi szablami o szerokich ostrzach w dłoniach.

— Kim on jest — ospale zapytał mężczyzna na tronie, machając na przybyłych,

aby

zaprzestali ukłonów.

— Conan! — odpowiedział Ammad buńczucznie, w jego mniemaniu to

oświadczenie

miało wywołać coś w rodzaju sensacji, co by się stało gdziekolwiek indziej na

świecie.

Ciemne oczy ożywiły się zainteresowaniem i zwęziły podejrzliwością. Voltar

obserwujący

twarz swego pana z bolesnym natężeniem wstrzymał oddech i zacisnął dłonie

tak, że

paznokcie wpiły się w skórę.

— Jak przybył do Shalhizaru niezapowiedziany?

— Stygijskie psy, które, powinny obserwować schody mówią, że pojawił się

przysięgając,

że posłałeś po niego, Shaykhronie!

Conan zeszywniał, gdy usłyszał ten tytuł, czarnoksiężnik Shaykhron. To

rozstrzygnęło

wszystkie jego podejrzenia. To było fantastyczne i niewiarygodne, ale

prawdziwe. Jego

niebieskie oczy skupiły się z niepohamowanym natężeniem na owalnej

twarzy.

Nie powiedział nic. W tym momencie można było milczeć lub zuchwale

odpowiadać. Jego

następny ruch zależał całkowicie od słów Shaykhrona. Jedno słowo mogło

napiętnować go

jako oszusta i zniweczyć cały plan. Plan opierał się na dwóch podstawach;

wiary, że żaden

władca nie skazałby na śmierć Conana bez wywiedzenia się o powody jego

obecności, i

fakcie, że tylko niektórzy władcy cieszyli się całkowitym zaufaniem swoich

popleczników

lub sami ufali całkowicie swoim poddanym.

Czarnoksiężnik siedzący na tronie odpowiedział na palące, spojrzenie

Conana, a po

dłuższej chwili rzekł do Stygijczyka nie patrząc:

— Takie jest prawo Shalhizaru nie wolno Strażnikom Schodów pozwolić, aby

ktoś wspiał

się na schody dopóki nie uczyni znaku, który oni zobaczą. Jeśli jest obcym,

który nie zna

znaku, Strażnik Wrót musi zostać wezwany, aby porozmawiał z tym

człowiekiem zanim

pozwoli mu się wejść po schodach. Conan nie był zapowiedziany. Strażnik

Wrót nie został

wezwany. Czy Conan uczynił znak stojąc u stóp schodów?

Voltar zbladł i spocił się, wyraźnie wahając się pomiędzy niebezpieczną

prawdą i jeszcze

bardziej groźnym kłamstwem. Posłał jadowite spojrzenie Conanowi i

powiedział głosem

pełnym lęku:

— Straż na urwisku nie dała ostrzeżenia. Conan był na górze, gdy go

dostrzegliśmy

choć staliśmy u szczytu schodów, obserwując okolicę, jak orły. On jest

magiem, który

czyni się niewidzialnym, chce. Wydawało się nam, że mówi prawdę o

wezwanu go przez

Ciebie, w przeciwnym wypadku nie znalazłby tajnego przejścia.

Pot perlił się na wąskim czole Stygijczyka. Człowiek na tronie i wydawał się

nie słyszeć

jego głosu, a Ammad szybko wyczuł, że Stygijczyk popadł w niełaskę, uderzył

Voltara

gwałtownie otwartą dłoń w usta.

— Psie, milcz aż obrońca Biednych raczy wydać pozwolenie!

Volter zatoczył się, krew popłynęła po jego brodzie, posłał Irańczykowi

mordercze

spojrzenie, ale nic nie odrzekł. Shaykhron poruszył dłoń ospale, ale z

niecierpliwością.

— Zabrać Stygijczyków. Trzymać pod strażą do czasu dalszych; rozkazów.

Nawet, jeśli

człowiek jest oczekiwany, nie powinni dać się zaskoczyć. Conan nie znał

znaku, a mimo to

bez przeszkód pokonał schody. Gdyby byli czujni nawet Conan nie dokonałby

tego. Nie jest

magiem. Do pilnowania schodów wyznaczyc innych ludzi. Możecie odejść;

porozmawiam z

Conanem sam.

Ammad pokłonił się i wyprowadził swoich błyszczących wojowników z sali,

po między

milczącymi włócznie stojącymi w szeregach przy drzwiach. Drżących

Stygijczyków

pędzili przed sobą, jak stado owiec. Mijając drzwi Stygijczycy odwracali się i

plonącymi

oczyma rzucali Conanowi nienawistne spojrzenia.

Ammad pociągnął spiżowe drzwi i zatrzasnął je za sobą. Shaykhron odezwał

się do

Conana po aquilońsku.

— Mów swobodnie. Ci czarni ludzie nie rozumieją aquilońskiego.

Conan nim odpowiedział, wyciągnął się na otomanie stojącej przed podium i usadowił

wygodnie ze stopami na atlasowym podnóżku. Nie ustalił swojego prestiżu przez łagodną

postawę i nieśmiałe zachowanie. Tam, gdzie ktoś inny chodziłby na palcach, z sandałami w

ręku, Conan kroczył głośno tupiąc i okazywał ciężką rękę, a ponieważ zwano go Conanem,

on przeżywał tam, gdzie inni umierali.. Jego postawa nie była blefem. Przez cały czas był

gotowy przerwać swą grę nieopanowaną furją i zimną stałą. Inni wiedzieli o tym. Wiedzieli

również, że jest najbardziej niebezpiecznym mężczyzną z dowolnym rodzajem uzbrojenia od

Zingary do Khitaju.

Czarnoksiężnik nie okazał zaskoczenia tym, że jego jeniec — czy gość — usiadł bez

pytania o pozwolenie. Jego pierwsze słowa ujawniły, że stykał się często z mieszkańcami

Zachodu i przyswoił dla siebie znanych celów nieco bezpośrednio. Dlatego powiedział bez

wstępów:

— Nie posłałem po ciebie.

— Oczywiście, że nie; Ale musiałem coś powiedzieć tym głupcom albo ich wszystkich zabić.

— Dlaczego tu jesteś?

— Dlaczego ktokolwiek chce znaleźć się w gnieździe wyjętych spod prawa?

— Może przybyć jako szpieg — zauważył Shaykbron.

Conan zaśmiał się.

— Dla kogo?

— Skąd dowiedziałeś się o drodze przez Wąwóz Demonów?

Conan uciekł się do niejasnej subtelności.

— Podążylem za sępami; zawsze prowadzą mnie do mojego celu.

— Powinny — brzmiała ponura odpowiedź. — Karmisz je do syta dość często.

Co z

Quanagiem, który obserwował szczelinę?

— Martwy; nie słuchał głosu rozsądku.

— To sępy podążają za tobą, a nie ty za sępami — skomentował Shaykhron. —

Dlaczego

nie, przysłałeś mi wiadomości o swoim przybyciu? ‘

— Przesłać wiadomość? Przez kogo? Ostatniej nocy, gdy obozowałem w

Wąwozie

Demonów dając odpocząć koniom przed wyruszeniem do Shalhizaru, banda

twoich głupców

napadła na mój oddział w ciemnościach. Jednego człowieka zabili, porwali

innego. Jeszcze

inny przestraszył się i uciekł. Ja przyszedłem tu sam, gdy tylko wzeszedł księżyc.

— To byli Ragorsi, których obowiązkiem jest obserwowanie Wąwozu

Demonów. Nie

wiedzieli, że mnie szukasz. Przykuśtykali do miasta o świcie niosąc jednego umierającego.

Pozostali w większości ciężko ranni przysięgali, że zabili rycerza i jego służbę w Wąwozie

Demonów. Widocznie bali się przyznać, że uciekli i zostawili cię żywego.

Odpokutują za

swoje kłamstwo. Ale nie powiedziałaś mi, dlaczego tu przybyłeś.

— Szukam schronienia. I przynoszę wieści. Człowiek, którego wysłałeś, by

zabił króla,

zranił go tylko, a sam został pocięty na kawałki przez królewską straż.

Czarnoksiężnik wzruszył ramionami niecierpliwie.

— Twoje wieści są stare. Wiedzieliśmy to następnego dnia, po nocy, kiedy

próbowano

dokonać egzekucji. A od tamtej pory dowiedzieliśmy się, że krój będzie żył,

ponieważ lekarz

oczyścił rany zakażone przez truciznę na sztylcie.

To przypominało czarną magię, do czasu, kiedy Conan przypomniał sobie o

gołębiach na

dziedzińcu. Ptaki, oczywiście, wypuszczone przez agentów w Khorshemish z

wiadomościami.

— Dobrze strzeegliśmy naszego sekretu — powiedział czarnoksiężnik. —

Ponieważ

wiedziałeś o Shalhizarze i Drodze do Shalhizaru musiał ci o tym powiedzieć
ktoś z Bractwa.

Czy to Baghera cię przysłał?

Chwila wahania Conana przed odpowiedzią była nie dłuższa niż czas
potrzebny na

strzepnięcie pyłu z bryczesów, ale zdążył się zorientować, że zastawiono na
niego pułapkę,

której trzeba unikać. Nie miał pojęcia kim jest Baghera, a to nieważne z
pozoru pytanie było

zbyt jawną przynętą, po którą tylko oszust miałby chęć sięgnąć.

— Nie znam człowieka, którego zwiesz Baghera — odpowiedział. — Nikt nie
obdarzył

mnie swoim zaufaniem. Nie muszę być informowany o sekretach. Poznaję je
sam. Przybyłem

tu, ponieważ muszę znaleźć kryjówkę. Jestem w niełasce w Khorshemish, a
Hyperborejczycy

zabiją mnie, jeśli uda im się mnie schwytać. Wyznaczyli za moją głowę
nagrodę, a po tym,

jak pomogłem powstańcom w Asgardzie, nagroda została podwojona.

Jedną z najtrwalszych legend związanych z Conanem była jego wrogość w
stosunku do

Hyperborejczyków. Miało to źródło w jego braku obaw przed złotymi

galonami i srebrnymi

guzikami. Jego ostentacja w łamaniu i lekceważeniu zasad, i przepisów, które kierują

postępowaniem ludzi, w jakimkolwiek królestwie, była powszechnie znana.

Nie miał czci dla

władzy, która przystrajała się w przepych, arogancję i samowolę. Posiadał także trwałą

pogardę dla pewnego typu ludzi, tak cywilnych jak wojskowych; tak więc był gorliwie

nienawidzony przez jednych i drugich, a szczególnie tych drugich. Jednak ci, którzy

faktycznie rządili królestwami, poruszając się dyskretnie poza sceną, wiedzieli kim

naprawdę jest Conan, i chociaż nie zawsze aprobowali metody, byli jego przyjaciółmi i

korzystali z jego pomocy od czasu do czasu.

Czarnoksiężnik nie wiedział tego wszystkiego. Wiedział tylko tyle, że z łatwością mógł

zostać oszukany co do prawdziwego charakteru Cymeryjczyka. Wiele opowieści, które

słyszał były kłamstwem lub faktami o zniekształconych proporcjach. Dla Shaykhrona, Conan

jawił się jako jeszcze jeden ignorujący prawo poszukiwacz przygód, nie

Całkiem

zasymilowany, ale poza nawiasem szacunku i dlatego, całkiem

prawdopodobnie zawsze

przeciwstawiający się władzy.

Powiedział coś w archaicznym dialekcie irańskim, a Conan wiedząc, że nie

zmienił języka

ich rozmowy udał nieznaną tego dialektu. Czasami przebiegłość jest

dziecinnie

oczywistą.

Shaykhron odezwał się do jednego z czarnych i olbrzym obojętnie wyciągnął

srebrny

młotek zza paska i uderzył nim w złoty gong wiszący pośród arrasów. Echo z

trudem

zamierało, gdy otworzyły się spiżowe drzwi, wszedł szczupły mężczyzna

ubrany w prostą

jedwabną szatę i stanął pochylony przed podium; Shaykhron nazwał

przybyłego Utang i

zaczął rozmowę z nim w języku, który dopiero co testował na Conanie.

— Czy znasz tego człowieka?

— Tak, Panie, to...

— Nie wymawiaj jego imienia; on nie rozumie nas, ale rozpozna swoje imię i

to, że

mówimy o nim. Czy twoi szpiegowie nadmieniali o nim w raportach?

— Tak, Panie. Ostatnia przesyłka z Khorshemish zawierała wieści o nim. W

nocy, gdy

twój sługa próbował zabić króla, ten człowiek potajemnie rozmawiał z królem, jakąś godzinę przed atakiem. Po opuszczeniu pałacu uciekł z miasta wraz z trzema ludźmi i był widziany na drodze do osady wyjętego spod prawa Akariona z Kroszhy. Ścigali ich jeźdźcy z Khorshy, ale czy poddali się pogoni, czy zostali zabici przez ludzi z Khroszhy, tego nie wiem. — Wygląda na to, że mówił prawdę o nielasce w Khorshe — zamyślił się Shaykhron.

Conan rozwalony na otomanie, nie dający po sobie poznać, że rozumie cokolwiek, zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy: siatka szpiegowska Ukrytych była bardziej doskonała i rozleglejsza niż podejrzewał; oraz, że łańcuch źle zrozumianych okoliczności pracował i jego korzyść. To, że uciekł z Khorshemish wydawało się naturalne w cieniu królewskiego gniewu.

Wyprawa do osady wyjętego spod prawa rozstrzygała kwestię podobnie, jak „pogoń” królewskich jeźdźców.

— Możesz odejść.

Utang poklonił się i wycofał zamykając drzwi. Shaykhron medytował w milczeniu przez

jakiś czas. W końcu uniósł głowę, jakby podejmując decyzję i powiedział:

— Wierzę, że mówisz prawdę. Uciekleś z Khorshemish do Khrohy, gdzie

żaden przyjaciel

króla, nie byłby witany serdecznie. Twoja wrogość do Hyperborei jest dobrze

znana. Ukryci

potrzebują takiego mężczyzny jak ty. Nie mogę cię jednak wprowadzić do

Bractwa dopóki

Lord Baghera nie wyda opinii. Teraz nie ma go w Shalhizarze, ale powróci tu

przed

jutrzejszym świtem. Tymczasem chciałbym usłyszeć, jak dowiedziałeś się o

naszej

społeczności i naszym mieście.

Conan wzruszył ramionami.

— Czy coś się ukryje przede mną pośród tajemnic Wzgórz? Słyszałem sekrety,

o których

zawodzi wiatr, gdy przenika suche gałęzie tamaryszku. Rozumiem krzyk kani

krążącej nad

wąwozem Camal. Znam opowieści szeptane przy ogniskach, które ludzie z

karawan rozpalają

na pustynnych szlakach.

— Zatem znasz nasz cel? Nasze ambicje?

— Wiem, jak się nazywacie. Dawno temu istniało inne miasto zbudowane na

górze,

rządzone przez władców, którzy zwali się Shaykhron — tak jak ty. Ich

zwolenników

nazywano Zabójcami. Byli w szponach narkotyku wytwarzanego z pewnej rośliny. Ich

obłąkańcze metody spowodowały, że całe dynastie bały się was.

— Tak — ciemny ogień rozbłysł w oczach czarnoksiężnika. — Sam Sauron drżał przed

nimi. Shaykhronowie pobierali daninę od Szacha Iranistanu, królów Shem, królów Koth,

Zamory i Turanu. Nie wyprowadzali armii w pole, walczyli trucizną, ogniem i sztyletem

uderzającym w ciemnościach. Ich okryci w szkarłatne płaszcze emisariusze śmierci

wędrowali z ukrytymi sztyletami wykonując rozkazy. A królowie umierali wszędzie, gdy

sprzeciwili się rozkazom Shaykhrona. Na górze Gleg, na granicy Iranistanu, pierwszy

Shaykhron, zbudował słynne miasto — zamek z ukrytymi ogrodami, gdzie jego wyznawcom

pozwalano zaznać radości raj, gdzie tańczące dziewczęta, piękne jak nimfy, przemykały

pomiędzy kwiatami, a marzenia wywołane narkotykiem złociły wszystko uniesieniem.

— Umieszczano człowieka otumanionego narkotykami w ogrodzie — powiedział Conan.

— Myślał, że jest w Valhalli. Później wpędzano go w nałóg i mówiono, że jeśli

chce osiągać

znowu te uniesienia musi słuchać Shaykhrona aż do śmierci. Żaden król,

nigdy nie

wyzyskiwał tak absolutnego posłuszeństwa. Do czasu, gdy Quanagowie

zniszczyli górski

zamek w roku raka, to oni zagrażali cywilizacji Zachodu zniszczeniem.

— Tak! A ja jestem w prostej linii potomkiem Sabatona! — promień fanatyzmu

rozbłysł w

ciemnych oczach. — Przez cały czas mej czarnoksiężskiej nauki, marzyłem o

świećności

moich przodków. Bogactwo, które nagle spłynęło na mnie po śmierci mego

poprzednika,

Ureczywistniło sen. Ja, Twolach Zanco, stałem się Shaykhronem, Władcą

ukrytego miasta.

— Sabaton był wyznawcą Sheddona, który nauczał, że wszystkie uczynki i

ludzie są

jednym dla bogów. Sheddonizm jest rozległy i głęboki jak morze. Wznosi się

ponad rasowe i

religijne podziały i jednoczy ludzi przeciwnych sekt. Jest to jedyna siła, która może

ostatecznie doprowadzić do zjednoczenia świata. Lud moich rodzinnych

wzgórz nie

zapomniał nauki Sheddona ani wspaniałych ogrodów. Spośród nich

wywodzili się moi

pierwsi wyznawcy. Lecz wkrótce inni zgromadzili się przy mnie w górach

Stygii, tam, gdzie

miałem pierwszą twierdzę, Ragorsi, Stygijczycy, Aesirowie, Irańczycy,

Quanagowie,

Turańczycy, ludzie wyjęci spod prawa, radzie bez nadziei, gotowi nawet

wyrzec się ojczyzny

w imię posmakowania Raju Ziemi. A wiara Ukrytych nie wyrzeka się niczego;

ona jednoczy,

emisariusze przemierzali cały świat, zdobywali zwolenników. Dobierałem

ludzi starannie.

Moje bractwo — rosło wolno, ponieważ badano, czy jest zdolny służyć moim

celom. Rasa i

wiara nie ma znaczenia; wśród moich ludzi są wyznawcy wielu kultów.

— Cztery lata temu przybyłem wraz z moimi zwolennikami do tego miasta —

które kiedyś

też było siedzibą naszych wyznawców — wtedy rozpadającej się masy ruin,

nieznanemu

mieszkańcom wzgórz bo przesady trzymały ich z dala od gór. Wieki temu

mieszkali tu

Zabójcy. Kiedy przybyłem domy były w ruinie, kanały wypełnione

kamieniami, roślinność

zdziczała. Odbudowa zajęła trzy lata i pochłonęła większość mojej fortuny,

potajemne

sprowadzanie materiałów było niebezpieczne i trudne. Przywoziliśmy je z

całego świata,

starymi szlakami karawan i starożytnym szlakiem na zachodniej stronie

plaskowyżu, który

już zniszczyłem. Ale w końcu spojrzałem na zapomniany Shalhizar identyczny

z tym, jaki

istniał za starożytnych Shaykhronów.

— Spójrz! — Wstał i skinął na Conana, by siedł za nim. Czarni giganci otoczyli

czarnoksiężnika, który wtedy ruszył do alkowy ukrytej za arrasem z tyłu

tronu. Jeden z

czarnych odsunął zasłonę i stanęli na okratowanym balkonie, wychodzącym

na ogród,

otoczony pięciometrowym murem i gęstymi zaroślami. Egzotyczna woń

unosila się z masy

drzew, krzewów i kwiatów, a srebrne fontanny dźwięczały harmonijnie.

Conan dostrzegł

poruszające się pomiędzy drzewami kobiety, skąpo ubrane w przejrzysty

jedwab i pokryty

biżuterią atlas — giętkie, szczupłe dziewczęta, głównie Stygijki, Shemitki i

Zamoranki, ale

były i inne. Nagle zrozumiał tajemnicze zniknięcia dziewcząt w Zamorze,

które nasiliły się w

ostatnich latach, i których ilości nie można było wyjaśnić przypadkowym

porwaniem

rodzimych książąt. Mężczyźni, prawdopodobnie otumanieni opium, leżeli pod

drzewami na

jedwabnych poduszkach. Muzyka zawodziła melodyjnie, grana przez niewidocznych muzyków. Łatwo dało się zrozumieć, jak człowiek o zmysłach otumanionych narkotykiem, może uwierzyć, że znajduje się w Raju, budząc się w tym fantastycznym ogrodzie.

— Skopiowałem i udoskonaliłem ogrody Sabatona — powiedział Shaykhron, następnie

zamknął sprytnie zamaskowane okno z kratami i powrócił do pokoju tronowego. — Pokazuję

ci to, bo nie chcę abyś „posmakował Raju”, tak, jak inni. Nie jestem takim głupcem, aby

wierzyć, że dasz się oszukać tak, jak oni. To nie konieczne. Poznanie tych sekretów nie

uczyni ci krzywdy. Jeśli Baghera nie zaakceptuje cię, twoja wiedza umrze wraz z tobą, jeśli

zaaprobuję, to już dowiedziałeś się tyle, ile wie każdy z Synów Gór. Możesz wspiąć się

wysoko w imperium, które buduję. Stanę się tak potężny, jak mój przodek.

Przygotowywałem

się trzy lata. Potem zacząłem uderzać. W ciągu ostatniego roku moi ludzie wyruszali z

zatrutymi sztyletami, tak, jak dawniej, nie uznając żadnego prawa z wyjątkiem mojej woli,

niesprzedajni, szukający raczej śmierci niż życia.

— A twoje podstawowe ambicje?

— Czy jeszcze nie zgadłeś? — Czarnoksiężnik prawie wyszeptał to pytanie, oczy rozszerzyły mu się i wypełniły dziwnym fanatyzmem.

— Któżby nie zgadł? Ale wolalbym usłyszeć to z twoich ust.

— Będę władał całym światem. Siedząc tu w Shalhizarze będę kontrolował przeznaczenie

świata. Królowie na swych tronach będą tylko marionetkami tańczącymi moich

sznurkach. Ci, którzy ośmielą się okazać nieposłuszeństwo, umrą w sposób nagły. Wkrótce

nikt nie ośmieli się protestować. Władza będzie moja. Władza! Bogowie! Cóż jest

wspanialszego?

Conan nie odpowiedział. Porównywał wielokrotne wzmianki Shaykhrona o jego władzy

absolutnej, z uwagami o tajemniczym Bagherze, który musi zdecydować o statusie Conana.

Wskazywało to, że bardzo liczył się z jego zdaniem, a być może dzielił z nim władzę w

Shalhizarze. Conan zastanawiał się kim był ten Baghera. Samo słowo prawdopodobnie nie

oznaczało nic i było czymś w rodzaju tytułu, podobnie, jak jego własny przydomek, Amra—

Lew.

— Gdzie jest Slikh? — zapytał nagle. — Twoi Ragorsi porwali go po zamordowaniu

Medasha.

Wyraz zaskoczenia i ignorancji na jego twarzy wydawał się przesadny.

— Nie wiem o kim mówisz. Ragorsi nie przyprowadzili z Wąwozu Demonów żadnego

jeńca.

Conan wiedział, że tamten kłamie, ale zdał sobie sprawę, że dalsze naciskanie pytaniami w

tym momencie byłoby bezcelowe. Wyobrażał sobie, dlaczego tamten wypierał się wiedzy o

Slikhu, który na pewno był w mieście. A drażnienie, tej sprawy po oficjalnym zaprzeczeniu

mogło być niebezpieczne.

Shaykhron dał znak czarnemu, który uderzył w gong i ponownie wszedł Utang kłaniając

się nisko.

— Utang wskaże ci komnatę, gdzie przyniosą ci jedzenie i picie — powiedział.

— Nie jesteś oczywiście więźniem. Straż nie będzie cię pilnować, jednak muszę prosić abyś nie

opuszczał swojej komnaty do czasu, gdy cię wezwę. Moi ludzie są podejrzliwi w stosunku do

w stosunku do

obcycj i do momentu, kiedy formalnie zostaniesz wprowadzony do społeczności...

Nie dokończył tego zdania.

ROZDZIAŁ 4

SZEPCZĄCE MIECZE

Niewzruszony Utang poprowadził Conana przez spiżowe drzwi, pomiędzy szeregi

błyszczących strażników i wzdłuż wąskiego, wijącego się korytarza. W pewnej odległości od

komnaty audiencyjnej, wprowadził Conana do pokoju sklepionego kością słoniową i

drzewem sandałowym. Komnata posiadała tylko jedne, wzmocnione spiżem mahoniowe

drzwi. Okien nie było. Powietrze i światło wpadało przez ukryte otwory w sklepieniu. Ściany

obwieszono bogatymi arrasami, a podłogę ukryto pod rozrzuconymi tu i tam dywanami.

Atlasowa otomana była jedynym meblem.

Utang bez słowa poklonił się, wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Conan rozsiadł się na

otomanie! Znalął się w najdziwniejszej sytuacji w całym, pełnym przygód i krwawych

epizodów życia. Poczul się nie na miejscu w swoich butach i zabrudzonych szatach, w tym

tajemniczym mieście, które obracało zegar czasu o blisko tysiąc lat wstecz. To

dziwne

wrażenie wypaść z własnego czasu i trafić do zagubionej, i zapomnianej

przeszłości, którą

kiedyś znał. W błysku pamięci zobaczył siebie: czarnowłosa, niebieskooki

wojownik z

dalekiej, zachodniej wyspy, ubrany w kolczugę, tysiące lat, pod innym

imieniem kroczący

przez oplecione intrygami labirynty miasta Zabójców.

Potrząsnął niecierpliwie głową. Prawie uwierzył w reinkarnację, ta sprawa

jednak nie była

zwykłym odrodzeniem mistycyzmu. Shaykhron mógł niepodzielnie panować

w Shalhizarze,

gdzie przebudziły się śpiące wieki, ale Conan czuł, że coś jest poza tym —

niewyraźny,

gigantyczny kształt wylaniający się zza kotar tajemnicy i iluzji.

Jaka była nagroda, o którą walczyły wielkie narody świata za zamkniętymi

drzwiami?

Coś więcej niż szaleńczy kaprys marzyciela leżało za tym fantastycznym

spiskiem. Sama

odbudowa miasta wymagała niesłychanego wysiłku i ogromnych sum

pieniędzy.

Kwestionował zapewnienia Shaykhrona, że przeznaczył na to część własnej

fortuny. Wątpił,

czy sami Ukryci sfinansowaliby to. Budowa Shalhizaru wskazywała na

potężne poparcie i

nieograniczone zasoby.

Nagle Conan przestał rozpatrywać różnorakie aspekty przeżywanej przygody i

zaniepokoił

się losem Slikha. Niewzruszony w rozmyślaniach nad własnym

bezpieczeństwem i losem

narodów, wstał, i przemierzał komnatę, jak tygrys w klatce, dumając nad

tajemniczym

zniknięciem Slikha. Dlaczego czarnoksiężnik wyparł się jeńca? To pytanie

brzmiało groźnie.

Conan usiadł ponownie, gdy usłyszał stukot sandałów na korytarzu.

Bezpośrednio potem

otworzyły się drzwi i wszedł Utang, a za nim olbrzymi czarnuch niosący

żywność na złotych

półmiskach i złoty dzban z winem. Utang szybko zamknął drzwi, ale Conan

zdążył dostrzec

szpic hełmu sterczący zza arrasów, zasłaniających alkowę na korytarzu. Więc

Shaykhron

kłamał, gdy mówił, że nie wystawi straży. Conan natychmiast uznał się za

rozgrzeszonego z

przestrzegania umowy o pozostawaniu w komnacie.

— Wino z Shadizaru panie i jedzenie — wskazał zupełnie niepotrzebnie Utang.

—

Niebawem dziewczyna piękna jak nimfa zostanie przysłana, by cię zabawić.

**Conan otworzył usta, aby odrzucić podarek, gdy zdał sobie sprawę, że przyślą
dziewczyne**

na przespiegi. Kiwnął głową przyzwalająco.

**Utang gestem kazał niewolnikowi postawić jedzenie, a sam spróbował każdej
potrawy i**

**łyknął szczerze wina. Potem pokłonił się i wypychając przed sobą czarnego
opuścił**

**komnatę. Conan, czujny jak głodny wilk w pułapce, zauważył, że Utang
próbował wino na**

**końcu i opuszczając komnatę potknął się lekko. Kiedy zamknęły się za nim
drzwi, Conan**

**uniósł dzban i głęboko powąchał jego zawartość. Z zapachem wina mieszała
się, tak słaba, że**

tylko jego czule nozdrza mogły to odkryć, aromatyczna woń, którą rozpoznał.

Nie była to

**trucizna, tylko nienazwany narkotyk, który powodował głęboki sen w krótkim
czasie. Ten,**

**który ostatnio próbował wina z pośpiechem opuścił pokój, aby nie zostać
zdemaskowanym.**

**Conan zastanowił się, czy mimo wszystko czarnoksiężnik nie planował
przeniesienia go do**

jakichś lochów.

Dalsze badania poparte doświadczeniem zdobytym przez lata, przekonały go,

że jedzenie

nie zostało zatrute i zabrał się za nie z zapalem.

Ledwo skończył posilek, gdy drzwi otwarto ponownie na tyle, aby szczupła, giętka postać

wsunęła się do środka; dziewczyna ubrana w przykrywające piersi, złote krążki, pokrytą

klejnotami przepaskę i przejrzyste jedwabne spodnie. Mogła pochodzić z haremu Anoda lub

Hartona. Conan zerwał się na równe nogi, jak uwolniona, stalowa sprężyna, ponieważ

rozpoznał ją, nim jeszcze uniosła swój przeźroczysty woal.

— Laara! Co ty tu robisz?!

Jej ogromne, ciemne oczy wypełniły się strachem i podnieceniem; słowa wydobywały się z

ust pomieszane, białe palce drżały w jego dłoni wzruszająco dziecinnie.

— Wykradli mnie pewnej nocy, gdy spacerowałam w ogrodzie mojego ojca.

Wieźli mnie z

karawaną mężczyzn udających handlarzy koni z Zamory. Przez Góry

Kolchijskie do

Zambouli dalej przez pustynię, przełęcz Shamla, i w końcu do tego miasta diablów, z

sześcioma innymi dziewczętami porwanymi w Vendhyi. Te karawany

niewolników kursują

ątałe pod baczynym okiem Turańczyków. Dziewczęta są zmuszane do siedzenia

w krytych

furgonach, nie ośmielając się wołać o pomoc, ponieważ jakiś nóż jest zawsze

blisko nich do

czasu minięcia granic Turami. Później nikt już nie zważa na płacz porwanych

kobiet. Turan

przejeżdżają jako żony, córki i siostry „handlarzy koni”. W Ghori jest pewien

turański

urzędnik opłacany przez handlarzy. Przy jego pomocy mnóstwo dziewcząt co

roku jest

przewożonych przez Turan.

Conan nie użył mocnych słów, ale myśli miał bluźniercze i mordercze. To, że

ten

obrzydliwy handel odbywał się pod jego nosem, wprawilo go w niebezpieczną

wściekłość, a

także pokazywało skuteczność i organizację Ukrytych.

— Jak nazywa się ten urzędnik? — zapytał ponuro.

— Unqvis.

— Znam tę świnię! — skurcz na twarzy świadczył o dzikiej satysfakcji, gdy

Conan zdał

sobie sprawę z okazji wyrównania starych rachunków. Potem wrócił do

rzeczywistości.

Zdemaskowanie Unqvisa i wepchnięcie noża w jego tłusty brzuch w walce,

która na pewno

nastąpi, było kwestią przyszłości. Laara opowiadała gubiąc z pośpiechu słowa.

— Przebywam tu od miesiąca! Prawie umarłam ze strachu; Widziałam, jak

inne

dziewczeta umierały na skutek tortur. Zrobił mnie „niewolnicą” w ich

śmierdzących rajskich

ogrodach. Moje serce prawie pękło, kiedy zobaczyłam, jak żołnierze Ammada

prowadzą cię

między sobą. Obserwowałam z przejścia zasłoniętego arrasem. Gdy łamałam

sobie głowę nad

sposobem porozmawiania z tobą, Pan Dziewcząt przybył, aby posłać

dziewczynę do obcego

wojownika. Miała wydobyć jego sekrety, jeśli jakieś posiada. Nakłoniłam go,

aby wysłał

mnie. Myśli, że jestem twoim wrogiem. Powiedziałam mu, że zabiłeś mojego

brata.

Rozmyślała przez chwilę nad potwornością swojego życia: jej brat był jednym

z najlepszych

przyjaciół Conana.

— Powiedz mi Laara, czy wiesz coś o Slikhu?

— Tak, Conanie! Sprowadzili go, aby zrobić z niego wyznawcę, ponieważ, jak

dotąd,

żaden Hyrkańczyk nie przyłączył się do kultu, a Shaykhron jest bardzo

spragniony pozyskać

kogoś, kto ma władzę w Hyrkanii. Slikh jest bardzo potężnym człowiekiem,

jak wiesz,

Conanie. A poza tym zna wielu władców w Hyrkanii. Po dotarciu do miasta oddali go w ręce strażników. Uwolnił się i gołymi rękoma zabił brata Ammada i ten zażądał jego głowy, a Shaykhron mimo swoich planów co do niego nie odmówił mu.

— Więc dlatego Shaykhron skłamał o Slikhu — mruknął Conan.

— Tak. Slikh leży w lochu pod pałacem i jutro zostanie oddany na tortury i śmierć.

Twarz Conana nie zmieniła wyrazu, ale oczy pociemniały i nabrały złowrogiego blasku.

— Zaprowadzisz mnie dziś w nocy do kwatery Ammada — Jego zmniejszone źrenice zdradzały śmiertelne zamiary.

— Nie, on śpi pomiędzy wojownikami, sprawdzonymi żołnierzami pustyni.

Jest ich zbyt

dużo, nawet dla takiego wojownika, jak Zaprowadzę cię do Slikha!

— Co ze strażnikiem ukrytym na korytarzu?

— Ten pokój jest połączony tajemnym przejściem z lochami. Nie zobaczy, jak opuszczamy tę komnatę. Do czasu mojego odejścia nic otworzy drzwi, a także nie wpuści nikogo do środka.

Odciągnęła arras na ścianie naprzeciw drzwi i nacisnęła arabeskowy deseń.

Fragment

ściany obrócił się do środka, odsłaniając wąskie schody wijące się w dół i

ginące w

nieprzeniknionej otchłani.

— Pan myśli, że niewolnicy nie znają jego sekretów — szepnęła. — Chodź.

Podniosła i

zapaliła małą lampkę oliwną. Trzymając ją wysoko w szczupłej dłoni, ruszyła

w dół,

zamykając jednocześnie ścianę za nimi. Schodzili do momentu, kiedy Conan

ocenił, że są już

głęboko pod pałacem. Natknęli się na poziomy, wąski korytarz odchodzący od

stóp schodów.

— Jesteśmy teraz pod jednym z zewnętrznych ogrodów — powiedziała. —

Jeden z

niewolników, który planował ucieczkę z Shalhizaru pokazał mi to tajne

przejście.

Planowałam ucieczkę wraz z nim. Ukryliśmy tu broń i żywność. Został

schwyty i poddany

torturom. Umarł nie zdradzając mnie. Oto miecz, który tu ukrył.

Przerwała i zaczęła szperać w jakiejś niszy. Wyciągnęła klingę i wręczyła ją

Conanowi.

Wziął miecz, wierząc, że będzie potrzebował takiej broni przed ucieczką.

Parę chwil później dotarli do ciężkich, obitych żelazem drzwi. Laara, gestem

nakazującym

ostrożność, przyciągnęła Conana i pokazała mu malusieńką szczelinę do

podglądania —

Spojrzał na dość szeroki korytarz, którego jedna ściana była zupełnie pusta z wyjątkiem pojedynczych hebanowych drzwi, niezwykle ozdobionych, z solidnym rygłem, zaś na drugiej widniał szereg drzwi do cel. Korytarz nie był długi. Widział jego koniec również zakończony ciężkimi drzwiami. Ozdobne, oliwne lampy wisiały w pewnych odstępach i rzucały łagodne światło.

Przed jedną z cel stał strażnik w błyszczącym pancerzu, ozdobionym piórami helmie i z szablą w ręku. Miał orli nos, czarną brodę i arogancką postawę pewności siebie i siły.

Palce Laary zacisnęły się na ramieniu Conana.

— Slikh jest w celi, przed którą on stoi — wyszeptała. — Zabij go w ciszy. On nie ma łuku i jest dumny ze swojej umiejętności posługiwania się szablą. Nie krzyknie aż do momentu, kiedy zda sobie sprawę, że jest pokonany. Wyżej nie usłyszą dźwięczenia stali.

Conan zważył w dłoni ostrze, które mu dała — długa, turańska atol, lekka, ostra jak brzytwa do cięcia i nie zakrzywiona, dobra do pchnięć. Miecz miał tę samą długość co broń

strażnika.

**Conan otworzył tajne drzwi i wkroczył na korytarz. Spostrzegł zarośniętą
twarz Slikha**

**spoglądającą zza krat za Irańczykiem, Conan nie odezwał się wychodząc z
ukrycia, ale**

**niewidoczne zawiasy zgrzytnęły i przeciwnik odwrócił się szybko jak kot,
warcząc ze**

**zdumienia, rzucając dzikie spojrzenie i natychmiast zaatakował z
determinacją pantery.**

**Conan spotkał się z nim w pół drogi. Dzikooki Slikh, trzymający kraty aż do
zbielenia**

**kłycki, i dziewczyna, skulona w otwartych drzwiach, byli świadkami gry
mieczy, która**

zagotowałyby krew królów.

**Jedynymi dźwiękami były szybkie, przyciszone, pewne kroki, zgrzyty i
uderzenia stali o**

**stal, i oddechy walczących. Długie, lekkie ostrza migotały iluzorycznie w
łagodnym świetle.**

**Wydawały się żywe, jak języki węży, wysuwające się i błyskające, stanowiły
jedno z ludźmi,**

**którzy się nimi posługiwali, połączone nie tylko z ręką, ale i z umysłem. Dla
dziewczyny było**

**to oszalamiające i niepojęte. Slikh jednak, wychowany z mieczem w dłoni,
rozumiał i**

doceniał wspaniałą zręczność, która iskrzyła tu w błyskawicznych

zawilościach walki, na

przemian zamierał i rozpalał się obserwując oszalamiającą wspaniałość

pojedyнку.

Przed Irańczykiem wiedział, kiedy równowaga wisząca na włosku, załamała

się; poczuł

nieuniknione nadejście decydującego momentu. Usta Irańczyka otworzyły się

w dzikim

rozpoznaniu klęski i rozpaczliwym postanowieniu zabrania wroga ze sobą.

Koniec nadszedł

nim Slikh zdał sobie sprawę z jego bliskości. Głośniejszy dźwięk ostrzy, błysk

stali, który

zmylił oko próbujące je śledzić — migający miecz Conana wydawał się lekko

popieścić szyję

wroga w przelocie — i już Irańczyk z głową nie całkowicie odciętą od tułowia

leżał w kałuży

krwi. Umarł bez słowa.

Conan stał nad nim przez chwilę, z mieczem poplamionym karmazynowymi

nitkami. Miał

rozdartą koszulę, jego muskularna pierś opadała i podnosiła się swobodnie.

Tylko cienka

warstwa potu błyszcząca na czole, zdradzała wysiłek niedawnych zmagañ.

Pochylając się zerwał pęk kluczy z pasa umarłego. Zgrzyt żelaza w zamku

wydawał się

wyrwać Slikha z transu.

— Conanie jesteś szalony, jeśli przyszedłeś do tego gniazda żmij! Kto nauczył tego diabła

tak władać mieczem! To przeniosło mnie do starych czasów, kiedy współzawodniczyliśmy z

najświetniejszymi ostrzami Hyrkanii!

— Wychodź. — Conan otworzył drzwi. Slikh wyszedł na korytarz prężnie i lekko jak

pantera, był bez turbanu i na wpół nago, ale ten stan nie wpływał na mężność jego postawy.

Conan myślał gwałtownie.

— Nie mamy szans przedrzeć się przed zmrokiem. Laara, kiedy ktoś przyjdzie, żeby

zastąpić człowieka, którego zabiłem?

— Zmieniają strażę w lochach co cztery godziny. Jego zmiana właśnie się zaczęła.

— Dobrze! To daje nam cztery godziny wyprzedzenia. Przebywał w Shalhizarze o wiele dłużej niż zamierzał.

— W ciągu najbliższych godzin zajdzie słońce. Gdy tylko dobrze się ściemni spróbujemy

się uwolnić. Dopóki nie będziemy gotowi ukryjemy się na schodach.

— A co, jeśli ktoś przyjdzie zastąpić strażnika? — spytał Slikh.

— Wyda się, że uciekłem z celi. Powinieneś być mnie tu pozostawić do czasu

bezpiecznej

ucieczki.

— Nie śmiałem ryzykować. Mógłbym nie zdołać cię wydostać, gdy nadszedłby czas.

Mamy cztery godziny do chwili, kiedy prawdopodobnie odkryją twoje zniknięcie. Jeśli tak się

stanie, może powstałe zamieszanie pomoże nam. Ukryjmy gdzieś to ciało.

Odwrócił się do dziwacznie ozdobionych drzwi, ale Laara chwyciła go za ramię i szepnęła:

— Nie tu! Czy otworzyłbyś drzwi do piekła?

— Co masz na myśli? Co jest za tymi drzwiami?

— Nie wiem. Ciała straconych mężczyzn i kobiet są zrzucane z krawędzi płaskowyżu na

pożarcie kaniom. Przez te drzwi przeprowadza się nieszczęśników, którzy przeżyli tortury. Co

się z nimi dzieje, nie wiem, ale słyszałam ich krzyki, bardziej straszliwe niż przy torturach.

Dziewczęta mówią, że prawdziwy demon ma za tymi drzwiami swoją jamę.

Odmawia

pożerania trupów i przyjmuje tylko ofiary żywe.

— To możliwe — powiedział Slikh sceptycznie. Widziałem, jak parę godzin temu

niewolnik cisnął przez nie coś, co nie było ani mężczyzną ani kobietą. Nie wiem — co to

było.

— Bez wątpienia noworodek — zadrżała.

Conan wciągnął już ciało Irańczyka do celi i zaczął je rozbierać. Polecil

Slikhowi wejść do

celi i zdjąć lachy pozostawione mu przez prześladowców. Ubrał trupa w

odzież Slikha i

ułożył go w najdalszym kącie plecami do drzwi, tak, że przecięte gardło nie

rzucało się w

oczy. Irańczyk nie dorównywał wzrostem Slikhowi, ale w zgiętej pozycji, fakt

ten nie był tak

dostrzegalny. Slikh włożył te części ubioru i ekwipunku zmarłego, które

pasowały. Hełm i

pancerz, które nie zaliczyły się do tego zestawu zabrał ze sobą, by je ukryć w

tunelu. Conan

zamknął drzwi celi i oddał klucze Slikhowi.

— Nic nie możemy zrobić z krwią na podłodze. Gdy przyjdzie inny strażnik

pomyśli, że to

ty, śpisz albo jesteś martwy, i zacznie poszukiwania strażnika, a nie ciebie. Im później

odkryją, że uciekłeś tym więcej czasu uzyskamy. Nie mam określonego planu

co do ucieczki

z miasta; to będzie zależeć od okoliczności. Jeśli przekonam się, że nie mogę

uciec, zabiję

Shaykhrona, a reszta leży w rękach Croma. W wypadku, gdy wam dwojgu to

się uda, a mi

nie, spróbujcie wracać szlakiem i spotkać Serotańczyków, którzy tu

nadciągają. Wysłałem po

nich Yarali Nakha. Wyruszył o świcie. Jeśli bezpiecznie dotarł do koni,

powinien dotrzeć do

Khroszy wkrótce po zapadnięciu zmroku. Serotańczycy dotrą do kanionu pod

płaskowyżem

mniej więcej jutro o świcie.

Wrócili do ukrytych drzwi, które po zamknięcia wydawały się dalszym

ciągłem kamiennej

ściany. Zatrzymali się tylko na tyle, żeby Laara zapaliła ponownie małą

lampkę oliwną,

później przebyli korytarz i wspięli się na schody.

— Tutaj musisz się ukryć do czasu, aż nadejdzie właściwy moment —

powiedział Conan.

— Weź miecze i lampkę. A także to. — Wcisnął mu wielki błękitny sztylet

wbrew jego

sprzeciwom. — Będziesz go potrzebował nim skończy się noc. Jeśli coś mi się

stanie zabierz

dziewczynę i spróbujcie uciec w ciemnościach. Jeśli żadne z nas nie przyjdzie

po ciebie w

przeciągu czterech godzin, otwórz te zamaskowane drzwi i uciekaj sam.

— Jak każesz, Conanie. Wstyd mi, że obezwładniono mnie bez walki, ale

Ragorsi

przekradli się przez jar, jak koty. Jeden z nich powalił mnie kamieniem

wyrzuconym z procy

nim uświadomiłem sobie ich, obecność. Stali w takich ciemnościach, że nawet sam diabeł, by

ich nie dojrzał. Kiedy doszedłem do siebie zostałem zakneblowany i związane mi ręce za

plecami. Powiedzieli, że w podobny sposób podeszli Medasha, ale później podcięli mu

gardło, ponieważ nie chcą żadnych kontaktów z ludźmi z zewnątrz, obawiając się, że w

rozmowach z krewniakami, czy znajomymi mogą zdradzić tajemnicę

Shalhizaru — Ragorsi

jak koty skradają się w ciemności. Mimo to bardzo mi wstyd.

To mówiąc usiadł ze skrzyżowanymi nogami na najwyższym stopniu, usadawiając się ze

spokojem charakterystycznym dla swojej rasy, przygotowany na długie czuwanie.

Kiedy Conan i Laara wrócili do komnaty, dziewczyna pieczolowicie, rozwiesiła arras nad

falszywą ścianą. — Lepiej już idź — powiedział Conan. Jeśli zostaniesz tu zbyt długo mogą

stać się zbyt podejrzliwi. Znajdź sposób, żeby tu wrócić, gdy tylko dobrze się ściemni. Mam

przecucie, że powinienem tu zostać aż wróci ten facet, Baghera. Kiedy wrócisz, powiedź

strażnikom na korytarzu, że przysłał cię Shaykhron. Zajmę się nim, kiedy
będziemy gotowi
do ucieczki. Poza tym, przysłali tu wino z narkotykiem. Powiedz im, że
widziałas, jak je
piłem. Myślę, że wiem dlaczego je przysłali.

— Tak! Wrócę po zmroku.

Dziewczyna drżała ze strachu i podniecenia, ale kontrolowała swoje
zachowanie
wspaniale. W niebieskich oczach Conana pokazał się żal, gdy obserwował, jak
jej szczupła
sylwetka mija drzwi. Ulubiona córka bogatego handlarza w Peshkhauri, nie
była
przyzwyczajona do taktowania jakiego, doznawała w Shalbizarze. Trzymała
się jednak dość
dobrze.

Conan podniósł dzban wina i rozmazał sobie na ustach nieco napoju, by
wywołać zapach,
który mógłby zostać wykryty przez czule nozdrza. Potem opróżnił zawartość
w kącie za
arrasem i wyciągnął się na otomanie udając drzemkę. Dzban położył na
podłodze blisko
głowy.

Po paru minutach drzwi się otworzyły ponownie. Weszła dziewczyna. Nie
otworzył oczu,

ale z lekkiego szelestu gołych stóp na grubych kobiercach i z zapachu perfum

wnioskował, że

to dziewczyna. Z tych samych przesłanek wiedział, że to nie Laara.

Najwidoczniej Shaykhron

nie pokładał zbyt dużego zaufania w jakiegokolwiek kobiecie. Conan nie

uważał, aby przysłano

ją w morderczej misji — trucizna w winie wystarczyłaby do tego — więc nie

ryzykował

podglądania przez przymrużone powieki.

To, że dziewczyna się boi, wynikało jasno z drżenia jej oddechu, gdy pochyliła

się nad

nim. Jej nozdrza prawie dotknęły jego warg. Usłyszał westchnienie ulgi, gdy

poczuła wino z

narkotykiem w jego oddechu. Delikatne ręce myszkowały po jego ciele w

poszukiwaniu

ukrytej broni, i gdy natrafiły na pustą pochwę pod lewym ramieniem, był

zadowolony, że

oddal sztylet Slikhowi. By podtrzymać podstęp byłby zmuszony pozwolić jej

zabrać broń.

Wymknęła się z pokoju, delikatnie zamykając drzwi. On leżał spokojnie dalej.

Nie

sprawilo mu to kłopotu. Musi minąć cztery godziny nim będzie mógł zrobić

jakikolwiek ruch.

Dawno temu nauczył się jeść i spać wtedy, gdy mógł. Grał z życiem i śmiercią o

główną

stawkę. Jego maskarada wisiała na włosku. Jego życie, i życie jego towarzyszy,

zależało od

znalezienia przez niego sposobu ucieczki z płaskowyżu tej nocy. Jak dotąd nie

miał planu; nie

wiedział, jak mają opuścić miasto i zejść z urwiska. Spekulował na temat

możliwości

znalezienia czy wywalczenia drogi, ucieczki, kiedy nadejdzie czas. W

międzyczasie spał

spokojnie i krzepko, jakby leżał w domu przyjaciela, bezpieczny, jak w

rodzinnym kraju.

ROZDZIAŁ 5

MASKA OPADA

Podobnie, jak większość ludzi, którzy żyją na granicy ryzyka, Conan przyswoił sobie talent

spania tyle, ile się chce i budzenia się w wybranej przez siebie chwili. Nie pozwolono mu

jednak przespać jego czterech godzin.

Sen miał zdrowy i krzepiący, mimo to obudził się w chwili, gdy czyjaś dłoń dotknęła

drzwi. Obudził się i zerwał na równe nogi, gdy wszedł Utang z nieodłącznym pokłonem.

— Shaykhron pragnie cię widzieć, panie. Pan Baghera powrócił.

Więc tajemnicza postać przybyła szybciej niż Shaykhron oczekiwał. Conan poczuł

ostrzegawcze napięcie, gdy wychodził za Irańczykiem z komnaty. Rzut oka w bok ujawnił

wybrzuszenie na arrasie w miejscu, gdzie dostrzegł helm; strażnik ciągle tam tkwił.

Utang nie prowadził go z powrotem do komnaty, gdzie Shaykhron przyjął go poprzednio.

Prowadził przez kręty korytarz do złoconych drzwi, przed którymi stał irański strażnik.

Człowiek ten otworzył drzwi, a Utang ponaglił Conana do przekroczenia progu. Drzwi —

zamknęły się za nimi, a Conan zatrzymał się nagle.

Stał w obszernej komnacie bez okien, ale z kilkoma wejściami. Po drugiej stronie komnaty

na otomanie na wół leżał Shaykhron, otoczony tuzinem uzbrojonych (mężczyzn różnych ras:

Brythuńczykami, Stygijczykami, jednym Puntjczykiem i pierwszym Darfarem jakiego

Conan zobaczył w Shalhizarze — owłosiony, pokiereszowany, prymitywny lajdak, którego

Conan znał jako Vangoor, złodziej i morderca. Z tyłu stali czarni niewolnicy Shaykhrona.

Cymeryjczyk poświęcił tym ludziom jedynie najkrótsze możliwej spojrzenie.

Cała jego

uwaga była skupiona na mężczyźnie, który dominował nad całą sceną.

Człowiek ten stał

między nim, a otomaną Shaykhrona, z szeroko rozstawionymi nogami

jeźdźca, w ponury,

mroczny sposób. Był wyższy od Conana i bardziej muskularny, co podkreślały dobrze

dopasowane bryczesy i skórzane buty. Jedną dłonią pieścił rękojeść

potężnego miecza, który

wisiał mu i przy udzie, drugą muskał swoje gęste, czarne wąsy. Conan

zrozumiał, że gra się

skończyła ponieważ stał przed nim Ronn, Turańczyk, który znał Conana zbyt

dobrze, żeby

dać się oszukać, tak, jak Shaykhron.

— To jest ten człowiek — powiedział Shaykhron. — Pragnie się do nas przyłączyć.

Człowiek zwany Baghera, uśmiechnął się słabo.

— On gra jakąś rolę. Conan nigdy, by nie zdradził. Szpieguje tu dla króla.

Oczy skupione na Cymeryjczku nabrały nagle morderczego wyrazu. Słowo

Baghery

wystarczyło, by przekonać jego ludzi. Conan zaśmiał się głośno i nikt, kto go

słyszał nie

rozumiał dlaczego. Ronn także. Znał Conana na tyle dobrze, by odsiać prawdę

od kłamstwa i

rozumieć jego rzeczywisty cel w Shalhizarze. Nie znał go jednak dość dobrze,

by zrozumieć

ten śmiech, lub zrozumieć ciemny płomień, jaki narastał w jego oczach.

Conan nie śmiał się z siebie i nie wyszydzał cynicznie własnej klęski. Pod

tajemniczą

powierzchnością kryła się nieposkromiona dusza barbarzyńskiego

wojownika. Długo uczył

się, że walka sama w sobie nie jest mądra i jest ostatecznością. Teraz jednak,

gra się

skończyła. Wszystkie maski opadły. Zrobił wszystko co mógł chytrą i

intrygą. Za plecami

miał ścianę i pozostała mu tylko walka. Mógł zanurzyć się w krwawe

szaleństwo bitwy bez

wątpliwości, żalu i bez rozważania konsekwencji. Śmiech, który zadziwił jego wrogów,

narastał w dzikiej radości z głębin jego żywiołowej duszy. Po chwili wziął się w karby, tylko płomień w jego oczach mógł ostrzec jego wrogów, ale oni nie rozpoznali groźby.

Shaykhron wykonał gest rezygnacji.

— W tych sprawach zawsze polegam na twoim sądzie, Baghera. Znasz tego człowieka. Ja

nie. Rób co chcesz,. Nie obawiaj się. Nie jest uzbrojony.

Potwierdzeniem bezradności ich ofiary było wilcze okrucieństwo wyostrzające twarze

wojowników, a Vangoon na wpeł wyciągnął metrowy miecz z wyszywanej pochwy. Wokół

było mnóstwo ostrej stali, ale tylko Ronn był naprawdę niebezpieczny.

— To ułatwi sprawę — zaśmiał się Ronn. Później przeszedł na aquiloński, którego

Irańczycy oprócz Shaykhrona nie rozumieli. — Conanie, jesteś szalony jeśli tu przybyłeś.

Powinieneś był wiedzieć, że spotkasz tu kogoś, kto będzie wiedział kim naprawdę jesteś, nie

tak, jak ci głupcy.

— Jesteś; zwycięzcą w tej rozgrywce — przyznał Conan. — Nie wiedziałem, że tubylcy

zwą cię Baghera. To mnie zmyliło. Wiedziałem jednak, że jakaś potęga musi
stać za tą
maskaradą. Twój mocodawca marzą o światowym imperium; prawda? Więc
wysłali ciebie
byś połączył fanatyzm z siłą; pomógł zbudować miasto, zrobić z niego
narzędzie. Dostarczyli
pieniądze, rozum i broń. Co mieli nadzieję zrobić? Obalić każdego władcę,
nastawionego
teraz przyjaźnie do sąsiadów i zastąpić go marionetką posłuszną ich
rozkazom? Skłócić
wszystkich ze sobą? Zastraszyć wroga nastawionych władców i książąt groźbą
śmierci, aby
zapewnić korzystne układy i koncesje? I w odpowiedniej chwili przejąć w tych
królestwach
władzę?
— Częściowo — przyznał Ronn spokojnie. — To tylko jedna nitka w daleko
sięgającej
pajęczynie imperialnych ambicji. Nie będę cię zanudzał przypominaniem, że
mógłbyś
odegrać pewną rolę w powstającym imperium, gdybyś był mądry. Znam twój
upór w
odmowie robienia czegokolwiek przeciwko interesom króla, dla którego
aktualnie służysz,
choć nie rozumiem dlaczego. Jesteś Cymeryjczykiem. Twój przodek przez

stulecia

zwalczali inne narody.

Conan uśmiechnął się ponuro.

— Nie dbam o Koth jako naród. Ale Kothyjczycy lepiej się mają pod panowaniem

własnych władców, niż czuliby się pod rządami ludzi, którzy zatrudniają takie kanalie, jak ty.

Nawiasem mówiąc, kim są twoi obecni panowie? Muszą być naprawdę bardzo potężni skoro

nawet czarnoksiężnik Shaykhron liczy się z twoim zdaniem?

— Co to za różnica, kto wydaje rozkazy, ważne jest, kto cię zabije. Ronn pokazał białe

zęby pod sztywnymi ciemnymi wąsami w lekkim uśmiechu. Czarnoksiężnik i jego ludzie

poruszali się niespokojnie, gniewni, że nie mogą uczestniczyć w rozmowie.

Ronn przerzucił

się na irański.

— Ciekawe będzie obserwować twój koniec. Mówią, że jesteś równie wytrzymały, jak

góry w twoim kraju. Cieszę się na sprawdzenie twojej reputacji. Straż, związać go.

Sięgnął po miecz u biodra gestem bardzo powolnym. Wiedział, że Conan jest

niebezpieczny, ale nigdy nie widział czarnowłosego Cymeryjczyka w akcji i nie zdawał sobie

sprawy z wścieklej szybkości, która czaiła się w twardych mięśniach Conana.

Nim Ronn

podniósł ostrze miecza, Conan skoczył i uderzył, jak pantera. Cios zaciśniętej pięści miał siłę

młota i Turańczyk padł tryskając z ust krwią, miecz wysunął mu się z dłoni.

Nim Conan zdołał chwycić broń, Vangoool był już przy nim. Tylko on zdał sobie sprawę ze

śmiercionośnej szybkości i dzikości Conana, ale nawet on nie był dość szybki, by ochronić

Turańczyka przed uderzeniem. Utrzymał jednak Conana z dala od miecza, ponieważ Conan

musiał odwrócić się i walczyć. Potężny miecz wznosił już nad nim. Conan chwycił lewą ręką

za przegub Vangooola zatrzymując cięcie w powietrzu, żelazne mięśnie wyrywały się z jego

nadgarstka w wysiłku. Ruchem ramion skierował ostrze w bok, prawą ręką wyrwał sztylet z

pasa Darfara i zatopił go po rękojeść pod jego zebrami, prawie tym samym ruchem. Vangoool

jęknął i opadł umierając. Conan wyszarpnął długi miecz z ręki padającego przeciwnika.

Wszystko to zdarzyło się w nieprawdopodobnym wybuchu szybkości, trwając ułamek

sekundy. Ronn leżał na ziemi, a Vongool umierał nim ktokolwiek przystąpił

do działania. A

kiedy to zrobili, natrafili na miecz o długości metra, w dłoni

najskuteczniejszego szermierza

na zachodzie.

Obracając się, by stawić czoło atakowi liznął długim ostrzem i ściał z nóg

Irańczyka,

kończąc jego życie przecięciem szyi. Inny wrzasnął, łapiąc się za rozcięty

brzuch. Następny

wyprzedzony przez wściekle uderzenie miecza, zatoczył się w bok, kurczowo

trzymając się

za tryskający krwią kikut ręki.

Conan nie opierał się plecami o ścianę; skoczył w tłum nieprzyjaciół,

morderczo

posługując się swym ociekającym krwią mieczem. Wirowali i dreptali wokół

niego; był

centrum trąby powietrznej utworzonej z ostrzy, które migotały, cięły,

zadawały pchnięcia i

jakoś ciągle chybiały swojego celu ponieważ zmieniał on swoją pozycję tak

szybko, że mylił

spojrzenia próbujące go śledzić. Liczba atakujących powodowała, że

przeszkadzali sobie

nawzajem; cięli w powietrze, ranili się nawzajem, zdezorientowani jego

szybkością i

zdenerwowani przez wilczą wściekłość jego ataku.

W tak śmiertelnie ciasnym pomieszczeniu długi miecz w dłoniach człowieka,
który wie,
jak nim władać jest najbardziej morderczą bronią we wszechświecie. Conan
dawno temu
opanował każdy ruch, czy to straszliwe obrotowe uderzenia rozszechniające
czaszki, czy
wściekle cięcia z dołu ku górze wypruwające ludzkie wnętrzości. W tej
robocie rzeźnika
Conan nie wykonał żadnego fałszywego ruchu; nigdy nie miał wątpliwości, czy
chwili
dezorientacji. W jego ataku nie zaistniał moment niepewności czy wahania.
Przebijał się
przez gąszcz napiętych ciał i uderzających ostrzy, jak śmiercionośny tajfun,
pozostawiając za
sobą czerwony ślad.
Poczucie czasu znika w wirze walki. W rzeczywistości bijatyka trwała zaledwie
parę
chwil. Ci co przeżyli, cofnęli się ogłuszeni i przerażeni błyskawicznym
spustoszeniem
dokonanym pośród nich. Conan obrócił się i zlokalizował Shaykhrona, który
wycofał się pod
przeciwległą ścianę, otoczony przez potężnych, czarnych strażników. Gdy
mięśnie nóg
Conana tężały przed skokiem, jakiś okrzyk zatrzymał go i kazał mu się

odwrócić.

Grupa strażników ukazała się w „otwartych na korytarz drzwiach z wycelowanymi w niego lukami. Ci, którzy przebywali w pokoju bezładnie uciekali z linii strzału.

Wahanie

Conana trwało tylko przelotny ułamek sekundy. W przebłysku świadomości rozważył swoje szansę na dopadnięcie Shaykhrona i zabicia go przed własną śmiercią. Ocenił, że trafi go w powietrzu przynajmniej pół tuzina strzał, ale nie wahał się w postawieniu swojej dzikiej żywotności przeciwko samej śmierci.

Wtedy — wszystko wydawało się dziać jednocześnie — nim Conan mógł skoczyć lub strażnicy oddać salwę, jakieś drzwi po prawej stronie z hukiem otworzyły się do wnętrza pokoju i trzy strzały lecące prawie równocześnie trafiły w szereg strzelców.

Slikh! Wraz z

pierwszym okrzykiem triumfu wielkiego wojownika, Conan zmienił plan śmierci na plan

życia. Zaatakował Irańczyków zamiast Shaykhrona. Zdezorientowani przez nagły ostrzał,

który zabił trzech ludzi oraz wywołał krzyki i oszłomienie innych, Irańczycy całkowicie

stracili głowę. Niektórzy wystrzelili bezładnie w Slikha, niektórzy w

atakującego Conana,

wszyscy chybili, co jest nieuniknione, kiedy uwaga ludzka jest rozproszona.

Gdy tak

bezskutecznie strzelali, Conan znalazł się pomiędzy nimi. Ociekające ostrze

bryzgało krwią i

pozostawiało za sobą skręcające się, krwawiące postacie. Po chwili przedostał

się przez

splątany tłum i popędził korytarzem, krzyknął do Slikha wpadając w drzwi

sąsiedniej

komnaty.

Slikh w chwili, gdy zobaczył Conana zanurzającego się w zgraję strażników,

zatrzasnął

spiżowe drzwi pomiędzy pokojami i uśmiechnął się słysząc, jak groty

rozpłaszczają się na

metal, potem odwrócił się i popędził do drzwi na korytarz. Gdy dotarł do

progu, usłyszał

okrzyk Conana. Jakaś dłoń trzymająca pałkę wysunęła się zza arras. Slikh jej

nie zauważył i

unik pełen rozpaczony wykonany po usłyszeniu ostrzegawczego wrzasku

Conana nic nie

pomógł. Pałka trzasnęła go w nieosłoniętą głowę i Slikh zataczając się do tyłu

wpadł do

otworu, który pojawił się nagle w podłodze. Pułapka momentalnie zamknęła

się nad
upadającym ciałem.

Warcząc Conan skoczył do arrasu, ale jego cios rozpruł tylko aksamit i
zadźwięczał o
kamień. Ktokolwiek tam się czaił, wycofał się już do ukrytej wnęki.

Slikh spadł w czeluść — martwy czy żywy — przez ukrytą zapadnię i Conan nie
mógł mu

teraz pomóc. Pułapka została zamknięta, a mężczyźni wylewali się na korytarz
dziko

wrzeszcząc. Echo krzyków toczyło się ogłuszająco wzdłuż ścian korytarza.

Strzały uderzały w spiżowe drzwi, które zamknął Slikh. Conan zatrasnął
drzwi na

korytarz, obiegnął pokój trzymając się blisko ściany, aby uniknąć pułapki na
środku i otworzył

drzwi naprzeciwko. Wypadł na wąski korytarz, który odchodził pod kątem
prostym od

głównego holu. Na przeciwnym końcu widniało okratowane złotem okno.

Jakiś Stygijczyk

wyskoczył z alkowy podnosząc luk. Conan zaatakował, jak góraska burza.

Zniechęcony

widokiem dzikiego, poplamionego krwią potężnego mężczyzny, Stygijczyk

wystrzelił bez

celowania, chybił i zrozumiał, że nie starczy mu czasu na sięgnięcie po

następną strzałę

Wrzasnął, rzucił łuk szarpiąc rozpaczliwie za rękojeść miecza, potem podniósł ręce do góry i krzyknął, gdy Conan doprowadzony do szału losem Slikha uderzył z morderczą furją. Głowa Stygijczyka odskoczyła od jego ramion ciągnąc za sobą karmazynowy strumień i uderzyła głucho o podłogę.

Conan dopadł okna, ciał mieczem w kratę, następnie chwycił ją obiema rękoma i napiął mięśnie nóg. Przyływ żelaznej siły, wściekle szarpnięcie, trzask kruszącego się muru i krata została mu w rękach.

Zanurkował w okno i skoczył na balkon z drewnianą kratownicą, wychodzący na ogród.

Za nim, mężczyźni szturmowali wąski korytarz. Świst lecących i dźwięk uderzających wokół niego strzał oraz mordercze okrzyki, zwiastowały bliski koniec. Skoczył na kratownicę głową naprzód, trzymając miecz przed sobą. Uderzył w kruchy materiał i nie kontrolując swojego lotu spadł miękko jak kot, w ogrodzie poniżej.

Ogród był pusty, jeśli nie liczyć pół tuzina, skąpo ubranych kobiet biegnących i krzyczących. Podbiegł do muru naprzeciwko, kryjąc się pomiędzy niskimi

drzewami, aby

uniknąć strzał, które sypnęły się za nim. Ostre groty przedzierały się przez gałęzie i wbijały

się w pnie. Rzut oka do tyłu, pokazał pogruchotaną kratownicę balkonu, wypełnioną

rozjuszonymi twarzami i ramionami wywijającymi bronią. Następny okrzyk ostrzegł go przed

nadchodzącym niebezpieczeństwem.

Jakiś człowiek biegł po krawędzi muru machając zakrzywioną szablą.

Mężczyzna, mięsisty Shemita, dokładnie ocenił punkt, gdzie zbieg dotrze do muru, ale sam

dotarł tam kilka sekund za późno. Mur sięgał do wysokości oczu. Conan chwycił dłonią

zwieńczenie muru i podciągnął się prawie bez wysiłku. Chwilę później, stojąc na krawędzi

uniknął szerokiego ciosu szabli, a sam przeciągnął swój miecz przez olbrzymi brzuch

Shemity.

Mężczyzna ryknął, jak zraniony bawół, otoczył ramionami swojego zabójcę w śmiertelnym uścisku i spadli obaj na zewnętrzną stronę muru. Conan miał

tylko czas, żeby

dostrzec jar o stromych ścianach ziejący pod nimi. Uderzyli w jego krawędź, stoczyli się,

spadli, z wysokości pięciu metrów i uderzyli o skaliste dno jaru. Gdy spadali,

Conan tak się

obrócił w powietrzu, aby Shemita znalazł się pod nim w chwili upadku, a

tluste, miękkie ciało

zamortyzowało uderzenie. Mimo to stracił oddech i w połowie świadomość.

Ponad murem

przelatywały strzały i odlupywały kawałki zwietrzałych skał po przeciwległej

stronie.

ROZDZIAŁ 6

MIESZKANIEC WĄWOZÓW

Conan wstał oszłomiony, ręce miał puste, patrząc z hipnotyczną fascynacją

na błyszczący

trójkąt metalu, który był grotem strzał wycelowanym w niego. Zza łuku

spoglądała brodata

twarz z żółtożębnym uśmiechem mordercy.

Nad murem, w szeregu, pokazały się głowy w hełmach. Później jakaś dłoń

przytrzymała

cięciwę. Mężczyzna, który powstrzymał łucznika zaśmiał się i wskazał w dół

jaru. Człowiek z

łukiem zawahał się, a następnie uśmiechnął niechętnie. Conan popatrzył

spode łba na szereg

uśmiechniętych, brodatych twarzy spoglądających w dół. Niektórzy śmiali się

szyderczo, a

inni odpowiadali głośno na pytania zadawane przez kogoś niewidocznego.

Conan stał nieruchomo, niezdolny zrozumieć postawy jego wrogów. Kiedy

wstał i stanął

naprzeciwko wycelowanego łuku nie oczekiwał niczego tylko świstu strzały,

jednak żaden

żołnierz nie wystrzelił i na pozór, pozostali także nie mieli takiego zamiaru.

Kolejne oblicze ukazało się ponad murem, pokryta krwią twarz, ozdobiona

czarnymi

wąsami. Ronn był raczej blady mimo ciemnej skóry i złośliwego wyrazu

twarzy.

— Z patelni w ogień, jak wy, przekłęci Cymeryjczycy, mówicie — zaśmiał się

zjadliwie.

— No cóż, miałem inne plany co do ciebie! — przyłożył kawałek jedwabiu do

rozcięcia na

podbródka, ale ta sytuacja również mi odpowiada. Zostawię cię tu, pomedytuj

sobie. Nie

jesteś już na tyle ważny, by zajmować mój czas, ale z pewnością nie mam

zamiaru pozwolić

byś wydostał się z pułapki, w którą sam wlałeś, dzięki śmierci, dostaniesz to

na co

zasłużyłeś. Żegnaj, trupie! Ha! Ha!

I mówiąc coś szorstko do swoich ludzi, zniknął. Głowy wyparowały ze

zwieńczenia muru,

jak kamfora i Conan został sam, jeśli nie liczyć zwłok leżących u jego stóp.

Cymeryjczyk marszcząc brwi, rozejrzał się dokoła podejrzliwie. Wiedział, że

południowy

koniec płaskowyzu był pocięty przez sieć jarów i najwidoczniej znajdował się w takim, który dochodził do południowej ściany pałacu. Był to prosty, wycięty jak nożem, wąwóz o szerokości dziesięciu metrów, który biegł od labiryntu jarów wprost ku miastu, kończąc się nagle kamiennym urwiskiem poniżej ogrodu. Urwisko miało około pięciu metrów wysokości i było zbyt gładkie, jak na twór natury.

Trzy metry od końcowej ściany jar pogłębiał się ostro, skaliste podłoże opadało o około półtora metra. On stał na czymś w rodzaju naturalnej półki przy końcu kanału. Boczne ściany wznosiły się prostopadle i ujawniały ślady wygładzania przy pomocy narzędzi. Przez brzeg ściany na końcu i przez pięć metrów z każdej strony po bokach, biegła żelazna warstwa z krótkimi, cienkimi i ostrymi jak brzytwa ostrzami, skierowanymi w dół. Nie pocięły go, gdy spadał na dół, ale każdy kto spróbowałby wspiąć się w górę, nawet, gdyby jakimś cudem dotarł do warstwy żelaza, zostałby pocięty na kawałki, próbując się na nie wdrapać. Warstwa na ścianach, bocznych sięgała dalej niż krawędź półki, a za tym punktem,

ściany miały ponad

sześć metrów wysokości. Conan znalazł się w więzieniu, częściowo

naturalnym, częściowo

zrobionym przez człowieka.

Patrząc wzdłuż jaru zobaczył, że ten dalej rozszerza się i dzieli na gąszcz

mniejszych

parowów oddzielonych krawędziami litej skały, za i ponad którymi dojrzał

wyłaniającą się

ponurą masę góry. Dalszy koniec parowu nie został zamknięty w żaden

sposób, ale

przypuszczał, że jego (przeciwnicy nie po to włożyli tyle trudu w

zabezpieczenie jednego

końca tego więzienia, żeby umożliwić ucieczkę drugim końcem. Jednak w jego

naturze nie

leżała rezygnacja i nie miał zamiaru poddać się losowi planowanemu dla

niego. Tamci w

sposób oczywisty uważali, że schwytali go w bezpieczną pułapkę; ale tak

kiedyś uważali i

inni.

Wyciągnął miecz z martwego ciała, wytarł krew i poszedł w dół jaru.

Sto metrów dalej wszedł w gardziel mniejszego parowu, wybierając go na

chybił trafił, i

natychmiast znalazł się w labiryncie, jak z koszmarne go snu. Kanały

wydrążone w prawie

jednolitej skale, wily się w sposób trudny do wyobrażenia, przez pokłady

kruszącego się

kamienia. Większość z nich biegła w przybliżeniu z północy południe, ale

głównie mieszały

się ze sobą, rozszczepiały i zawracały w pogmatwanym chaosie. Kanały

zaczynały się bez

powodu i kończyły nigdzie. Ciągłe dochodził do ślepych zakończeń. Jeśli je

pokonywał to

zagłębiał się w kolejną, równie pogmatwaną, gałąź szalonej sieci.

Ześlizgując się z jakiejś krawędzi zaczepił obcasem o coś, co pękło z suchym

trzaskiem.

Spojrzał w dół i zobaczył, że stanął na wysuszonych żebrach bezgłowego

szkieletu. Kilka

stóp dalej leżała czaszka zmiażdżona i rozłupana. Zaczął potykać się o

podobnie przerażające

pozostałości z zatrważającą częstotliwością. Każdy szkielet miał połamane

kończyny i

porozbijane czaszki. Działanie sił przyrody nie wywołałoby tak

niszczycielskich skutków.

Szedł bardziej ostrożnie, uważnie wpatrując się w każdy kamienny grzbiet,

czy ciemny

zakątek! Nie odnalazł jednak żadnych śladów w miejscach pokrytych

piaskiem! Śladów,

które wskazywałyby na obecność w labiryncie wielkiego drapieźnika. W

jednym z takich

miejsc natknął się na zamazany ślad, nie był to jednak trop leoparda,

niedźwiedzia, czy

tygrysa. Przypominał raczej odcisk gołej, zniekształconej ludzkiej stopy. Kości

nie były

ogryzione, jakby miało to miejsce w przypadku ludożercy. Nie ujawniały

pozostałości po

zębach; wydawały się być po prostu zmiażdżone i połamane, jakby

niewiarygodnie silny

mężczyzna pastwił się nad swoimi ofiarami. W końcu doszedł do nierównego

występu

skalnego, do którego przylgnęły pasemka grubej szarej sierści, która mogła

zostać tam po

otarciu się o skałę jakiegoś zwierzęcia. Poczul niewyraźny, wstrętny zapach

wiszący w

przypominającej jaskinię niszy pod skałą, gdzie bestia — człowiek albo demon

— być może

zwijała się w kłębek i spała.

Zmęczony i pokonany w wysiłkach podążania prosto poprzez kamienny

labirynt, wspiał

się .na zwietrzały grzbiet, który wyglądał na wyższy od innych, kucnął na jego

ostrym stoku i

spojrzał na koszarne pustkowie. Jego spojrzenie ograniczone tylko z

północy natknęło się

na strome urwiska wznoszące się ponad skalami na wschodzie, zachodzie i

południu. Doszedł

do wniosku, że tworzą one ciągłą ścianę zamykającą płataninę wąwozów, w

której się

znajdował. Na północy ściana ta rozszczepiała się i tworzyła jar biegnący do

zewnątrznych

ogrodów pałacu.

Teraz natura labiryntu stała się jasna. Kiedyś ta część płaskowyzu, leżąca

po między

terenem obecnego miasta, a górą, zapadła się tworząc wielką, przypominającą

czarę, depresję.

Żywioty oraz upływ czasu pocięły powierzchnię zapadliska siecią parowów i

jarów. Nie było

sensu tracić czasu na wędrówki pośród skał. Problem polegał na dotarciu do

urwiska

otaczającego pokarbowaną nieckę, pójsćcia skrajem i sprawdzenia, czy nie da

się go gdzieś

pokonać. Spoglądając na południe wydało mu się, że biegnie tam w miarę

ciągły i prosty

kanal dochodzący do stóp góry, której prostopadle zbocze wisiało nad niecką.

Zobaczył także,

że aby dotrzeć do tego parowu szybciej, powinien wrócić do jaru pod miastem

i podążać inną

drogą prowadzącą na południe, zamiast gramolić się przez dziesiątki ostrych

grzbietów

leżących pomiędzy nim, a jarem, który pragnął osiągnąć.

**Mając wytyczony cel, zsunął się z grzbietu skalnego i zaczął wycofywać po
własnych**

**śladach. Słońce wisiało nisko, gdy dotarł z powrotem do zewnętrznego kanału
i ruszył ku**

**wąwozowi prowadzącemu na południe. Rzucił leniwie okiem w kierunku
urwiska, gdzie**

**rozpoczął swoją wędrówkę i zatrzymał się, jak wryty. Ciało wciąż leżało na
półce — ale nie**

**w takiej pozycji, w jakiej je zostawił — nie wydawało się już tak tłuste i było
inaczej ubrane.**

**W chwilę później biegł wzdłuż jaru, wskoczył na półkę i pochylił się nad
nieruchomą**

**postacią. Shemita, którego zabił, zniknął; człowiekiem, który tu leżał był
Slikh!**

**Na tyle głowy miał wielkiego, pokrytego zakrzepłą krwią guza, ale żył. Gdy
Conan uniósł**

**jego głowę, zamrugał oszołomiony powiekami, podniósł rękę i dotknął rany,
spojrzał pustym**

wzrokiem na Conana.

— Co się stało? Czy umarliśmy i jesteśmy w piekle?

— W piekle, być może, ale nie martwi. Czy wiesz, jak się tu dostałeś?

Slikh usiadł w dalszym ciągu oszołomiony, trzymając głowę w dłoniach.

Rozejrzał się

dokoła ze zdumieniem.

— Gdzie my jesteśmy?

— W parowie za pałacem. Czy pamiętasz, jak cię tu wrzacono?

— Nie. Pamiętam walkę w pałacu; później nic. Gdy czekałem w ciemnościach

na ukrytych

schodach, przybiegła ta dziewczyna, Laara, i powiedziała, że skonfrontowano

cię z

człowiekiem, który cię zna. Zaprowadziła mnie do komnaty sąsiadującej z tą,

gdzie ty

walczyłeś. Użyłem luku z korzystnym skutkiem, jak pamiętam. Biegłem do

drugich drzwi, by

dołączyć do ciebie, potem coś się stało, wiem. Nic nie pamiętam.

— Wojownik ukryty za arrasem uderzył cię w głowę — mruk Conan. —

Niewątpliwie

widział, jak wchodzisz do komnaty, żaki, się za tobą i ukrył w alkwie. Pałac

wydaje się

pelen tajnych kryjówek. Grzmotnął cię i pociągnął za linę otwierającą klapę w

podłodze, a ty

wpadłeś w pułapkę. Ja spadłem z ogrodowego muru do tego diabelskiego jaru

razem z

martwym Shemitą. Najwidoczniej, kiedy badałem parowy niżej, zabrali jego

ciało, a ciebie tu

wrzucili. — Czekał, pomyśl! Nie wrzucono cię tu. Połamałbyś sobie kości i

prawdopodobnie

kark. — Mogli tu zejść po drabinie i wciągnąć ją na górę, ale z pewnością nie robiliby sobie

kłopotu z łagodnym znośnięciem ciebie na dół. Jest tylko jedno

wytłumaczenie. Zepchnęli cię

tu z jakiegoś otworu w ścianie jaru.

Parominutowe uważne poszukiwanie ujawniło przejście, którego istnienie podejrzewał.

Cienkie szczeliny, które świadczyły o jego obecności mogły umknąć pobieżnemu spojrzeniu.

Z zewnątrz drzwi były zbudowane z tego samego materiału co urwisko i pasowały doskonale.

Nie ustąpiły ani odrobinę pod potężnym naciskiem obu mężczyzn. Conan uporządkował

skrawki swojej wiedzy o architekturze pałacu i oczy zwęziły mu się pod wpływem wniosku,

do którego doszedł. Nie powiedział jednak Slikhowi nic. Uważał, że patrzą na drugą stronę

tych dziwnie ozdobionych drzwi, przed którymi ostrzegala go Laara. Drzwi do piekła. Zatem

on i Slikh byli w „Piekło”, a potrzaskanej kości, które widział, dawały złowieszcze

potwierdzenie legendzie demona pożerającego ludzi, chociaż nie wierzył, aby właściciele

kości dosłownie zostali pożarci. Ale coś wrogiego człowiekowi nawiedzało ten

labirynt

parowów. Zaniechał wszelkich myśli o wylamaniu drzwi, ponieważ

przypomniawszy sobie ich

metalowe obramowanie i potężne rygle. Potrzebowałby kompanii ludzi z

taranem, by tego

dokonać.

Odwrócił się i spojrzawszy wzdłuż jaru ku tajemniczemu labiryntowi

zastanawiając się, jaki

nieznany koszmar kryją jego zakamarki. Słońce jeszcze nie zaszło, ale nie było

już widoczne

z dna jaru, był tu cień, choć widoczność nie zmniejszyła się zbyt.

— Ściany tu są wysokie — mruknął Slikh pocierając rękoma pulsującą głowę.

— Dalej w głębi są jeszcze wyższe.

— Gdybyś stanął na moich ramionach i skoczył...

— Odciałbym sobie dłonie o te ostrza.

— Och! — oszołomienie ustępowało z umysłu Slikha. — Nie zauważyłem. Co

zatem

zrobimy?

— Przejdziemy przez ten labirynt kanałów i zobaczymy co leży za nim. Nie

wiesz co się

stało z Laarą?

— Biegła przede mną aż do wejścia do komnaty, gdzie strzelałem z łuku.

Przypuszczam,

że szła za mną, kiedy wpadliśmy do komnaty, ale nie widziałem jej.

— Wojownik, który cię uderzył musiał ją chwycić i wepchnąć do jakiegoś ukrytego

pomieszczenia — warknął Conan, żyły nabrzmiały mu nieco na szyi. — Niech ich diabli,

będą ją torturować i zabijają, musimy wydostać ją stąd. Chodź.

Mistyczny błękitny półmrok unosił się nad parowami, gdy Slikh i Conan

Wkraczali do

labiryntu. Posuwając się po wijących się kanałach dotarli do nieco szerszego

parowu, który,

jak się Conanowi zdawało, prowadził, do południowej ściany niecki. Nie

przeszli jednak

nawet pięćdziesięciu metrów, gdy rozszczepił się on na dwa wąskie wąwozy.

Ten podział nie

był widoczny ze zbocza, gdzie Conan obserwował nieckę i teraz nie wiedział,

które

odgałęzienie wybrać. Zdecydował, że oba odgałęzienia po prostu omijają ostry

grzbiet skalny

i dalej łączą się ponownie. Kiedy powiedział o swoim przypuszczeniu, Slikh

odrzekł: —

Jeden może okazać się ślepy. Ty idź prawym, ja pójdę lewym i zbadamy je

osobno i nim

Conan mógł go powstrzymać, na wpół biegnąc natychmiast zniknął w lewym

korytarzu,

Conan chciał krzyknąć ca nim, żeby wracał, ale nagle zeszywniał widząc

przed sobą, w

prawej odnodze wejście do jeszcze węższej szczeliny, wypełnione niebieską

poświatą. W

szczelinie coś się poruszyło. Conan napiął mięśnie, patrząc z

niedowierzaniem na

monstrualną, podobną do człowieka istotę, która stała w półmroku przed

nim.

Przypominała ucieleśnionego ducha tego koszmarnego kraju, wampiryczne

wcielenie

straszliwej legendy z ciałem, kośćmi i krwią.

Stworzenie było gigantyczną małpą, wysoką jak goryl mimo wykrzywionych

nóg.

Kosmata sierść pokrywająca ją miała popielatą barwę, była dłuższa i

gęściejsza niż u, goryla.

Stopy i ręce miało bardziej ludzkie, o wielkich kciukach i paluchach, tak, jak

człowiek, a nie

antropoid. Nie było to stworzenie drzewne, ale bestia urodzona na wielkich

równinach i

jałowych górach. Ogólnie wygląd twarzy przypominał małpę, ale linia nosa

była bardziej

wyraźna, szczęki mniej dzikie, chociaż nie było podbródka. Jej ludzkie cechy

podkreślały

jedynie okropieństwo wyglądu, a cała inteligencja wyzierająca z małych

czerwonych oczu

była tylko złośliwością.

Conan wiedział czym to jest: potworem, którego istnieniu odmawiali wiary,

bestią

nazywaną w legendach północy Śnieżną Małą, Człowiekiem Pustyni,

Potworem z Bagien.

Słyszał pogłoski o jego istnieniu wiele razy, szalone opowieści napływające z

zaginionych,

zimnych i niedostępnych krain, gdzie nigdy nie stanęła stopa cywilizowanego

człowieka.

Koczownicze plemiona z pokolenia na pokolenie przekazywały sobie historie

o

człekokształtnej bestii, przystosowanej do głodu i ostrego mrozu pomocnych

wyżyn oraz

pustynnych upałów. Ale Conan, nigdy nie spotkał człowieka, który mógłby

udowodnić, że

widział jedno z tych zwierząt.

Oto jednak stał niezbity dowód. Jak nomadzi służący Shaykhronowi poradzili

sobie ze

srowadzeniem monstrum do tego labiryntu nie mógł zgadnąć, ale oto stał

demon straszący w

parowach pod tajemniczym Shalhizarem.

Wszystkie te myśli przemknęły przez umysł Conana w chwili, kiedy oboje stali

naprzeciwko siebie, człowiek i bestia w groźnym napięciu. W chwilę później,

przez skaliste

ściany jaru, przetoczyło się echo głębokiego, ponurego ryku małpy, która ruszyła z nisko

opuszczonymi, kołyszącymi się łapami i z ogromnymi, odsłoniętymi, żółtymi kłami.

Conan nie krzyknął do swojego towarzysza. Slikh był nie uzbrojony. Nie próbował

również uciekać. Czekał stojąc pewnie na mocnych nogach, przeciwstawiając zwierzęcej sile

wielkiej małpy, długi miecz i swój kunszt.

Ofiary potwora dostawały się w jego ręce pobite i z maltretowane przez tortury, jakie tylko

człowiek jest zdolny zadać. Półczłowiek miał załóżki świadomości, co odróżniało go od

prawdziwych bestii, ale odnajdywał przerażającą radość w śmiertelnej agonii swoich ofiar.

Ten człowiek był tylko kolejnym słabym stworzeniem, które należało rozedrzeć, skrzyć i

rozczłonkować, nawet, jeśli stał prosto i trzymał błyszczącą rzecz w swojej dłoni.

Conan, stojąc na drodze napierającej śmierci, widział jedyną szansę w trzymaniu się z dala

od uścisku olbrzymich łap, które mogły go zmiażdżyć w jednej chwili. Potwór był

niekształtny mimo to szybko szedł po skalistym podłożu. Ostatnie kilka stóp przebył w gigantycznym, skoku. Conan nie poruszył się, kiedy monstrum pokazało się, nie drgnął, gdy wielkie łapy zamykały się nad nim, ale następny jego ruch zawstydziłby atakującego rysia.

Pazury postrzępiły mu skórzaną kamizelkę, kiedy odskakiwał. Jednocześnie ze skokiem ciał mieczem. Ohydny ryk przeciął ciszę parowów; małpia łapa upadła na ziemię ucięta przy łokciu. Mimo krwi bluzgającej z kikuta, zwierzę zakręciło się w kółko i zaatakowało ponownie. Tym razem jego rozpaczliwy skok był zbyt błyskawiczny, aby ludzkie mięśnie całkowicie mogły go uniknąć.

Conan uchylił się przed zabójczym ruchem wielkiej zniekształconej łapy, ale masywne ramię uderzyło go i ogłuszyło. Wraz ze zwierzęciem zatoczył się ku ścianie, zdążył jednak wepchnąć miecz w wielki brzuch i rozpaczliwie szarpnąć w górę. Uważał, że jest to ostatnie pchnięcie w jego życiu.

Grzmotnęli razem o ścianę, a wielka łapa małpy uderzała straszliwie dookoła unieruchomionego ciała Conana; ryk bestii ogłuszał go ponieważ spieniony

pysk znajdował

się ponad jego głowę, potem spazmatycznie zakłapał szczękami i zadrżał

potężnie. Straszne

konwulsje odrzuciły i uwolniły Cymeryjczyka, który podniósł się i patrzył, jak

potwór wije

się w śmiertelnych bólach u podnóża skały. Rozpaczliwe cięcie w górę rozcięło

zwierzę,

wnętrznosci wały się w piachu. Porozciągane przez śmiertelne drgawki.

Ostrze rozorało

mięśnie i kości, odnalazło dzikie serce bestii.

Spięte mięśnie Conana drżały po długo trwającym wysiłku. Jego twarde jak

stal ciało

opierało się straszliwej sile zwierza i pozwoliło utrzymać mu się przy życiu,

przetrwać

okropną walkę z bestią, która rozdarłaby słabszego na kawałki. Nieludzki

wysilek wstrząsnął

nim. Skopana kamizelka została z niego zdarta, a zrogowaciałe pazury

pozostawiły głębokie,

krwawe bruzdy na plecach. Był pomazany i poplamiony krwią, swoją i małpy.

— Conan! Conan! — to Slikh wołał szaleńczo, po chwili wypadł z parowu po

lewej, ze

skałą w rękach i wściekłą twarzą.

Oczy mu rozbłysły na widok ohydnej bestii leżącej u stóp skały, potem chwycił

Conana

rozpaczliwym gestem.

— Czy żyjesz? Jesteś cały we krwi! Gdzie są twoje rany?

— W brzuchu bestii — mruknął Conan uwalniając się z uścisku. Okazywanie uczuć

krępowało go. — To jej krew, nie moja.

Slikh westchnął z gwałtowną ulgą, odwrócił się i patrzył szeroko] otwartymi oczami na

martwego potwora.

— Ale uderzenie! Tak go rozpruleś, że wylały mu się wnętrzności! Na świecie nie ma

chyba dziesięciu mężczyzn zdolnych do takiego cięcia. To jest ten demon, przed którym

ostrzegła nas dziewczyna! Bestia, którą Meruwiańczycy zwaą Człowiekiem Śniegu.

— Tak. Nigdy nie wierzyłem w opowieści o nich.

— Być może są jeszcze inne — zasugerował Slikh rozglądając się bacznie dokoła w

narastającym zmierzchu. — Wkrótce będzie ciemno. Nie byłoby dobrze spotkać drugiego

takiego diabła w ciemnych parowach po nastaniu nocy.

— Nie wydaje mi się. Jego ryki słychać było w całym labiryncie. Gdyby była tu jeszcze

jedna bestia, przybiegłaby na pomoc lub przynajmniej odpowiedziała rykiem.

— Gdy słyszałem ryk — powiedział Slikh żarliwie — dźwięk ten zmienił moją

krw w

łód, ponieważ uwierzyłem, że to demon, o którym tyle ostatnio słyszałem. Nie
spodziewałem

się zastać cię przy życiu.

Conan splunął, chciało mu się pić.

— Dobrze, ruszajmy. Uwolniliśmy parowy od ducha, ale możemy ciągle

umrzeć z głodu i

pragnienia, jeśli się nie wydostaniemy. Chodź.

Zmierzch ukrył jary i zawisł ponad górami, gdy ruszyli prawym parowem. Po

czterdziestu

metrach lewe odgałęzienie połączyło się ze swoim bratem, tak, jak Conan

przewidywał. W

miarę, jak posuwali się naprzód, zwiększała się liczba jaskiniopodobnych jam

w ścianach

jaru, z których wydobywał się wstrętny zapach. Conan miał nachmurzoną

minę, a Slikh

rzucal mocne słowa przy każdym napotkanym szkielecie, którymi jar był po

prostu usłany.

Stanowiły one prawdopodobnie ulubiony sposób oznaczania swojego terenu

przez bestię.

Większość ofiar, jak się domyślał, stanowiły kobiety. W Conanie, oglądającym

te budzące

współczucie resztki, narastała nieugięta i bezlitosna wściekłość. Cała

gwałtowność jego

natury, zwykle trzymana pod żelazną kontrolą, wzniosła się do poziomu
dzikiej czujności.

Zdawał sobie sprawę z grozy, jaką tę bezradne kobiety musiały przecierpieć.

W swej duszy

przypieczętował już los Shalhizaru i rządzących nim fanatyków. W jego

naturze nie leżało

składanie solennych ślubów, czy przysięganie. Nie wypowiedział swych myśli

nawet do

Slikha, ale zamiar oczyszczenia tego gniazda sępów nabral posmaku

prywatnej krwawej

rozprawy. Jego determinacja skupiła się na myśli nie opuszczania

plaskowyżu, aż ujrzy

martwe ciała Ronna i Shaykhrona.

Nad ich głowami wyloniła się góra w postaci warstw olbrzymich urwisk,

wznoszących się

stromo ponad brzegiem niecki i otaczających zapadnięty labirynt. Jar, którym

szli, kończył się

szczeliną w ścianie tej niecki. Zmienił się w rodzaj groty, ciągnącej się, jak

tunel w głąb góry,

w prawdziwą studnię ciemności. W głosie Slikha zabrzmiała prawdziwa

rozpacz.

— Conanie, z tego więzienia nie ma ucieczki. Nie damy rady się wspiać na

brzeg tej góry.

A ta jaskinia...

— Czekaj! — żelazne palce Conan zacisnęły się na ramieniu Slikha. Stali w kompletnej ciemności, w jaskini, kilka stóp od wejścia. Conan dojrzał coś w odległym końcu ciemnego tunelu, coś, co płonęło jak świetlik. Iskierka była jednak nieruchoma i stabilna, przecinała ciemność jak światło nieruchomej gwiazdy.

— Chodź! — Uwalniając ramię Slikha, Conan pośpieszył w dół jaskini, ryzykując wpadnięcie do jakiegoś dołu, czy napotkanie w ciemności, ponurego mieszkańca podziemi.

Wiedział, że to co widzi jest gwiazdą świecąca przez szczeliny w górskich masywach.

W miarę posuwania się naprzód, słabe światło zaczynało rozpraszać ciemności i w końcu dotarli do jaskini, kończącej się gołą ścianą; w tej ścianie, jakieś trzy metry od podłoża, widniała dziura, przez którą wpadało światło gwiazdy i kawałek aksamitnego nieba. Bez słowa Slikh schylił się i chwycił się za nogi ponad kolanami wzmacniając swoją postawę.

Conan wspiał się na jego ramiona, Slikh się wyprostował, a Conan chwycił palcami za szorstki brzeg okrągłej szczeliny. Otwór miał od metra do półtora metra wysokości i na tyle

szerokości, żeby precyzyjnie się człowiek. Bestia prawdopodobnie sięgnęłaby

tak wysoko, ale

nie przepchnęłaby swoich szerokich ramion przez szczelinę! Conan nie

wierzył, aby panowie

Shalhizaru wiedzieli o tym wejściu.

Przeczołgał się do drugiego końca tunelowej szczeliny i spojrzął za krawędź.

Patrzył w dół

na zachodnie zbocze góry. Otwór był szparą w urwisku, opadającym w dół na

głębokość

około dziewięćdziesięciu metrów, usianym skalami i występami. Nie widział

plaskowyzu;

szereg pogruchotanych szczytów wznosił się posępnie pomiędzy nim, a

punktem obserwacji.

Cofnął się czolgając i zeskoczył na ziemię jaskini obok rozpalonego Slikha.

Czy to jest droga ucieczki, Conanie?

— Dla ciebie. Musisz iść spotkać się z Yarali Nakhem i Serotańczykami. Liczę

na to, że

dotarł do Khroshy i wróci do zewnętrznych wrót Shalhizaru przed świtem.

Według mojej

oceny, w Shalhizarze jest przynajmniej pięciuset wojowników. Trzysta ludzi

Akariona nie

zdobędzie miasta w bezpośrednim ataku. Może zaskoczą strażnika w

szczelinie, tak jak ja,

może nawet zdobędą schody. Ale pieszo nie pokonają plaskowyzu bronionego

przez pięciuset

wojowników pod komendą Ronna, to byłoby samobójstwo. Musisz ich spotkać

nim dotrą do

plaskowyżu. Myślę, że możesz to zrobić. Kiedy przecisniesz się przez ten

otwór i zejdziesz w

dół urwiska, znajdziesz się poza: kręgiem turni, które otaczają Shalhizar.

Jedyna droga przez

turnie wiedzie szczeliną, którą przedostaliśmy się na plaskowyż. Serotańczycy

przejdą tą

szczeliną. Musisz ich zatrzymać w kanionie zwanym przez Ukrytych,

Wąwozem Królów.

Aby tam dojść, musisz iść skrajem pierścienia turni i obejść ich zachodnie

stoki. Trafisz

wprost do kanionu. Szlak będzie górzysty, możesz także mieć trudności z

zejściem z urwiska

— które jest ścianą kanionu — kiedy tam dotrzesz. Masz jednak na to całą noc.

— A ty?

— Myślę nad tym. Jeśli dotrzesz do Wąwozu Królów przed Serotańczykami,

ukryj się i

czekaj na nich. Jeśli już przejdą przez szczelinę — odczytasz to ze śladów —

podążaj za nimi

tak szybko, jak potrafisz. W każdym razie dopilnuj, aby Akarion wykonał

następujący plan:

każ mu wziąć pięćdziesięciu ludzi i dokonać ataku na schody. Jeśli zdołają

wspiąć się na

rampy i przechwycić posterunek przy okrągłakach, tym lepiej. Jeśli nie, niech

wdrapią się na

okoliczne turnie i zaczną strzelać do wszystkiego w polu widzenia. Pomysł

polega na

odwróceniu uwagi ludzi w mieście, i jeśli to możliwe, ściągnięciu ich

wszystkich w pobliże

schodów. Jeśli ruszą w dół, do kanionu, niech Akarion i jego pięćdziesiątka

wycofa się

między skały.

— W międzyczasie, ty i Yarali Nakh poprowadzicie resztę Serotańczyków

drogą, którą ty

dotrzesz do Wąwozu Królów. Wdrapcie się na to zbocze, przejdźcie przez

otwór i jar

biegnący do metalowych drzwi, przez które wrzucano ofiary, i które prowadzą

do lochów pod

pałacem.

— Ale co z tobą?

— Moją rolą będzie otwarcie drzwi dla was od środka.

— Ale to szaleństwo. Nie możesz wrócić do miasta; jeśli tak zrobisz obedną cię

ze skóry

żywcem. Nie dasz rady otworzyć tych drzwi.

— Ktoś inny to zrobi dla mnie. Bestia nie zjadała rzucanych jej

nieszczęśników. Nie była

mięsożerna. Musiano ją karmić warzywami, orzechami, korzeniami lub czymś innym.

Widziałeś człowieka otwierającego drzwi i wrzucającego coś do kanału. Bez wątpienia była

to wiązka jakiegoś pokarmu. Karmili ją przez te drzwi i musieli to robić regularnie. Nie

wyglądała na wychudzoną. — Liczę, że drzwi zostaną otwarte dziś w nocy. Gdy tak się

stanie, przejdę przez nie. Muszę. Trzymają gdzieś w tym piekielnym pałacu Laarę i tytko

Crom wie co jej robią. Teraz musisz się śpieszyć. Kiedy wrócisz do niecki z Serotańczykami,

ukryj ich pośród parowów, a sam z trzema, , czterema ludźmi podejdz do drzwi. Stuknij parę

razy w nie ręką miecza. Te drzwi będą otwarte niezależnie od tego, czy będę żył, czy

nie, jeśli będę musiał, wrócę z piekła i je otworzę. W pałacu zrobimy jatkę.

Slikh uniósł dłoń w proteście i otworzył usta — potem wzruszył ramionami w milczącej

zgodzie.

Conan kucnął, a Slikh wspiał się na jego ramiona i wyprostował się opierając wyciągniętymi rękami o ścianę. Conan chwycił go za kostki i bez pomocy ramion powstał.

Wykorzystując tylko mięśnie nóg, podniósł siebie i ciężkiego mężczyznę na

swoich

ramionach — wyczyn niewykonalny dla większości ludzi, poza bardzo silnymi, takimi, jak

Conan. W szczelinie Slikh obrócił się i spojrział w dół na swojego przyjaciela.

— A co, jeśli nikt nie przyjdzie z jedzeniem dla bestii i drzwi nie zostaną dziś otwarte.

— Wtedy obetnę małpie głowę i przerzucę przez mur. Otworzą drzwi, aby zobaczyć,

dlaczego jeszcze żyję. Może wezmą mnie do pałacu na tortury, kiedy dowiedzą się, że

zabiłem ich zwierzaka. A, gdy już będę w środku, to nawet w łańcuchach

znajdę sposób, aby

ich przechytrzyć.

— Trzymaj! — Conan rzucił w górę długi miecz. — Możesz tego potrzebować.

— Ale, jeśli będziesz chciał odciąć małpie głowę...

— Zrobię to kawałkiem ostrej skały, albo odgryzę własnymi zębami! Ruszaj, niech cię

diabli!

— Bogowie będą cię chronić — mruknął Slikh i zniknął.

Conan usłyszał szamotaninę towarzyszącą gramoleniu się przez szczelinę, później kamyki

zaczęły staczać się po zboczu urwiska.

ROZDZIAŁ 7

ŚMIERĆ WKRACZA DO PAŁACU

Conan po omacku wracał przez jaskinię, a gdy wyszedł do względnie jasnego

parowu,

pobiegł szybko i pewnie. Dotarł do zewnętrznego kanału i ujrzał ścianę,

urwisko i skalną

półkę na jego końcu. Światła Shalhizaru jarzyły się na niebie ponad ścianą.

Usłyszał także

dziwną melodię rodzimej, jęczącej cytry. Kobieta śpiewała żalospiosenkę.

Uśmiechnął się

ponuro w ciemności, do usianych szkieletami parowów. Więc panowie miasta

zabawiali się,

nie zważając na jeńców krzyczących, cierpiących i umierających w jamach pod

ich pałacami

— nieświadomi zniszczenia drzemiącego w doprowadzonych do ostateczności

rękach tych

więźniów.

Przed drzwiami na skalnej półce nie było jedzenia. Nie wiedział, jak często

zwierze jest

karmione, i czy będzie karmione tej nocy. Widział, że jeszcze to nie nastąpiło i miał nadzieję,

że jedzenie zostanie wyrzucone na zewnątrz wkrótce. Uplynęło już wiele

godzin od czasu,

kiedy Slikh widział drzwi otwarte.

Ryzykował, jak zawsze. Myśl o tym, co mogą w tej chwili robić z Laarą

spowodowała, że

oblął się potem ze strachu o nią. Zniecierpliwienie doprowadzało go do

ostateczności.

Przyłgął do skały obok drzwi i czekał. W młodości nauczył się cierpliwości od dzikich

zwierząt, które prześcigają w tym nawet ludzi. Przez godzinę stał prawie się nie ruszając.

Wytrzymałości mogłaby mu pozazdrościć marmurowa statua.

Jego spokój zaczął się już wyczerpywać, gdy bez ostrzeżenia zachrobotaly łańcuchy i w

drzwiach pojawiła się szczelina.

Ktoś bacznie obserwował otoczenie, by upewnić się, że przerażającego strażnika

wąwozów nie ma w pobliżu i dopiero wtedy całkowicie otworzyć drzwi.

Zadźwięczały

jeszcze jakieś rygle i na zewnątrz wyszedł Shemita. Dźwigał żelazną tacę pełną warzyw i

orzechów. Pochylając się i stawiając ją na ziemi, wydał dziwaczny okrzyk.

Conan uderzył go,

jak młotem w tył głowy. Shemita padł bez słowa i znieruchomiał z wykręconą głową i

złamanym karkiem.

Uderzenie zaciśniętą pięścią zostało zadane bez ostrzeżenia, litość nie istniała w lajdackim

Shalhizarze. Conan zajrzał przez otwarte drzwi i upewnił się, że korytarz

oświetlany przez

lampy dziwnie jest pusty. Okratowane cele stały puste. Pośpiesznie pociągnął

Shemitę w dół

kanalu i ukrył ciało pomiędzy potrzaskanymi skalami, przywłaszczając sobie

sztylet

mężczyzny.

Następnie wrócił i wszedł na korytarz. Zatrzasnął drzwi i zawahał się przed

zasunięciem

rygli. W końcu postanowił zrobić to, ponieważ musiał mieć pewność, że Slikh

przejdzie przez

te drzwi przed świtem. Otwarte rygle wzbudziłyby ‘podejrzenia, a drzwi i tak

zostałyby i

wtedy zamknięte. Ze sztyletem w dłoni ruszył w kierunku ukrytego przejścia

do tunelu i

ukrytych schodów. W głowie rysował mu się jasny plan. Miał zamiar

odszukać Laarę, jeśli

jeszcze żyła, zabrać ją, ze sobą do tunelu i ukryć ją tu do czasu aż Slikh

sprowadzi parowem

wojowników. Wtedy otworzy drzwi i poprowadzi ich przeciwko ludziom

Shalhizaru, a wynik

będzie taki, jak zechce Crom i postanowi stał.

Albo, jeśli ukrycie się w tunelu okaże się niewykonalne, zabarykadują się w

korytarzu i

dotrwają do przybycia Serotańczyków. Działal i planował, jakby ich nadejście

było pewne.

Oczywiście, zawsze istniała szansa, że tak się nie stanie; że Yarali Nakh nie

przedostał się do

Khrosy. Conan był jednak ryzykantem, a w tej grze postawił swoje życie.

Ukryte drzwi

znajdowały się w lewej ścianie, blisko końca korytarza, obok innych drzwi,

niezamaskowanych. Nim dotarł do swojego celu te właśnie drzwi zostały

nagle otwarte i jakiś

człowiek wkroczył na korytarz. Irańczyk, gdy zobaczył Conana gwizdnął przez

zęby i sięgnął

po ciężki łuk, który wisiał mu na ramieniu.

Conan błyskawicznie cofnął rękę ze sztyletem i znieruchomiał przygotowany

do rzutu.

Irańczyk zamarł, bladość pokryła mu skórę pod ciemną brodą. Nie miał

złudzeń co do

sytuacji, z którą przyszło mu się zmierzyć. Jego dłoń trzymała drzewce łuku,

ale wiedział, że

nim zdoła go naciągnąć i strzelić, sztylet pomknie przez powietrze i wbije się

w niego,

rzucony przez ramię słynne z siły i dokładności. Ostrożnie rozprostował

szeroko palce,

odłożył łuk i uniósł ramiona w geście poddania. Jednym skokiem Conan

dopadł go, wyrwał

nóż Irańczyka z pochwy i pchnął lekko ostrzem w brzuch.

— Gdzie jest vendhyańska dziewczyna?

— W lochu za drzwiami, którymi właśnie wszedłem.

— Czy są tam inni strażnicy?

— Nie, na Crom. Ja jestem jedynym.

— W porządku. Odwróć się i idź z powrotem. Nie próbuj żadnych sztuczek.

— Niech Crom broni.

Człowiek pchnął drzwi stopą i ruszył, poruszając się tak ostrożnie jakby stąpał po nagim

ostrzu brzytwy. Weszli do kolejnego korytarza, który za ostrym zakrętem ujawnił kolejne

szeregi cel po obu swoich stronach. Cele wydawały się puste.

— Ona siedzi w ostatniej celi po prawej — wymamrotał Irańczyk i zajęczał spazmatycznie, kiedy w chwilę później zatrzymali się przed okratowanymi drzwiami. Cella

była pusta. Miała drugie drzwi, po przeciwnej stronie, teraz otwarte.

— Okłamałeś mnie — powiedział łagodnie Conan, przyciskając ostrze noża do pleców

Irańczyka. — Zabiję cię?

— Bogowie mi świadkami! — wysapał mężczyzna, trzęsąc się ze strachu. —

Była tu.

— Zabrali ją — powiedział nieoczekiwany głos.

Conan obrócił się, szarpnął Irańczyka tak, że znalazł się pomiędzy nim, a miejscem, z

którego dobiegł głos.

Brodate twarze wypełniały zakratowaną celę naprzeciwko. Szczuple dłonie oplatały kraty.

Conan rozpoznał więźniów. Patrzyli w milczeniu z jadowitą nienawiścią

plonąca w oczach.

Conan zbliżył się do nich, ciągnąc swojego jeńca.

— Byliście wiernymi wojownikami — stwierdził. — Dlaczego jesteście zamknięci?

Voltar splunął ku niemu.

— Z twojego powodu, psie z Cymerii! Ty zaskoczyłeś nas na schodach, a Shaykhron

skazał nas na śmierć, nie wiedząc nawet, że jesteś szpiegiem. Powiedział, że jesteśmy, albo

kanaliami, albo głupcami, jeśli daliśmy się tak podejść na posterunku.

Umrzemy więc od

noży oprawców Ammada, niech bogowie przeklną i jego, i ciebie!

— Jednak traficie do Raju — przypomniał im — ponieważ wiernie służyliście Shaykhronowi.

— Niech psy ogryzą kości Shaykhrona — odpowiedzieli jadowicie i z całego serca. —

Niech bogowie zwiążą was w piekle jednym łańcuchem!

Conana zastanowiło, że Shaykhron oszedł daleko od uwielbienia, jakie otrzymywali jego

przodkowie, których wyznawcy potrafili popełnić samobójstwo na rozkaz.

Zerwał pęk kluczy z pasa strażnika i zważył go z namysłem w rękę. Stygijczycy skupili

wzrok na kluczach, z minami — ludzi, w piekle patrzących na otwarte drzwi.

— Voltarze — powiedział nagle — twoje ręce są splamione wieloma

zbrodniami, ale nie

ma wśród nich złamania przysięgi. Shaykhron opuścił cię, wyrzucił cię ze służby. Nie

jesteście już jego ludźmi. Nie jesteście już winni mu posłuszeństwa.

Oczy Voltara przypominały ślepią wilka.

— Czy mógłbym wysłać go do piekła przede mną? — mruknął. — Umarłbym szczęśliwy.

Wszyscy patrzyli intensywnie na Conana wyczuwając propozycję pomiędzy jego słowami.

— Czy przysięgniecie, każdy na honor swojego klanu, podążać za mną i służyć mi póki

zemsta nie zostanie dokonana, chyba że śmierć uwolni was od tego ślubu? — zapytał

chowając klucze za sobą, aby nie wyglądało, że pyszni się nimi zbyt jawnie, przed

bezradnymi mężczyznami. — Shaykhron nie dał wam nic, z wyjątkiem psiej śmierci. Ja

proponuję wam sposobność odwetu i okazję do honorowej śmierci.

Oczy Voltara rozbłysły w przypiływie nadziei, a jego muskularne dłonie trzęsły się, gdy

chwycił za kraty.

— Zaufaj nam! — tylko to powiedział, ale mówiło to wiele.

— Tak, przysięgamy! — krzyknęli mężczyźni za nim. — Wysłuchaj nas,

Conanie

przysięgamy, każdy z nas na honor swojego klanu!

Nim skończyli, już obracał klucz w zamku; dzicy, okrutni, burzliwi,

zdradzieccy według

cywilizowanych standardów. Mieli, zawzięci górale, swój kodeks honoru,

przypominający

kodeks jego własnych, góralskich przodków, którego w ogóle nie rozumiał.

Wybiegli z celi i natychmiast rzucili się na Irańczyka krzycząc: — Zabić go! To

jeden z

psów Ammada!

Conan wydarł im mężczyznę obchodząc się z napastnikami bezwzględnie;

wymierzył

najbardziej natarczywemu cios, który rozciągnął go na podłodze, ale nie

wywołał szczególnej

urazy w jego dzikim sercu.

— Dosyć! Jesteście ludźmi, czy wilkami?

Popchnął kulącego się Irańczyka przed sobą, w głąb korytarza, z powrotem do

przejścia

mającego połączenie z jarem. Z tyłu szli Stygijczycy, którzy po przysiędze

wierności byli

posłuszni i nie zadawali żadnych pytań. Po powrocie do drugiego korytarza,

Conan kazał

Irańczykowi się rozebrać. Mężczyzna trzęsąc się ze strachu przed torturami i

śmiercią zrobił

to.

— Zamień się z nim ubraniami — brzmiała następna komenda Conana

skierowana do

Voltara. Dziki Stygijczyk usłuchał bez słowa. Później pod kierownictwem

Conana pozostali

związali i zakneblowali Irańczyka, i wepchnęli go do tunelu za ukrytymi

drzwiami.

Voltar wyprostował się, mając na sobie podłużny hełm, pasiastą szatę,

jedwabne,

workowate spodnie Irańczyka. Rysy miał wystarczająco irańskie, aby oszukać

każdego, kto

spodziewa się zobaczyć Irańczyka w tym stroju.

— Daję ci zadanie o wielkiej odpowiedzialności i ufam, że je wypełnisz —

powiedział

nagle Conan. — Jest to zadanie dla dzielnego mężczyzny. Za jakiś czas, może o

świcie, a

może następnego wieczoru, lub nawet o świcie dnia następnego, Jarem

Demona nadejdą

mężczyźni i zastukają w te zaryglowane drzwi. Będą to Serotańczycy

prowadzeni przez

Slikha i Yarali Nakha. Twoja rola jest taka: ukryć się w tym tunelu i otworzyć

drzwi, kiedy

przyjdą. Masz szablę strażnika, gdy przyjdzie inny strażnik, by zastąpić tego,

który leży tu

związany, zabij go i ukryj ciało. Jeśli jeszcze ktoś przyjdzie przed Slikhem

zabij go także. Nie

rozpoznają cię aż do momentu, kiedy zaatakujesz.

Z błysku w oczach Stygijczyka, Conan poznał, że nie zawiedzie przynajmniej w tej części

intrygi.

— Zabijanie może okazać się zbędne — powiedział łagodniej. — Kiedy

następny strażnik

przyjdzie, zobaczy, że więźniowie uciekli i w ogóle nie wejdzie do tego

korytarza. Jeśli

nadejdzie więcej niż jeden człowiek, ukryj się w tunelu. Możliwe jest, że my

wrócimy,

wcześniej. Zabiorę ze sobą pięciu ludzi na poszukiwanie Laary. Jeśli będzie to

możliwe wrócę

tu z nią, zaryglujemy drzwi i utrzymamy korytarz aż Slikh przybędzie. Jeśli

jednak nie wrócę,

ufam, że pozostaniesz tu w ukryciu lub broniąc korytarza i otworzysz drzwi

moim

wojownikom, gdy nadejdą.

— Serotańczycy zabiją mnie, kiedy otworzę im drzwi!

— Przed ich otwarciem zawołaj Slikha i powiedz: „Conan każe ci przypomnieć

sobie wilki

z Thangi.” Przez te słowa pozna, że może ci zaufać. Gdzie zabrali dziewczynę?

— Wkrótce, gdy irański pies ruszył na obchód cel, jacyś ludzie otworzyli drzwi

w drugim

końcu jej lochu. Powiedzieli, że zabierają ją do Shaykhrona na przesłuchanie.

Miał z nią

rozmawiać w pokoju, w którym po raz pierwszy przyjął ciebie. Ale sześciu

ludzi nie przebiję

się przez dwudziestu Irańczyków, którzy pilnują wejścia.

— Czy znacie przejście do ogrodów Raju?

— Tak! — ogólne kiwniecie głowami pokazało mu, że tajemnice

czarnoksiężnika, z

pewnością nie były taką zagadką, jak za czasów jego przodków, kiedy to

położenie

mistycznych ogrodów, nie było znane nawet dla najbardziej zaufanych

wojowników.

— Vice zaprowadźcie mnie tam. Conan odwrócił się. Jego sukces i samo życie,

zależało

od prostego słowa barbarzyńców, którzy urodzili się i wzrosli w

przeświadczeniu, że rzeź,

grabież i zdrada są naturalnymi i odpowiednimi atrybutami życia mężczyzny.

Nic nie

powstrzymało Voltara przed pośpieszeniem do Shaykhrona, gdy Conan się

odwrócił.

Kupienia sobie życia przez zdradzenie Cymeryjczyka, i późniejszego

zorganizowania pułapki

na Slikha i Serotańczyków, nic, tylko honor prymitywnego człowieka,

któremu zaufał inny

człowiek honoru.

Conan i Stygijczycy przeszli po omacku przez tunel i weszli na schody.

Komnata, w której

spół była pusta. Na schodach, tuż przed zamaskowanym ruchomym

fragmentem ściany,

natknął się na dwa miecze zostawione tam przez Slikha, kiedy ruszył z łukiem

w dłoni na

pomoc przyjacielowi, zapominając w pośpiechu o stali. Cymeryjczyk uzbroił

nimi dwóch

swoich ludzi. Sztylet Shemity powędrował do trzeciego.

Korytarz przed komnatą także był pusty. Tam poprowadzili go Stygijczycy.

Wraz z

zapadnięciem zmroku, atmosfera milczenia i tajemnicy w pałacu Shaykhrona

wzmogła się.

Światła przygasły, cienie snuły się niewyraźnie, żaden podmuch nie poruszał

posępnyymi

arrasami. Buty Conana nie wywoływały większego hałasu na grubych

kilimach niż gołe stopy

Stygijczyków.

Znali drogę dość dobrze. Podle wyglądająca, stąpająca cicho grupa, z

błyszczącymi

oczyrna przemykała się cicho przez przyćmione korytarze, Przypominali

bandę nocnych

złodziei. Wybierali przejścia mało uczęszczane o tej porze i nie napotkali

**nikogo po drodze,
do pomyslowo zamaskowanych drzwi. Nagle zbliżyli się do kolejnych,
złożonych i
okratowanych drzwi, przed którymi stało dwóch gigantycznych, czarnych
strażników,
trzymających zakrzywione szable. Conan pomyślał, że to jest najsłabszy punkt
w królestwie
Shaykhrona; wejście do Raju było zbyt dostępne; jego tajemnice nie
wywierały dostatecznego
wrażenia.**

**Jednak strażnicy zorientowali się, że nadchodzący ludzie są
nieupoważnionymi intruzami.**

**Nie krzyknęli ostrzegawczo, gdy podnosili szable; byli niemi. Conan nie
ośmieliłby się
zdawać na Stygijczyków, ale jego chęć walki okazała się niepotrzebna.**

**Stygijczycy żądni
rozpoczęcia zemsty stłoczyli się przy czarnych, dwóch mężczyzn z mieczami
podjęło z nimi
walkę, podczas gdy inni chwycili ich gołymi rękoma i powalili na ziemię —
zakłuto ich na
śmierć. Conan widział na ziemi tylko spocony, przeklinający, napięty i
drgający węzeł,
wysiłku i agonii. To była praca rzeźnika i jednocześnie ponura konieczność,
współczucie dla**

tych niemych morderców stanowiłoby emocjonalne marnotrawstwo.

— Stań na straży przy drzwiach — rozkazał Conan jednemu ze Stygijczyków, a następnie

otworzył drzwi i wszedł do ogrodu, teraz pustego w świetle gwiazd. Kwiaty białe odcinały się

w ciemności, gęste drzewa i zarośla wypełniały mroczne tajemnice.

Stygijczycy, teraz

uzbrojeni również w szable czarnych, rozgrzani i pobudzeni walką, szli za nim śmiało i nawet

pysznąc się, jakby spacerowali przez ogród publiczny, a nie miejsce, które do tej pory

uważali, jeśli nie za sam Raj to jego bliski ziemski odpowiednik. Wydawali się właśnie

dostrzegać — ich postrzeżenie wyostrzyła przelana krew — że idą za Conanem, którego

sława miała już w sobie coś mitycznego w tym kraju krwi i tajemnicy.

Conan skierował się wprost do balkonu, o którym wiedział, że tam jest, mimo sprytnego

zamaskowania, gałęziami drzew rosnących poniżej. Trzech Stygijczyków pochyliło się, aby

Conan mógł wejść na ich plecy i po chwili odnalazł okno, przez które on i czarnoksiężnik

kiedyś patrzyli. Otworzył je czubkiem noża i po chwili przedostał się do środka robiąc nie

więcej hałasu niż pantera dokonująca podobnego wejścia.

Zza kotary zakrywającej alkowę z balkonem, docierały dźwięki — szloch kobiety

cierpiącej lub przerażonej, a także głos czamoksiężnika. Zerkając przez szparę w kotarach,

ujrzał Shaykhrona rozwalone go na tronie pod wyszywanym perlami baldachimem. Strażnicy

nie stali już, jak hebanowe figury po jego bokach. Mieli zajęcie przed podium, na środku

komnaty, ostrzyli sztylety i rozgrzewali żelazo, w małym koszu pełnym ognia.

Laara była

rozciągnięta pomiędzy nimi, naga, z nadgarstkami i kostkami nóg

przywiązanymi do

żelaznych obręczy przytwierdzonych do podłogi. Poza nimi w pokoju nie było nikogo,

spiżowe drzwi zamknięto i zaryglowano.

— Powiedz mi, jak Slikh uciekł z celi — rozkazał czarnoksiężnik.

— Nie! Nie! — wysapała dziewczyna, zbyt przerażona, by zachować milczenie.

— Conan

mógłby ucierpieć, gdybym powiedziała!

— Głupia! Conan jest...

— Tutaj! — Conan krzyknął i wyszedł z alkowy. Shaykhron obejrzał się szybko, zbladł,

krzyknął piskliwie, spadł z tronu i upadł jak długi na krawędź podium.

**Oprawcy zeszywnieli,
warcząc jak bestie, błyskawicznie wyjęli szable. Conan wystrzelił — używając
łuku strażnika
— do jednego i czarny zakręcił się na pięcie, i padł. Drugi ruszył ku
dziewczynie, uniósł
szablę mając zamiar zabić ofiarę przed własną śmiercią. Strzała Conana
dosięgła go w
połowie skoku, przebijając skroń. Osunął się prawie na dziewczynę. Na
zewnątrz mężczyźni
wrzeszczeli i dobijali się do drzwi.**

**Shaykhron zerwał się na równe nogi, paplając chaotycznie. Oczy prawie
wyszły mu z
orbit, gdy patrzył na srogiego, poplamionego krwią Conana z ciężkim łukiem
w dłoni.**

**— Ty jesteś zjawą! — wrzasnął wyciągając rękę, chcąc, jakby odpędzić
straszliwe widmo
przy pomocy jakiegoś zaklęcia. — — Jesteś halucynacją. Nie, nie! Na podłodze
jest krew!**

**Zostałeś zabity. Powiedziano mi, że dano cię bestii! Wrócilesz jednak, by mnie
zabić! Jesteś
diabłem! Szatanem, tak, jak ludzie mówią! Silniejszym ode mnie! Pomocy!
Pomocy! Straż!
Do mnie! Szatan, Conan powrócił, by mnie zabić i zabrać ze sobą w otchłań!
Wrzeszcząc, jak szalony, czarnoksiężnik zeskoczył z podium i pobiegł do**

drzwi. Conan

**począł, aż jego palce chwyciły rygiel, wtedy zimno, bezlitośnie przeszła
jego ciało strzała.**

**Shaykhron zatoczył się, obrócił twarzą do swojego nieprzyjaciela i przewrócił
do tyłu na**

**drzwi. Krzykiem wyrażał swój strach aż zamilkł na zawsze, kiedy następna
strzała wybiła mu**

zęby, przebiła kark i utkwiała w drzwiach.

ROZDZIAŁ 8

WILKI OSACZONE

Conan patrzył na swoją ofiarę wzrokiem bezlitosnym, jak zimna stal. Za drzwiami narastał

krzyk, a w ogrodzie Stygijczycy także głośno dopytywali się, czy jest bezpieczny i krzykliwie

żądali pozwolenia na wejście do pałacu. Wrzasnął do nich, aby byli cierpliwi i pośpiesznie

uwolnił dziewczynę. Oddał kawalek jedwabiu z otomany, aby ją nim owinać.

Szlochala

histerycznie, otaczając ramionami jego szyję w szaleńczym pomieszaniu przerażenia i

przytłaczającej ulgi. — Och, Conanie, wiedziałam, że przyjdiesz! Wiedziałam, że nie

pozwołisz na torturowanie mnie! Powiedzieli, że nie żyjesz, ale wiedziałam, że nie mogli cię zabić ...

Niosąc ją na rękach podszedł do balkonu i podał ją na dół Stygijczykom.

Krzyknęła

ujrzawszy ich dzikie, brodate twarze, ale jedno słowo Conana uspokoiło ją, kiedy zsunął się

na ziemię obok niej. — Co teraz wodzu — zapytali wojownicy, palący się do bardziej

zacieklej pracy, teraz, gdy walka naprawdę się rozpoczęła. Mnóstwo z tego

zapału było

wynikiem wzrastającego podziwu dla ich przywódcy. Ludzie podobni do

Conana, prowadzili

stracone armie, ze śpiewem na ustach, od jednego niemożliwego zwycięstwa

do drugiego

mimo grożących klęsk.

— Z powrotem do tunelu, gdzie czeka Voltar.

Ruszyli biegiem przez ogród, Conan niósł dziewczynę, jakby była dzieckiem.

Nie

przebiegli nawet dziesięciu metrów, gdy dźwięk ich kroków zaczął

współzawodniczyć z

hałasem w pałacu. Pełne wigoru przekleństwa,, zmieszały się z odgłosem

otwieranych drzwi,

które trzasnęły, jak uderzenie pioruna i jakaś postać zaczęła przedzierać się

na oślepe przez

zarośla. Był to Stygijczyk, którego zostawili na straży pozłaczanych drzwi.

Przeklinał, jak

pirat, a krew ściekała mu z rany na przedramieniu.

— Dwudziestu irańskich psów czeka przy drzwiach! — krzyknął. — Ktoś

zobaczył, jak

zabijamy czarnych strażników i wezwał Ammada! Pchnąłem jednego w

brzuch i zatrzasnąłem

drzwi przed ich przekłętymi twarzami, ale przebija się przez nie w ciągu paru

minut!

— Czy jest wyjście z ogrodu, które nie prowadzi przez pałac, Laara? — zapytał

Conan.

— Tak! — krzyknęła.

Postawił ją na ziemię, a ona wskazała ręką i popędziła ku pomocnej ścianie,

ukrytej prawie

całkowicie w masie listowia. Słyszeli, jak pozłacane drzwi trzeszczą pod

gwałtownymi

atakami ludzi pustyni. Laara drgała konwulsyjnie przy każdym uderzeniu,

jakby odgłosy te

wpływały na jej delikatne ciało. Dysząc ze strachu, i podniecenia darła liście,

ciągnąc i

odsuwając je na bok aż odnalazła chytrze zamaskowane w ścianie wyjście.

Conanowi w

kolczanie zostały jeszcze dwie strzały. Użył jednej do otworzenia rygla starego

zamku.

Przedostali się do innego, mniejszego ogrodu, oświetlonego wiszącymi

lampami, w chwili,

kiedy pozłacane drzwi ustąpiły i strumień dzikich postaci wymachujących

szablami wlał się

do Ogrodu Niewolnic. W środku ogrodu, w którym znaleźli się zbiedzy, stała

smukła wieża.

Conan widział ją już, gdy po raz pierwszy wchodził do pałacu.

— Do wieży! — warknął zatraskując za nimi drzwi i blokując je sztyletem, to

zatrzyma

ich przynajmniej na parę sekund. — Jeśli damy radę tam się dostać...

— Shaykhron często przesiadywał w komnacie na górze, gdy obserwował góry i miasto.

— Nie pozwalał nikomu z wyjątkiem Baghery wchodzić do górnej komnaty, ludzie jednak

mówią, „że zmagazynowane tam są wielkie ilości różnorodnej broni. Strażnik śpi w dolnej

komnacie...

Nie mieli jednak czasu na dalsze rozważania. Irańczycy prawie dotarli do drzwi za nimi.

Hałasy dochodzące ze wszystkich kierunków mówiły, że za kilka minut atakujący wkroczą do

Ogrodu Wieży, jedynym wejściem prowadzącym do niego. Conan biegiem poprowadził

swoich ludzi do wieży, z której wypadło pięciu oszołomionych strażników, szukających

przyczyny niezwykłego zamieszania. Zaskowyczeli ze zdumienia, gdy ujrzeli grupkę

mężczyzn biegnących ku nim. Ujrzeli odsłonięte zęby, oczy błyszczące w świetle wiszących

lamp i połyskujące ostrza. Strażnicy strząsający pajęczynę snu z umysłów, przystąpili do akcji

— tylko o sekundę za późno.

Conan zastrzelił jednego w biegu, ostatnią strzałą jaka mu została, ogłuszył

drugiego w

chwilę po tym, jak strażnik przebił serce jednego ze Stygijczyków. Pozostali

Stygijczycy

stłoczyli się przy trzech pozostałych strażnikach, sycąc się starożytną

plemienną nienawiścią,

która wybuchła w cięciach, strumieniach krwi, rąbaniu i pchnięciach, aż

pstrokato ubrane

figury znieruchomiały w karmazynowej kałuży.

Mściwe wrzaski za ich plecami osiągnęły szczyt i zablokowane sztyłem drzwi

rozprysły

się do środka. Otwór wypełnił się dzikimi twarzami i ciałami. Ludzie Ammada

stłoczyli się

tam w szalonej żądzy dopadnięcia zdobyczy. Conan podniósł luk upuszczony

przez Irańczyka

i posłał z odległości dziewięćdziesięciu metrów kilka strzał, w tę ciasno

upakowaną masę.

Musiała tam być jatka. W jednej chwili wrota wypełniały wściekle, napięte

ciała, a w

następnej skrwawione, skręcające się, skowyczące postacie. Pozostali przy

życiu cofnęli się

osłupiali.

Stygijczycy ryknęli z radości i ruszyli biegiem do wieży. Musieli się jednak

odwrócić, by

stawić czoła szarzy wściekłych Shemitów, którzy zakradli się niezauważeni do

ogrodu przez

inne wejście i zaatakowali wieżę nim wrota zostały zamknięte. Przez kilka

sekund wejście

stało się piekłem wirującej stali i tryskającej krwi. Conan brał w tym udział z

wielkim nożem

w rękę. Po chwili Shemici wycofali się ogłuszeni, zostawiając trzech

towarzyszy, leżących

we krwi przed drzwiami. Czwarty odczołgał się przy pomocy łokcia, tryskając

wkoło krwią z

przeciętych tętnic. Nic już nie mogło go uratować. Wykrwawił się na śmierć,

głośno

przeklinając swych wrogów.

Conan zatrzasnął spiżowe drzwi i przesunął rygiel, który wytrzymałby szarżę

słonia.

— W górę! Szybko! Brać broń!

Popędzili po schodach, błyskając oczyma i zębami, wszyscy z wyjątkiem

jednego, który

upadł w połowie drogi, osłabiony utratą krwi. Conan resztę drogi trochę go

ciągnął, trochę

niósł, położył go na podłodze i kazał Laarze zabandażować okropne cięcie

zadane przez

szablę Shemity. Potem obrócił się, by zbadać tocznienie. Znajdowali się w

górnej komnacie

wieży. Okien nie było, ściany miały za to strzelnice różnych rozmiarów,

ustawione pod

różnymi kątami. Niektóre biegnące w dół, a wszystkie wyposażone w ruchome żelazne

pokrywy. Stygijczycy wesoło pokrzykiwali na widok potężnych mieczy i toporów wiszących

wzdłuż ścian, z których zwisały również łuki i pełne strzał kolczany.

Czarnoksiężnik

przygotował swoje orle gniazdo do obrony i do obserwacji.

Wszyscy byli mniej lub bardziej ranni, mimo to tłoczyli się przy strzelnicach i zaczęli

strzelać wesoło w dum, który falował przy drzwiach. Mężczyźni nadbiegali zewsząd,

dołączając do oblegających wejście. Ammad nie był widoczny, ale około setki jego

Irańczyków wymieszanych z tuzinem innych ras, klębiło się poniżej. Tłoczyli się w ogrodzie,

wrzeszcząc, jak szaleni. Lampy, kołyszące się dziko pod wpływem przypadkowych uderzeń

ciał o pnie drzew, oświetlały mnóstwo wykrzywionych twarzy, toczących szaleńczo oczami w

górze. Ostrza migotały, jak małe błyskawice w całym ogrodzie, a łuki strzelały na ślepo.

Krzewy i zarośla zostały stratowane przez drepzczący i wirujący tłum. Zdobyli gdzieś belkę i

użyli jej, jako taran przeciwko drzwiom.

Conan był zaskoczony szybkością, z jaką on i jego ludzie byli ścigani i schwytani w

pułapkę do chwili, gdy usłyszał głos Ronna wznoszący się, jak cięcie szablą nad wrzawą.

Turańczyk musiał dowiedzieć się o śmierci czarnoksiężnika w przeciągu kilku minut po

zdarzeniu i podjął natychmiastowe działania. Jego błyskawiczne zrozumienie sytuacji,

połączone z przypadkowym zablokowaniem drogi ich ucieczki, zgubiło zbiegów.

Byli w pułapce, ale nie bezradni. Pokrzykując wesoło, Stygijczycy posyłali strzały przez

strzelnice. Nawet ranny, którego krwawienie powstrzymał prymitywny bandaż, doczołgał się

do strzelnicy i zaczął strzelać do swoich niedawnych towarzyszy. Z takiej odległości nie

można było chybić, świszczące strzały zbierały krwawe żniwo w zbitym tłumie. Nawet tacy

fanatycy, jak Ukryci, nie mogli znieść takiej rzezi. Impet natarcia załamał się w różnych

miejscach, tłum rozproszył się w poszukiwaniu ukrycia, Stygijczycy krzyknęli z szaleńczą

radością i dobijali uciekających.

W ciągu paru chwil ogród był pusty z wyjątkiem martwych i umierających, a

gwałtowna

burza strzał, nadbiegła świszcząc ze ścian i okien pałacu górującego nad

Ogrodem Wieży

oraz dachów domów stojących w pobliżu pałacowego muru.

Groty rozplaszczaly się na ścianach z miękkim odgłosem, jak ćma uderzająca

w oświetlone

okno. Wieżę zbudowano z kamienia, a wzmocniono spiżem i żelazem. Strzały

z zewnątrz

rzadko trafiały w otwarte strzelnice. Conan nie wierzył, aby wieżę można było

zdożyć

szturmem, tak długo, jak mieli strzały, a było ich w górnej komnacie tysiące.

Nie mieli jednak

ani jedzenia ani wody. Człowiek z raną cierpiał męki pragnienia, choć

stoicyzm jego rasy

kazał mu się nie skarżyć i leżał w milczeniu żując rzemień, by pobudzić

wydzielanie śliny.

Conan ocenił ich położenie, spoglądając w dół przez strzelnicę. Pałac, jak

wiedział, stał w

otoczeniu ogrodów, z wyjątkiem frontu, gdzie rozciągał się szeroki

dzielniec. Całość

otaczał zewnętrzny mur, a wewnątrz niższe murki oddzielały ogrody, w

przybliżeniu

przypominając szprychy koła, w którym wyższa zewnętrzna ściana grała rolę

obręczy. Ogród,

w którym zostali uwięzieni leżał na północny zachód od pałacu, w sąsiedztwie

dzielnicy. Na

zachód rozciągał się kolejny oddzielony murem ogród, który wraz z Ogrodem

Wieży otaczał

od zewnątrz Ogród Niewolnic. Ogród ten z kolei przylegał do samego pałacu,

gdzie ściana

dzielnicy łączyła się z murem Ogrodu Niewolnic, tak więc Ogród Wieży był

otoczony

całkowicie.

Pomocna ściana stanowiła ogrodzenie całości terenów pałacowych, za którą

Conan

dostrzegł oświetlone dachy miasta. Najbliższy dom stał nie dalej niż

trzydzieści metrów. W

nim i okolicznych domach, światła zostały wygaszone. Mężczyźni kucali za

balustradami i

strzelali w złudnej nadziei trafienia czegoś za kamieniem. W pałacowych

oknach światła

plonęły, ale dziedziniec i sąsiadujące ogrody zaciemniono.

Tylko w obleganym ogrodzie wciąż wisiały płonące, lampy. Wydawało to się

dziwne i

nierealne, oświetlony ogród z wieżą pośrodku, opuszczony z wyjątkiem

leżących ciał

zabitych, podczas gdy wokół czaił się niewidoczny, ale mściwy tłum.

Strzały lecące ze wszystkich stron, świadczyły o panice wśród przeciwników.

Stygijczycy

**przeklinali jadowicie, bo nie widzieli żadnych celów dla siebie. Nagle przyszło
uspokojenie w**

ostrzale. Ludzie wewnątrz wieży, podobnie zaprzestali strzałów, bez rozkazu.

W napiętej

ciszy, która nastąpiła, zza muru dziedzińca rozległ się głos Ronna.

— Jesteś gotowy do poddania się, Conanie?

Conan roześmiał się.

— Chodź i weź nas!

**— To właśnie mam zamiar zrobić, o świcie! — zapewnił go Turańczyk. — Nie
jesteś teraz**

lepszy od trupa!

— Tak powiedziałeś zostawiając mnie w Wąwozie Demona — odpowiedział

Conan. —

Jednak ja wciąż żyję, a bestia nie!

Powiedział to po irańsku i zewsząd podniósł się krzyk złości i niewiary.

Stygijczycy,

którzy nie zadali Conanowi jednego pytania, od czasu ucieczki z labiryntu,

nawet kiwnęli do

siebie głowami, mówiąc do siebie bez słów, że zabicie demona było tym, czego

można się

spodziewać po Conanie.

— Czy Ukryci wiedzą, że Shaykhron nie żyje, Ronn? — zawołał Conan

ironicznie.

— Wiedzą, że Ronn rządzi Shalhizarem, jak zawsze! — brzmiała gniewna odpowiedź. —

Nie wiem, jak zabiłeś potwora, ani jak uwolniłeś te stygijskie psy z celi, ale wiem na pewno,

że w godzinę po wschodzie słońca powieszę twoją skórę na tym, murze!

— Stygijskie psy? — zamruczeli górscy wojownicy, pieszcząc mściwie swoje łuki.

Jednak Conan uśmiechnął się na myśl, że gdyby Voltar został schwytany,

Ronn nie

omieszkałby złośliwie ich o tym poinformować. Conan nie wierzył, by podjęto jakieś szerokie

badania lochów. Cała uwaga Ukrytych była skupiona na wieży, nie mieli teraz czasu na

przeszukiwanie cel. Conan uznał, że jest całkowicie usprawiedliwiony,

wierząc w

bezpieczeństwo Voltara w tunelu pod pałacem, czekającego, by wpuścić

Slikha i

Serotańczyków.

Po pewnym czasie, z drugiej strony dziedzińca zaczęły dochodzić jakieś uderzenia i loskot.

Z wieży, przyczyna hałasu była niewidoczna i Ronn powiedział mściwie: —

Słyszysz to,

cymmeryjska świnię? Czy kiedykolwiek słyszałeś nacierający taran? No cóż, to

właśnie

budują moi ludzie, osłonę na kołach, która obroni przed strzałami

pięćdziesięciu mężczyzn.

Gdy tylko wzejdą pierwsze promienie słońca, popchniemy ją pod wieżę i

rozwalimy drzwi.

To będzie twój koniec, psie!

— I twój — odpowiedział Conan. — Nie możesz zdobyć tej wieży bez pokazania

się choć

trochę, a to wszystko czego będzie mi trzeba, ty turański psie!

Odpowiedzią Turańczyka był wrzaskliwy, nieprzekonywujący, szyderczy

śmiech pełen

furii. Następnie pertraktacje się skończyły i ponownie zaczęto strzelać zza

ogrodowych

murów, i okolicznych dachów, bez nadziei na trafienie kogokolwiek, ale

najwidoczniej z

zamiarem zniechęcenia do prób ucieczki z wieży. Conan rozważał taką

możliwość, mogli

zestrzelić lampy oświetlające ogród i spróbować ucieczki w ciemności,

zrezygnował jednak z

tego pomysłu. Za każdą otaczającą ogród ścianą roilo się od mężczyzn. Taka

próba byłaby

samobójstwem. Forteca stała się więzieniem.

Conan szczerze przyznał, że znajdował się w przykłej sytuacji, z której nie

wydobędzie się

własnym wysiłkiem. Jeśli Serotańczycy nie pokażą się zgodnie z planem, on i

jego grupa byli

skończeni. Pomyślał z bólem o Voltarze czekającym przez wiele dni w

korytarzach pod

pałacem, aż głód odda go w ręce jego wrogów, albo zmusi do ucieczki

parowem. Wtedy

przypomniał sobie, że nie powiedział Stygijczykowi, jak dojść do wyjścia w

drugim końcu

labiryntu.

Uderzenia i loskoty dochodziły stale z niewidocznego końca dziedzińca.

Nawet, jeśli

Serotańczycy nadejdą o świcie, może być za późno. Spostrzegł, że Ukryci będą

musieli

zburzyć większą część ściany, aby wprowadzić do ogrodu maszynę, opisywaną

przez Ronna.

To jednak nie potrwa długo.

Stygijczycy nie podzielali obaw swojego wodza. Wykonali znakomitą jatkę; ich

pozycja

była mocna; służyli człowiekowi, równemu królom; mieli dobrą broń i

mnóstwo strzał. Czego

więcej pragnie górski wojownik? Nie odkładali broni i chępli się każdym

oddanym strzałem,

do czegokolwiek ruchomego, pozwalając przyszłości zająć się sobą. Tak więc,

przez długie

godziny trwała dziwna walka, przerywana uderzeniami młotów,

dochodzącymi ze słabo

oświetlonego pochodniami dziedzińca.

Ranny Stygijczyk zmarł, gdy świt przyćmił światło lamp w ogrodzie poniżej.

Conan

przykrył zmarłego dywanem i spojrział ze smutkiem na swoją żalosną bandę.

Trzech

Stygijczyków klęczało przy strzelnicach wyglądając, jak okrwawione duchy w

upiornym

szarym świetle. Laara spała na podłodze, kompletnie wyczerpana, trzymając

pod głową swoje

miękkie, dziecięce, okrągłe ramię.

Uderzenia młotem Ucichły i w ciszy usłyszał skrzypienie masywnych kół.

Wiedział, że

wóz zbudowany przez Ukrytych w ciągu nocy, jest przetaczany przez

dziedziniec, ale nie

widział go jeszcze. Rozpoznawał czarne kształty mężczyzn, stłoczonych na

dachach domów,

stojących blisko zewnętrznego muru. Spojrział dalej, ponad dachy i grupy

drzew, ku pomocnej

krawędzi płaskowyżu. Nie spostrzegł żadnych oznak życia, w rozjaśniającym

się mroku,

pośród okrągłych głazów leżących na krawędzi urwiska. Najwidoczniej straż

nie zniechęcona

losem Voltara i jego ludzi, opuściła posterunek i dołączyła do walczących w pałacu. Żaden

władca nie mógł liczyć na absolutne posłuszeństwo wszystkich swoich ludzi.

Jednak, patrząc

dalej, Conan dostrzegł grupę około dwunastu mężczyzn, z trudem

posuwających się drogą

prowadzącą do schodów. Ronn nie pozostawił tego punktu długo bez straży.

Conan domyślał

się losu ludzi, którzy go opuścili.

Odwrócił się do Stygijczyków patrzących na niego w milczeniu. Wyglądał, jak

najdzikszy

barbarzyńca, który kiedykolwiek stanął na polu walki, nagi do pasa, buty i

bryczesy

poplamione krwią, brązowa pierś, ramiona podrapane i poplamione.

— Serotańczycy nie nadeszli — powiedział nagle. — Teraz Ronn wysła

przeciwko nam,

swoich morderców pod osłoną wielkiej tarczy na kołach. Rozwalą drzwi

taranem. Zabijemy

niektórych na schodach. Potem „umrzemy.

— Bogowie tego żądają! — odpowiedzieli akceptując i zgadzając się na swój

los. —

Zabijemy wielu przed śmiercią! Uśmiechnęli się, przypominając głodne wilki

o świcie, i

dotknęli broni.

Na zewnątrz, z każdego okna i ściany rozległy się okrzyki i strzały uderzyły

gęsto w

otwory strzelnicze. Ludzie w wieży widzieli teraz maszynę oblężniczą,

dudniącą ciężko na

dzieńcu. Była to masywna konstrukcja z belek i żelaza, na kołach, mająca

sterczący ze

środką zakończony żelazem taran. Co najmniej pięćdziesięciu ludzi mogło

schronić się

bezpiecznie pod nią i z tyłu.

Pojazd dotoczył się do muru i zatrzymał. Młoty kowalskie zaczęły burzyć

ścianę.

Cały ten hałas obudził Laarę, która usiadła trąc oczy i rozglądając się

oszolomiona dokoła.

Potem krzyknęła, podbiegła do Conana i przytuliła się do niego w

poszukiwaniu pocieszenia.

Nie mógł ofiarować jej dużej pociechy, mimo ogromu współczucia, jaki dla

niej odczuwał.

Nic nie mógł zrobić, z wyjątkiem osłonięcia jej własnym, ciałem przed

wrogami i zostawienia

litościwie dla niej ostatniego ciosu mieczem.

Czując beznadziejność ich położenia, zastygła w jego ramionach, jak dziecko,

wtulając

twarz w jego szeroką pierś i pojękując słabo. Conan siedział cicho, czekając na

ostatnią walkę

z cierpliwością dzikich, wśród których spędził tak wiele swego życia i od

których tak wiele

się nauczył. Spokojny, choć oczy błyszczały mu niezmiennie.

— Mur rozpada się — mruknął rysiooki Stygijczyk kucający przy strzelnicy. —

Widzę pył

wzniecany uderzeniami młotów. Wkrótce zobaczymy wojowników, wtedy...

— Słuchajcie!

Wszyscy w wieży to usłyszeli, ale tylko Laara zerwała się i krzyknęła, gdy nowy

dźwięk

przeciął hałas, do którego już się przyzwyczaili. Były to krzyki rozlegające się na północy.

Shalhizar nagle zmarł.

ROZDZIAŁ 9

CZERWONY SAD

**Conan skoczył do otworu strzelniczego po pomocnej stronie wieży. Spojrzał
ponad**

**dachami Shalhizaru na drogę, dobrze już widoczną w spokojnym, białym
świcie. Pół tuzina**

**mężczyzn bieгло drogą, posyłając strzały do tyłu. Za nimi inne postacie,
poruszały się wśród**

skał na krawędzi urwiska.

**Postacie te, miniaturowe z powodu odległości, ale wyraźnie widoczne w
porannym**

świcie, strzelały z luków. Strzały wywoływały panikę. Uciekający potykali się i wywracali.

**Dziki, głębokie wrzaski, dotarty do uszu słuchających, w nagle uciszonym
mieście.**

**— Akarion! — wykrzyknął Conan. Ponownie zaniechanie straży schodów
pomogło mu.**

**Serotańczycy wspięli się na niestrzeżone schody na czas, aby zmasakrować
nadchodzącą**

**właśnie nową zmianę straży. Był jednak zdumiony ilością ludzi rojących się na
płaskowyżu.**

**Kiedy strumień mężczyzn urwał się, na drodze do Shalhizaru znajdowało się
przynajmniej**

**trzystu wojowników. Wyjaśnienie mogło być tylko jedno: Slikh nie spotkał ich
i nie przekazał**

planu ataku. Conan mógł sobie wyobrazić scenę, gdy dotarli na miejsce

umówionego

spotkania i nie zastali tam Conana; wściekłość Yarali Nakha i mściwą furję,

która kazała

członkom plemienia lekkomyślnie zdobyć schody i podjąć bezpośredni atak

na miasto, o

którym nie wiedzieli nic, poza tym, że są w nim mordercy ich przyjaciela. Co

się stało ze

Slikhem, nie mógł nawet zgadnąć.

W Shalhizarze zamarłe zdumienie zmieniało się w pośpieszne działanie.

Mężczyźni

krzyczeli na dachach, biegali po ulicach. Z jednego dachu na drugi wieść o

inwazji

rozprzestrzeniała się z szybkością wiatru i po kilku minutach ludzie krzyczeli

już o tym na

pałacowym dziedzińcu. Conan wiedział, że Ronn wejdzie na jakieś dogodne

miejsce

obserwacji, by obejrzeć to samemu i nie zdziwił go po pewnym czasie głos

Turańczyka

wydającego ostro rozkazy. Zaprzestano rozwalania młotami muru. Mężczyźni

bezlądnie

uciekali spod ochronnej tarczy.

Po chwili ludzie zaczęli wychodzić z ogrodów, dziedzińca i okolicznych

domów, i

gromadzić się na rynku. Stygijczycy w wieży strzelali dzielnie do nich i

zaliczyli parę trafień,

ale zostało to zignorowane. Conan wypatrywał Ronna, ale doszedł do

wniosku, że Turańczyk

opuścił pałac wyjściem nie widocznym z wieży. W końcu spostrzegł go,

daleko, w dół ulicy,

wśród błyszczących, opancerzonych Irańczyków, na których czele migotał

pyszny hełm

Ammada. Za nim tłoczyły się setki zwykłych, szarych wojowników, dobrze

uzbrojonych w

dobrym, jak na nomadów, porządku. Widocznie Ronn nauczył ich

przynajmniej podstaw

cywilizowanych działań wojennych.

Szli mając, jakby zamiar wyjść na równinę i zmierzyć się z nadciągającą hordą

w otwartej

bitwie, ale przy końcu ulicy, rozproszyli się zajmując ogrody i domy po obu

stronach ulicy.

Kothyjczycy byli wciąż zbyt daleko, aby widzieć co się dzieje w mieście, Kiedy

zbliżyli

się na tyle, by spojrzeć wzdłuż ulicy, wydawała się ona pusta i opuszczona.

Conan jednak z

wysokości wieży widział ogrody na pomocnym krańcu miasta, wypełnione

groźnymi

postaciami, dachy obciążone ludźmi trzymającymi błyszczące w porannym

świałe miecze i

topory. Kothyjczycy maszerowali w pułapkę, a on stał tu bezradny. Conan

czuł, jakby ktoś

trzymał go za gardło.

Jeden ze Stygijczyków podszedł i stanął przy Conanie, zawiązując prymitywny

bandaż na

zranionym nadgarstku. Mówił przez zęby, ciągnąc nimi jednocześnie gałgan.

— Czy to twoi przyjaciele? To głupcy. Idą wprost w paszczę śmierci.

— Wiem! — na zaciśniętych pięściach Conana białą kłykie.

— Wiem dokładnie co się stanie — powiedział Stygijczyk. — Kiedy byłem

strażnikiem

pałacowym, slyszalem, jak Baghera tłumaczył oficerom plan obrony w razie

ataku wroga na

miasto: — Czy widzisz sad na końcu ulicy, po stronie wschodniej? Ukryło się w

nim

pięćdziesięciu mężczyzn z łukami. Możesz dostrzec poruszenie wśród drzew

brzoskwiniowych. Po drugiej stronie drogi jest ogród, zwany Ogrodem

Lemurii. Tam czai się

następnych pięćdziesięciu łuczników. Dom przy nim jest pełen wojowników,

podobnie jest w

trzech pierwszych domach po przeciwnej stronie ulicy.

— Dlaczego mi to mówisz? — szczechnął Conan, jego spokój zaczynał się

wyczerpywać.

— Czy nie widzę tych psów kryjących się za balustradami na dachach?

— Tak! Ludzie w sadzie i ogrodzie nie zaatakują dopóki Kothyjczycy nie miną ich i nie

znajdą się dalej pomiędzy domami. Wtedy łucznicy na dachach zaczną ostrzelać z obu stron, a

mężczyźni w sadzie i ogrodzie ostrzelają ich tylne flanki. Nikt nie ucieknie.

— Gdybym tylko mógł ich ostrzec! — mruknął Conan.

Stygijczyk machnął ręką w kierunku pałacu i dachu najbliższego domu, z których nawet

teraz, od czasu do czasu odzywały się okrzyki.

— Baghera nie zostawił nas bez straży. Przynajmniej dwudziestu ludzi wciąż obserwuje

wieżę. Podziurawiliby cię, jak sito, nim dobiegłbyś do połowy ogrodu.

— Na Croma! Czy muszę stać tu bezradny i patrzeć, jak masakrują moich przyjaciół?

Na karku Conana zarysowały się żyły, a jego błękitne oczy nabrały czerwonego zabarwienia. Nagle kucnął, jak pantera szykująca się do skoku, ponieważ na drugim końcu

miasta wybuchła wrzawa. Krzyknął dziko, głęboko i radośnie.

— Patrzcie! Kothyjczycy rozpraszają się i ukrywają. Akarion to stary, przebiegły wilk.

Yarali Nakh może popędziłby wprost do miasta, o którym nic nie wie; ale nie Akarion!

Była to prawda. Akarion, podejrzliwy jak ponury, stary wilk, nie ufał pozorowi niewinnie

wyglądającej ulicy. Może jego ostrożność wynikają z ciszy, zdziwił go brak

odgłosów życia

w mieście, które słyszał wchodząc po schodach. Może jego sokole oczy

chwyciły błysk

wschodzącego słońca, odbitego od ostrza miecza na dachu. W każdym razie

jego trzystu

wojowników rozciągnęło się w długą linię i zaczęło strzelać zza kamieni i

naturalnych

zagłębień pokrywających skalistą równinę.

Pojedyncze strzały nadleciały z dachu najbliższego domu, ale ogród i sad

pozostały

milczące. Strzały były słabe i nieskuteczne.

— Patrzcie!

Grupa mężczyzn, Ukrytych, mniej więcej setka, wyłoniła się spomiędzy

domów, szła

hałasując i strzelając wzdłuż drogi. Conan zaklął siarczyście ponieważ

domyślił się na czym

polega podstęp. Stygijczycy wyglądający mu nad ramieniem, poruszyli

głowami

potwierdzająco.

— Chcą zmusić Kothyjczyków do zaatakowania. Wkrótce zaczną się

chaotycznie

wycofywać. Nie ma człowieka, który oparłby się pościgowi za uciekającym

wrogiem.

Serotańczycy wpadną w pułapkę mimo wszystko.

Najbliższy punkt linii Kothyjczyków znajdował się kilkaset metrów od sadu.

Ledwo

Ukryci minęli sad, natknęli się na miążdzący ostrzał z całej długości

nieregularnej,

kothyjskiej tyraliery. Nierówne szeregi zafalowały, gdy około tuzina mężczyzn

upadło na

ziemię. Pozostali wydali okrzyk pełen grozy i rozpoczęli odwrót. Ciała leżące

na równinie,

świadczyły o gotowości Ukrytych do zapłacenia wysokiej ceny za ostateczne

zwycięstwo.

Wilcze wycie Kothyjczyków dotarło nawet do wieży, gdy szeregi Ukrytych

załamały się, a

wojownicy zaczęli uciekać w kierunku domów. Tak, jak Stygijczyk

przewidział, a czego

Conan się obawiał, Serotańczycy poderwali się i popędzili za nimi strzelając w

biegu i wyjąc,

jak oszalałe demony.

Zbiegli się ze wszystkich stron na drogę i choć Akarion nie mógł kontrolować

ich pędu

naprzód, to przynajmniej biciem i przekleństwami wami zbudował z nich bardziej

zwarty oddział.

Biegący górale nie byli za ostatnimi uciekającymi, dalej niż pięćdziesiąt

metrów, kiedy ci

drudzy opuszczali przestrzeń pomiędzy ogrodem i sadem pędząc ulicą. Conan

zaciśnął ręce aż

paznokcie przebiły skórę i wywołały krwawienie. Najbardziej wysunięci

Kothyjczycy mijali

właśnie pierwsze fragmenty ogrodu, jeszcze kilka chwil i znajdą się w pułapce.

Coś jednak poszło źle. Później Conan dowiedział się, że to głowa w zawoju

wystawiona,

nieostrożnie nad ogrodowy mur, popsuła Ronnowi pułapkę. Akarion, którego

oczom nic nie

umykało, wyśledził tę głowę i posłał natychmiast w jej kierunku strzałę.

Właściciel głowy

przed śmiercią wydał straszliwy okrzyk. Na odgłos krzyku, koledzy

trafionego, napięci do

ostatnich granic, wypuścili strzały mechanicznie i mimowolnie. Mężczyźni w

sadzie po

drugiej stronie, reagując bezmyślnie, oddali bezładną salwę w napierającą

horde. Oczywiście,

ludzie na dachach również zaczęli strzelać spontanicznie i bez rozkazów.

Kiedy pułapka

zależąca od doskonałej precyzji zatrzaskuje się przedwcześnie, rezultatem jest

zawsze

demoralizacja i zamieszanie.

Okolo dwudziestu Kothyjczyków zginęło przy pierwszej salwie, ale Akarion

natychmiast

zrozumiał na czym polega pułapka i wybrał jedyną możliwą drogę ucieczki.

Nieoczekiwany

ostrzał był, jak kubel zimnej wody na głowę jego ludzi, otrzeźwiający ich z

zaślepienia żądzą

krwi. Nim wpadli w panikę, Akarion wysokim, dzikim wrzaskiem przyciągnął

ich

przytępioną uwagę i poprowadził ich wprost na mur sadu. Byli

przyzwyczajeni od kołyski

ślepo iść za nim. Biegli za nim i teraz, pod ostrzałem ze wszystkich stron.

Chmura strzał, która wyleciała zza muru, wprost w ich twarze, pozostawiła na

drodze linię

poskręcanych ciał, ale nie powstrzymała ataku. Przeskakiwali przez mur, jak

fala pędzona

tajfunem, wpadali pod strzały i stal. Zasypali pięćdziesięciu kryjących się tam

mężczyzn

swoją liczbą, strzałami, pchnięciami i uderzeniami, a później sami zza muru

odpowiedzieli

dzikim ostrzałem w kierunku ogrodu i domów.

Natychmiast bitwa zmieniła swój obraz. Droga była pełna martwych ciał, ale

Akarion

tracąc około czterdziestu wojowników wysliznął się z pułapki nim się ona

zamknęła.

Serotańczycy byli dobrze ukryci za murem i drzewami sadu, do którego, zza

drogi padał

deszcz strzał, nie wywołujący żadnego efektu. W sadzie znajdowały się

fontanny z wodą, na

niektórych drzewach wisiały owoce. Nie usunięci bezpośrednim atakiem,

mogli tam się

trzymać przez wiele dni.

Z drugiej strony, znaleźli się w potrzasku. Nie mogli zdobyć miasta strzelając

z ukrycia, a

po wyjściu z ukrycia powystrzelano by ich. Nie mogli zaatakować domów i nie

mogli

wycofać się na równinę ani uciec schodami. Podążono by za nimi i

zmasakrowano. Ciągły

ostrzał stopniowo zmniejszałby ich liczbę, a bezpośredni atak zmiotłby ich

tak, jak oni

zmiażdżyli pięćdziesięciu łuczników, przedtem ukrywających się w sadzie.

W międzyczasie Conan myślał wściekle, że jest otoczony w tej przeklętej

wieży, podczas

gdy mężczyźni przybyli, by go ratować, walczył d własne życie przeciwko

przebiegłemu i

bezlitosnemu wrogowi. Kroczył po pokoju, jak tygrys, oczy mu płonęły, ręce

drżały żądzą

chwycenia za łuk lub rękojeść miecza. Laara klęczała blisko ściany.

Strzały uderzające w zewnętrzną ścianę wieży doprowadzały go do

szaleństwa. Nie

strzelano w nic konkretnego; ostrzegano go po prostu, by trzymał się w

ukryciu; miał być

otoczony do czasu, aż Ronn wymorduje jego przyjaciół i wróci, by zniszczyć go

bez

pośpiechu. Czerwona mgła przesłaniała wzrok Conana, widział wszystko w

wirze czerwonej

krwi.

Z trudem dotarło do niego, że jeden ze Stygijczyków poszedł na dół, do dolnej

komnaty.

Jednak jego powrotu był w pełni świadom, ponieważ wracał pokonując trzy

stopnie na raz,

oczy mu płonęły.

— Panie! Chodź i zobacz! Ściągnąłem dywan z podłogi w dolnej komnacie

szukając lupy,

który często można znaleźć pod podłogą i odkryłem pierścień z brązu

przymocowany w

szczelinie podłogi. Pociągnąłem za niego i podniosłem klapę zapadni; w dół

prowadzą

schody!

Conan wydobył się z labiryntu beznadziejnej wściekłości, jak budząca się

pantera i

popędził w dół schodów za wojownikiem. W chwilę później kucnął przy

otwartej klapie z

zapaloną pochodnią znaną w górnej komnacie. Stopnie prowadziły w dół

około dwóch

metrów i zmieniały się w wąski tunel. Conan klęczał zamyślony.

— Tunel prowadzi w kierunku pałacu — powiedział w końcu. — Gdyby Ronn wiedział o

nim, przeprowadziłby nim swoich ludzi i zaatakował nas. Saykhron musiał używać go

przechodząc potajemnie tam i z powrotem. Naturalnie miał sekrety nawet przed Ronnem.

Prawdopodobnie tylko on i czarni niewolnicy znali to przejście, co oznacza, że z żyjących —

wiemy o tym tylko my.

— Nie wiemy do jakiego miejsca w pałacu on prowadzi — przypomniał Stygijczyk.

— Nie, ale warto wykorzystać tę szansę. Sprowadź pozostałych. Gdy pojawili się trzej

Stygijczycy wraz z dziewczyną, trzymającą wokół siebie prowizoryczną jedwabną odzież,

powiedział: — Przypuszczam, że tunel zaprowadzi nas do jakiejś nie wypełnionej Ukrytymi,

części pałacu. Nie może tam być wielu ludzi, wszyscy są raczej zgromadzeni w przedniej

części budynku, sądząc z odgłosów walki. W każdym razie lepiej podjąć to ryzyko, niż

czekać tu na zarżnięcie.

— Jeśli żywi dostaniemy się do pałacu, dotrzemy do Votara. Nie ma sensu, aby

tam

czekał, ale prawdopodobnie on o tym nie wie. Jeśli tam dotrzemy

wydostaniecie się stąd wraz

z dziewczyną parowami.

W paru słowach opisał im, jak dojść do jaskini i otworu w urwisku.

— Nie chcemy cię opuścić, Conanie!

Zmęczenie i rany wywarły skutek na Stygijczykach; ich brodate twarze były

wydłużone i

wynędzniałe. Mówili jednak szczerze.

— Będziecie słuchać moich rozkazów tak, jak przysięgaliście, podobnie Laara.

Dziewczyna także pokazywała oznaki buntu. — Znacie drogę do Khroshy.

Idźcie tam i

podajcie to samo hasło, które przekazałem Voltarowi. Nie obawiajcie się iść

przez parowy,

demon nie żyje i nigdy nie był niczym innym tylko wielką małpą. Jeśli

dojdziecie do Khroshy

skontaktujcie się z rodziną Laary w Vendhyi. Dobrze wam zapłacą za jej

powrót.

— Niech psy zeżrą ich vendhyańskie pieniądze. Twój rozkaz wystarczy. Ale co

z tobą?

— Gdy wejdziecie bezpieczni do parowu, mam zamiar wymknąć się z pałacu i

spróbować

dotrzeć do sadu, gdzie są uwięzieni Kothyjczycy. Przybyli, aby mnie ratować.

Nie mogę ich

opuścić. To sprawa hann.

Nieświadomie powiedział to po aquilońsku, ale Stygijczycy zrozumieli; oni także mieli swój kodeks honoru.

— Mówię wam to teraz, bo jeśli zginę nim dotrzemy do Voltara, musicie wiedzieć co robić. Ruszajcie do Khroshy. Teraz idziemy.

Weszli do tunelu oświetlając sobie drogę pochodnią. Korytarz był ozdobiony, wymurowany fryzowanym marmurem, sklepiony i wyłożony płytami. Przez kilkanaście metrów biegł prosto. Conan uznał, że są już głęboko pod pałacem.

Zastanawiał się, czy

przejście nie ma połączenia z lochami, gdy dotarli do wąskich schodków, prowadzących w

górze do drzwi z brązu. Uważne nasłuchiwanie nie ujawniło żadnych dźwięków za drzwiami, i

Conan ostrożnie je otworzył z bronią gotową do walki. Wkroczyli do pustej komnaty, w

której ukrytą drzwi tworzyły dekoracyjną płaszczyznę na ścianie. Gdy Conan pchnął je z

powrotem, trzasnęła ukryta zasuwka i ten kierunek ucieczki mieli odcięty.

Przekradli się przez komnatę i zerknęli przez kotarę wiszącą w drzwiach na mroczny

korytarz. Żaden dźwięk nie zakłócał ciszy w pałacu z wyjątkiem okrzyków

dochodzących z

— pewnej odległości. To łucznicy strzelali przed budynkiem do wieży. Conan uśmiechnął się

słabo, na myśl o zaangażowaniu łuczników, gdy ludzie, których ostrzeliwali w tym

momencie, wtargnęli do pałacu i byli za ich plecami. — Czy wiesz dokładnie, gdzie teraz

jesteśmy, Laara?

— Tak, Conanie.

— Więc zaprowadź nas do pokoju, w którym są ukryte schody. Nie chcę przypominać, aby

wszyscy zachowywali się cicho.

— Myślę, że nas nie odkryją. Niewolnicy na pewno są w drugim końcu miasta i obserwują

walkę. Kobiety, niewolnice kryją się przerażone w górnych komnatach, prawdopodobnie

zamknięte przez swych panów — odpowiedziała Laara, prowadząc ich szybko wzdłuż

krętego korytarza.

Nie myliła się w swoich przypuszczeniach, ponieważ dotarli do drzwi komnaty, którą

Conan zajmował wczoraj, bez napotkania kogokolwiek. Nagle serca skoczyły im do gardeł,

gdy usłyszeli przyciszone głosy i delikatne kroki w środku. Było to tak

nieoczekiwane jak

strzała wypuszczona w zasadzce. Nim mogli się wycofać, drzwi otwarto, a

Conan przystawił

ostrze miecza do brzucha mężczyzny, który je otworzył.

Przez chwilę obaj stali nieruchomo.

— Conan!

— Slikh!

Stygijczycy za plecami Conana, gapili się dziko na wielkiego Slikha, biorącego

z radosną

ulgą w ramiona ich wodza. Za Slikhem, Voltar w irańskim przebraniu

uśmiechał się, jak

górski, rogaty diabeł. Komnatę wypełniało pięćdziesięciu dzikich mężczyzn z

toporami i

szablami.

— Bałem się, że nie żyjesz — powiedział Conan trochę niepewnie.

— Zasłużyłem na to, bo nie wypełniłem swojej misji — powiedział Ślikh

skruszony. —

Powinienem był dotrzeć do Wąwozu Królów przed Serotańczykami. U

zachodnich podnóży

turni otaczających płaskowyż, natknąłem się na stary szlak karawan, który

kiedyś biegi przez

ten kraj z Ophiru. Skręca on na północ, biegnąc podnóżem góry i wpada do

Wąwozu Królów,

mniej więcej pięćset metrów na zachód od szczeliny, gdzie zabiłeś Quanga. Po

tym, jak

wszedłem na drogę, wyprawa stała się łatwa, ale gdy po niej schodziłem

pośliznąłem się,

upadłem i uderzyłem głową o skałę. Musiałem leżeć bez czucia przez godziny.

Kiedy

doszedłem do siebie popędziłem dalej. Dotarłem do Wąwozu Królów o świcie.

Serotańczycy,

którzy prawie zajeździli na śmierć swoje konie, w czasie całonocnego wyścigu

z czasem,

przeszli już przez szczelinę. Podeszedłem do koni pilnowanych przez paru

chłopców.

Powiedzieli, że Yarali Nakh wykorzystał twoją linę, aby dostać się na występ

kryjący wejście

do szczeliny, wszedł do niej i poderżnął gardło strażnika nim tamten

zorientował się, że

Kothyjczyk jest przy nim. Tak długie utrzymanie w sekrecie tajemnicy

Ukrytych

spowodowało, że ci głupcy stali się beztroscy. Nawet twoje wejście do miasta

nie nauczyło

ich rozumu. Nie wpadli na to, że ktoś mógł za tobą podążać.

— No cóż, gdy ruszyłem za Serotańczykami przez szczelinę, usłyszałem

odgłosy walki,

jak mi się wydawało, z krawędzi urwiska. Wiedziałem, że są już na górze

ponieważ okrzyki

przesuwały się w głąb płaskowyżu. Gdy wahalem się nie wiedząc co robić i
przeklinając
siebie za niepowodzenie w dotarciu na czas, tych pięćdziesięciu ludzi wjechało
do wąwozu,
goniąc Serotańczyków. Tej Wargazi, którym Akarion pozwolił zbudować
wioskę parę
kilometrów od Khroshy. Słyszając, że Serotańczycy wyruszyli na wojnę, ruszyli,
by pomóc w
walce... i podziale łupów. Nie widząc lepszego rozwiązania sprowadziłem ich
zgodnie z
twoim poleceniem. Konie były zmęczone, ale mimo to uzyskaliśmy niezły
czas, ponieważ
jechaliśmy starym szlakiem, prawie do samego otworu w urwisku, mieliśmy
może pięćset
metrów wspinaczki. Teraz czekamy na twoje rozkazy!

— Świetnie! — wykrzyknął Conan. — Na zewnątrz jest dosyć męskiej roboty
dla nas
wszystkich.

— Co się stało, Conanie? — spytał Slikh z entuzjazmem. Wargazi, którzy
podążali za
Slikhem, bo wiedzieli, że jest towarzyszem Conana tłoczyli się równie gorliwie
wokół. —

Słyszeliśmy cały czas odgłosy walki, ale oczywiście niczego nie widzieliśmy. A
Stygijczyk,

który otworzył nam drzwi, wie nie więcej niż my.

— Serotańczycy bronią się w sadzie na drugim końcu miasta — odpowiedział Conan. —

Później opowiem ci o bitwie, teraz trzeba coś szybko zrobić. Odwrócił się do trzech

Stygijczyków. — Wy róbcie to, co wam kazałem. Slikh, opowiedz im, gdzie są konie

Wargazów. Kiedy im to Slikh wytłumaczył Conan dodał:’ — Jedźcie do

Khroshy i czekajcie

na nas. Jeśli bitwa skończy się nie po naszej myśli, powierzam wam los Laary.

Chcę, aby

dotarła bezpiecznie do domu.

Pokłonili się w milczeniu; dziewczyna przylgnęła do niego płacząc, nie mieli

jednak czasu

na kobiece łzy. Na rozkaz Stygijczycy oderwali ją od niego z niezgrabną

delikatnością i

wynieśli ją; cały czas płaczącą, przez ukryte drzwi.

— Teraz wynosimy się stąd — powiedział Conan. — Włączymy się do bitwy, ale nie

pomożemy Akarionowi dając się otoczyć wraz z nim w sadzie. Spróbujemy

przejąć ogród po

drugiej stronie drogi, znasz rozkład miasta Slikh. Stamtąd możemy

zaatakować domy

naprzeciwko i zająć pozycję dogodną do odpierania każdego ataku ulicą.

Chodźmy!

Conan ruszył korytarzem, którym Utang dzień wcześniej prowadził go na konfrontację z

Ronem. Pięćdziesięciu członków płomienia podążało za nim. Ze swoimi dzikimi twarzami i

zniszczonym ubraniem wyglądali niestosownie w otoczeniu bogatych arrasów i błyszczących

marmurów.

Rozglądali się podejrzliwie, słysząc ochryple krzyki przed pałacem. Kilka chwil później

Conan wprowadził ich do przejścia, z którego uciekł wczoraj. Okno ciągle miało kraty

pogięte i wylamane, a balkon rozłupaną kratownicę. Zatrzymał się chwilę na balkonie,

tłumacząc swój plan Slikhowi i wojownikom, którzy nadstawiali uszu na każde słowo

wypowiedziane przez Conana, jakby były to klejnoty upuszczane przez prawie mitycznego

bohatera.

— Widzicie, że ogrody leżą ciągłymi szeregami po zachodniej stronie domów.

Są

oddzielone tylko niskimi murkami. Drzewa rosną gęsto. Jeśli pójdziemy

skrajem, przy

zachodniej ścianie, szansa na zobaczenie nas przez kogoś z domów będzie

nieznaczna.

Wydaje mi się, że możemy przekraść się do Ogrodu Lemurii, bez ujawnienia naszej

obecności; wszyscy Ukryci będą patrzeć w przeciwnym kierunku. Nie wiem ilu ludzi znajduje

się w Ogrodzie Lemurii, ale atak z zaskoczenia od tyłu powinien wyrównać szansę. Teraz

ruszajmy, przez połamaną kratownicę i nad murem. Nikt nie obserwuje tej strony pałacu.

Mężczyźni jeden po drugim zeskakiwali z balkonu, pędzili przez ogród i przeskakiwali

przez mur. Znaleźli się na nagiej, skalistej równinie rozciągającej się ze wszystkich stron.

Ruszyli wzdłuż ściany, dalej popędzili przez przestrzeń dzielącą ich od pierwszego z

miejskich ogrodów.

Ciągle krzyki na końcu ulicy wskazywały, że walka trwała zawzięcie i wściekle.

Setki

ludzi odzywających się razem wytwarzało ogłuszający hałas i Conan skrzywił się na myśl o

burzy świszczących strzał, jaka musi przetaczać się przez sad. Śmierć zbiera pewnie krwawe

zniwo wśród broniących się Serotańczyków, mimo że byli mistrzami w korzystaniu z

czegokolwiek jako osłony. Ale hałas przynajmniej ukrywał ich kroki. Przy

takiej wrzawie na

północy miasta, nie jest prawdopodobne, by ktoś patrzył w innym kierunku.

Tak musiało być, bo nie podniesiono alarmu, gdy banda szybko i ukradkiem

sunęła

zachodnim krańcem ogrodów; trzymając głowy, poniżej krawędzi muru.

Gdy zbliżali się do północnego końca ulicy, możliwość odkrycia wzrastała, ale

w tym

samym czasie uwaga wrogów była coraz bardziej skupiona na innym

kierunku. I choć Conan

oraz jego ludzie o tym nie wiedzieli, tajfun wydarzeń osiągał punkt

kulminacyjny.

ROZDZIAŁ 10

KRWAWY KONIEC

Ronn, który kierował bitwą z dachu trzeciego domu po wschodniej stronie ulicy, zdał sobie sprawę, że będzie musiał podjąć bezpośredni atak, by odzyskać sad. Trawiła go niepewność i wątpliwości. Obawiał się wzmocnienia sił kothyjskimi posiłkami. Aby bronić schodów musiałby podzielić swoje siły. Nie opuszczała go myśl, że Conan mimo uwięzienia, może przechytryć ludzi stacjonujących pod wieżą. Turańczyk nie bał się osobiście Conana, ale pocił się na myśl o poleganiu na innej ręce niż jego własna, w utrzymaniu Cymeryjczyka z dala od walki. Bał się, że jeśli bitwa przeciągnie się do zmierzchu, to Kothyjczycy mogą zrobić wypad pod osłoną ciemności i dopaść najbliższego domu, z którego nie można by ich już wyprzeć. Bał się demoralizującego wpływu długotrwałej bitwy na jego ludzi, którym już dawał narkotyki, by rozpaść ich zapal. Choć czekał raczej na zdziesiątkowanie kothyjskich sił przez ukrytych łuczników, to postanowił zakończyć wojnę w blasku chwały i krwi. Zdobyć sadu przez

Kothyjczyków

pokazało, że mała siła nie jest zdolna utrzymać stosunkowo niskiego muru,

przy

zdecydowanym ataku większej liczby przeciwników.

Pozostawiając kilkunastu łuczników na dachach, by zająć czymś ludzi

wsadzie, Ronn

ściągnął większość swoich ludzi, około czterystu mężczyzn, na teren pomiędzy

trzecim i

czwartym domem po wschodniej stronie ulicy, poza zasięgiem wzroku

obleganych

Kothyjczyków. Odkomenderował stu ludzi, by ukryli się w ogrodach po

wschodniej stronie

miasta i zaatakowali sad w momencie, gdy on poprowadzi trzystu oszalałych

pod wpływem

narkotyku fanatyków, bezpośrednio ulicą na południowo-zachodni róg sadu.

Ronn wiedział, że aż do ostatnich kilkudziesięciu metrów będą pod osłoną

domów. Dalej

będzie już tylko goła przestrzeń, dzieląca ostatni dom od sadu i Ronn zdawał

sobie sprawę, że

wielu tam zginie. Miał jednak nadzieję, że mimo strzał obrońców,

wystarczająca liczba

mężczyzn przetrwa, by przeskoczyć przez mur. Martwych wojowników zawsze

można

zastąpić; ludzkie życie było na Wzgórzach najtańszym towarem. Ronn był

gotów poświęcić

**trzy czwarte swojej armii, jeśli okaże się to potrzebne, by zmiażdżyć
najeźdźców.**

**Atak był sygnalizowany przez ogłuszający tyk z tuzina długich, brązowych
trąb,**

**trzymanych w rękach Quanagów Ronna. Ten szaleńczy dźwięk uderzył w uszy
Conana i jego**

**ludzi w chwili, gdy przeskakiwali przez niestrzeżoną, zachodnią ścianę
Ogrodu Lemurii.**

**Unosili właśnie łuki i celowali do dwudziestu bezbronnych Ukrytych
kucających przy**

**wschodniej ścianie, strzelających w kierunku sadu po drugiej stronie drogi i
nie**

**pamiętających o zabezpieczeniu tyłów. Przeróżający, spiżowy dźwięk na
chwilę ich oszołomił**

**i sparaliżował. Potem ogłuszający krzyk, prosto z piekła, dołączył do głosu
trąb i masa**

**szalonych wywijających bronią ludzi wyloniła się spomiędzy domów i zalała
ulicę, jak**

spieniony potok.

**Mężczyźni na dachach i w ogrodzie zalali mur sadu deszczem strzał i zaczęło
się piekło.**

**Była to chwila, kiedy wszystko zależało od szybkiej decyzji. Conan wykorzystał
tę okazję,**

tak, jak Akarion zrobił to wcześniej tego dnia. Jego rozgorączkowani i

oszołomieni Wargazi

nie usłyszeli rozkazu, który wykrzyczał, ale zrozumieli go, kiedy naciągnął

swój łuk i

wypuścił strzałę. We wściekłym huraganie, dźwięków, salwa, która ścięła

dwudziestu

luczników wzdłuż ogrodowego muru, przeminęła niezauważona. Ukryci

umarli patrząc w

drugim kierunku, nie wiedząc co ich trafiło. Kilka sekund później ich

mordercy klęczeli

pomiędzy ciałami wyglądając zza krawędzi muru. Mężczyźni na dachach,

strzelający ponad

głowami ich atakujących towarzyszy, nigdy nie dowiedzieli się co zaszło w

Ogrodzie

Lemurii.

Wargazi nie dotarli nawet do wschodniego murku, kiedy wrzeszcząca horda

minęła ostatni

dom i ruszyła na sad. Natknęli się na śmiertelną salwę, cały mur trysnął

strzałami, świat

klębił, się prawie nierealnie. Cały pierwszy szereg upadł. W jednej chwili

droga usłana była

trupami. Ronn liczył na pęd, który przeniesie atakujących przez otwartą

przestrzeń, ale nawet

jego fanatycy stracili odwagę przez ten wrywający zęby podmuch. Szeregi

zachwiały się i

załamały.

**W tym momencie setka Ukrytych, która krążyła ogrodami dotarła do sadu od
wschodniej**

**strony. Odkryli, że nie ma tu straży, bo Serotańczycy byli zmuszeni
skoncentrować swoje siły**

**na południowo–zachodnim rogu chcąc odeprzeć atak. Ronn liczył także na to,
ale przeliczył**

**się co do gęstości drzew, przez które setka ludzi miała strzelać. Tak więc,
salwa w plecy**

**mężczyzn przy południowo–zachodniej ścianie, choć mordercza, nie była tak
pustosząca, jak**

Ronn miał nadzieję, że będzie.

**Pomimo tego, przerzedziła ona nieco szeregi Serotańczyków i w tym
momencie ich ogień**

**załamał się. Doprowadzeni do szału Ukryci na drodze, podnieśli wrzask, który
ogłuszył**

**wszystkich uczestników bitwy i napłynęli nieodpartą falą na ogrodzenie. W tej
chwili Conan i**

**Wargazi wypuścili strzały. Cała linia mężczyzn trafionych w plecy upadła, ale
nie**

**powstrzymało to ataku w najmniejszym stopniu. Podobni do ryczącej fali
wojownicy skoczyli**

na mur i zwarli się z broniącymi. Łuki wystawione nad murem wystrzeliły

prosto w

wykrzywione wściekłością twarze. Szable pchnięto w górę i w dół. Mężczyźni spadali z muru

na drogę, gramolili się na górę i byli strącani do sadu. Ukryci deptali po swoich zmarłych i

umierających, leżących w stertach przy ogrodzeniu, ci z przodu byli miażdżeni przez tych z

tyłu. Wdrapywali się na ścianę walcząc, jak w furii, spadali, ale szybko byli zastępowani

przez innych.

Wargazi strzelali ciągle, a ich strzały rozpruwały tylne flanki tłumu, zbierając przerażające żniwo. Oszalała horda była, jak człowiek opętany żądzą zabicia nieprzyjaciela przed sobą i

nieświadomego, że nóż dźga go w plecy.

Setka ludzi w sadzie, przedzierała się przez drzewa i krzewy chcąc zaatakować Kothyjczyków nożami i szablami od tyłu. Wargazi Conana, w końcu wyszli z siebie,

przeskoczyli przez mur i rzucik się na tyły wrogów, przed sadem, bijąc i dźgając. Łucznicy na

dachach porzucili swoje posterunki i popędzili na drogę, by dodać swoją furię do ogólnego

szaleństwa.

W tej właśnie chwili, mur runął pod naciskiem ton ludzkich ciał. Spienione, czerwone fale

napierające na ogrodzenie z dwóch stron, zwały się razem i wymieszały w straszliwym zamęcie.

Po tym wydarzeniu prysnęły pozory porządku lub planu, nie było szans na wydawanie i

śłuchanie rozkazów. Walka stała się ślepą, dyszącą, pocącą się rzezią, ręka w rękę, krew

bryzgała na kwiaty, silne nogi wdeptywały trawę w ziemię i rwały ją na strzępy. Wymieszana

kompletnie, falująca masa walczących przemieszczała się i wirowała po całym sadzie,

zalewała drogę. Wkoło rozlegał się dźwięk zderzających się mieczy, prujących ciało i odzież

ostrzy. Nie było już większej różnicy w liczbie rywalizujących hord, ponieważ straty

Ukrytych stawały się przerażające. Wynik wisiał na włosku i nikt nie wiedział, jak potoczą się

losy bitwy. Każdy był zajęty problemem obronienia własnej skóry i zabicia mężczyzny

stojącego obok.

Nawet Conan, którego umysł na ogół funkcjonował kryształowo przejrzysto w krwawych

i wściekłych zmaganiach, nie mógł ogarnąć wyraźnego obrazu całej bitwy, będącej

najbardziej okrutną z niezliczonego mnóstwa, nie notowanych i nie

nazwanych potyczek w

tajemniczej historii Wzgórz.

Nie tracił oddechu na próby rozkazywania chaosowi. Strategia i przebiegłość

poszły za

burzę; bitwa zależała od zwykłej, męskiej siły i indywidualnego okrucieństwa.

Otoczony

przez skowyczących szaleńców, bez możliwości wydawania słyszalnych

rozkazów, bez

chwili oddechu, nie pozostawało mu nic, tylko ściąć tyle głów, ile się da i

pozwalać bogom

przypadku, zdecydować o ostatecznym wyniku.

Conan przypomniał sobie o swoim ostatnim strzale wprost w dziką twarz.

Później

wyciągnął obusieczny miecz i uderzał, uderzał, uderzał, aż świat stał się

dziwny, czerwony i

zamglony. Stracił, w tumultie wokół siebie nawet własną indywidualność.

Wiedział — nie uświadamiając sobie tego — że Slikh walczy po jego jednej

stronie, a

Voltar po drugiej; za nimi wszyscy żyjący Wargazi deptali im zawzięcie po

piętach, kręcąc

ociekającymi szablami.

Wtedy nagle, podobnie jak mgła rozwiewająca się wraz z podmuchem wiatru,

bitwa

zaczęła się kończyć, splątana masa rozdzieliła się na grupy i pojedynczych wojowników.

Conan zdał sobie sprawę, że jedna ze stron przegrywa, ludzie dawali nogę z jatki.

Wycofywali się Ukryci, szaleństwo wywołane narkotykami zażyтыми na początku

ustępowało. Bez narkotyku ich furia była mniejsza niż desperacja ludzi ze

Wzgórz, którzy

wiedzieli, że muszą zwyciężyć, aby przeżyć. Poza tym Ukryci nie czuli rasowej jedności, tak,

jak Kothyjczycy.

Jednak przełom nie nastąpił natychmiast. Brzegi bitwy rozsypywały się, ale w środku sadu

toczyła się najbardziej zacięta walka tego dnia. Wszystko wirowało wśród grup drzew, gdzie

najdziksi wojownicy Shalhizaru zajęli pozycję plecami do pni drzew.

Conan poprowadził tam swoich ludzi, wyrąbując sobie drogę przez cienkie już linie

obrony. Dojrzał błyszczące pancerze pomiędzy dziesiątkami okryć z baraniej skóry. Voltar

krzyknął coś i skoczył w kierunku hełmu ozdobionego piórami, które powiewały ponad

walczącymi.

Wtedy Conan zobaczył Ronna. Turańczyk rozebrał się do pasa, jego podobne

do

splątanych powrozów mięśnie drżały i napinały się zgodnie z błyskawiczną
grą szabli w jego

dłoni. Ciemne oczy błyszcząły, a na cienkich wargach błąkał się niewyraźny
uśmiech. U jego

stóp leżało trzech martwych Serotańczyków, on sam stawiał czoło sześciu
ostrzom na raz. Po

prawej i lewej stronie Irańczycy w pancerzach i przysadziści Quanagowie w
lakierowanych

skórach uderzali i walczyli pierś w pierś z dzikimi serotańskimi wojownikami.

I w taką rzeź

Wargazi Conana skoczyli wyjąc jak wilki.

Conan po raz pierwszy zobaczył Yarali Nakha wynurzającego się ponad dum,
sycącego

swą szaleńczą furię w zdumiewających uderzeniach. Zobaczył również

Akariona, wirującego

w tłumie, pokrytego krwią. Conan zaczął wyrąbywać sobie drogę do Ronna.

Ronn zaśmiał się z dzikim płomieniem w ciemnych oczach, gdy zobaczył, że

Cymeryjczyk

idzie ku niemu. Krew płynęła drobnymi strumyczkami z muskularnej piersi i

ciemnych

ramion Conana. Ostrze miecza po rękojeść pokrywała krew i resztki mózgu.

— Chodź i umrzyj barbarzyńco — zaśmiał się Ronn, a Cymeryjczyk sprężył się

do ataku,

kręcąc mieczem nad głową.

— Conanie, weź to! — Slikh wepchnął mu w dłoń znaną gdzieś tarczę.

Conan wyprostował się, potrząsnął głową rozjaśniając swoje myśli i ruszył na

Turańczyka

w płonącym wirze działania. Ronn skoczył mu na spotkanie. Walczyli po

barbarzyńsku, obaj

atakując jednocześnie, uderzając deszczem pchnięć zbyt szybkich, aby oko

mogło to

zarejestrować. Czas, jakby się cofnął o tysiące lat, do pojedynku pomiędzy

żołnierzami Kulla,

na równinach Valuzji.

Wokół nich, dyszący, pokrwawieni wojownicy zaprzestali własnej, rzeźniczej

pracy, aby

obserwować dwóch wojowników rozstrzygających wynik bitwy pomiędzy

sobą!

— Aie! — To krzyknęło trzyma gardel, gdy Conan stracił kontakt z ostrzem

Turańczyka i

pchnął.

Ronn krzyknął, głośno, zakręcił w górze swoją szablą i poczuł ostrze Conana

w sercu nim

zdał sobie sprawę, że Cymeryjczyk go przechytrzył. Upadł ciężko, wyszarpując

z dłoni

Conana miecz, który zaklinował się między żebrami. Był martwy przed

dotknięciem ziemi.

Na ustach miał uśmiech gorzkiej ironii.

Conan pochylił się, by odzyskać swój miecz, gdy spośród drzew nadleciała strzala.

Pochylił się jeszcze bardziej, jakby chciał klęknąć przy zmarłym, i upadł nagle w poprzek

zwłok. Krew sączyła się mu z głowy. Nie usłyszał już szalonej wrzawy, jaka podniosła się ku

błękitnemu niebu, ani nie zobaczył, jak Serotańczycy atakując na oślep, skoczyli do gardel

swoim wrogom.

Pierwszym doznaniem powracającego do świadomości Conana, był brak doznań i

odrętwienie, które czyniło go bezradnym. Wydawało mu — się, że leży e delikatnej

ciemności. Potem usłyszał głosy, mrużące i chaotyczne z początku, bardziej wyraźne w

miarę, jak życie wracało do jego ciała. Jeden należał do Yarali Nakha i zaskoczyło go, że

gigant płacze, beczal głośno i bez wstydu.

— Aaa! Aaaje! Oooo! Nie żyje! Jego mózg wypływa przez tę dziurę w głowie!

Och, mój

bracie! O, książę zabójców! O, książę złodziei! O, Conan! Martwy, zabity, przez bandę,

szmatławych bękartów! On, którego paznokiec u najmniejszego palca jest

więcej wart niż

wszyscy serotańscy złodzieje koni w Koth!

— On nie jest martwy, niech bogowie dc przeklną! I jak możesz winić

Serotańczyków?

Moi wojownicy leżą martwi dziesiątkami! — to mówił Akarion.

— Oooo! Niech wszyscy zginą, a ty wraz z nimi, tak, i ty także, byleby Conan

mógł

przeżyć.

— Och, ucisz te bawole ryki i podaj mi bandaż — powiedział Shkh. — Mówię ci,

że jego

rana nie jest śmiertelna. Grot tylko musnął czaszkę, pozbawiając go

przytomności, niech

będzie przeklęty ten tchorzliwy pies, który wystrzelił.

— Rozwalilem już mu czaszkę — beczał Yarali Nakh. — Ale to nie przywróci

życia

Conanowi. Masz bandaż. Nie masz serca. Urodziłeś się bez wewnętrznego

współczucia. Twój

przyjaciel leży tu umierając, a ty nie uronisz nawet jednej łzy! Nie, ty drwisz

sobie z mojego

nieszczęścia! Na Croma, gdyby to nieszczęście nie odebrało mi odwagi,

dałbym ci powód do

rozpaczy!

Budząc się Conan poczuł w głowie pulsowanie, łagodzone nieco manipulacją

silnych,

delikatnych i zręcznych palców, które przykładają do rany coś mokrego i

zimnego. Ciemność

w mózgu rozjaśniła się, otworzył oczy i spojrzał w niespokojne twarze swoich przyjaciół.

— Conan! — krzyknął Slikh radośnie. — Spójrz, otworzył oczy! Yarali, jeśli nie oślepieś

od tych idiotycznych lez, to zobacz, że Conan żyje i odzyskał świadomość!

— Cud! — wrzasnął owłosiony zbój i natychmiast przeszedł od płaczu do radości.

Conan podniósł obandażowaną głowę i zacisnął zęby, bo ruch wywołał ponownie bolesne

pulsowanie. Leżał w rogu sadu, przy ścianie, pod zwieszającymi się gałęziami brzoskwiniowego drzewa. Zielone liście pięknie kontrastowały na tle

błękitnego nieba, a z

kwiatów sypał się na niego łagodny deszcz płatków. Powietrze cuchnęło jednak świeżą krwią,

która była na trawie i martwym mężczyźnie, leżącym twarzą w dół, dwa metry dalej.

Sad wypełniała dziwna cisza po hałasie bitewnym, ale wydawało mu się, że słyszy krzyk

mężczyzny, dochodzący z pewnej odległości. Nie był jednak pewny, czy krzyk ten nie

dochodzi z jego głowy.

— Co się stało? — wymamrotał. — Czy Ronn nie żyje?

— Jest martwy, tak, jak może być martwy człowiek z przebitym sercem,

Conanie —

opowiedział Slikh. — Sam diabeł dalby się nabrać na sztuczkę, którą wymyśliłeś na

Turańczyka. Sam miałem serce w gardle, gdy wydawało się, że masz zamiar pchnąć, Irańczyk

ukrywający się wśród drzew wystrzelił w chwilę później. Ukryci stracili serce do walki, a nasi

Kothyjczycy wpadli w czyste szaleństwo, gdy zobaczyli, że upadłeś. Naparli na nich z furją,

której nie można było się przeciwstawić. W końcu te psy poddały się i rozpierzchły we

wszystkie strony, ale tylko ci, którzy przeżyli, by uciec. Jeszcze teraz

Serotańczycy ganiają za

nimi po ulicach. Słuchaj!

Conan spojrział na Akariona.

— Bałem się, że zostałeś zabity.

Wódz uśmiechnął się krzywo. Brodę miał pełną skrzepów krwi płynącej z cięcia na

policzku, siedząc oparty o mur trzymał też sztywno przed sobą nogę.

— Mam grot strzały w udzie. To nic. Baliśmy się, że ty nie żyjesz.

— Ha! — Yarali Nakh wygładził brodę i spojrział pogardliwie na przyjaciół. —

Stare baby!

Conanie, powinieneś był słyszeć ich lamenty nad tobą! Czyż nie kazałem wam

zaprześć

**tych niemęskich szlochów? Czyż nie mówiłem wam, że głowa Conana jest za
twarda, by grot**

mógł ją przebić? Jak się zachowujecie? Może Conan ma rozkazy!

**Conan z trudem podniósł się do pozycji siedzącej i rozejrzał się po sadzie. To
co zobaczył,**

**wstrząsnęło nawet jego stalowymi nerwami. Był to ogród trupów. Zmarli
leżeli, jak powalone**

**drzewa, które huragan łamie, powala i układa w sterty lub rozrzuca. W
krwawym rogu i na**

drodze, ciała leżały w stosach. Wielu zabitych leżało wzdłuż ruin ogrodzenia.

— Na Croma! — Przez chwilę Conan zaniemówił, jego dusza buntowała się. —

Akarionie

**wyślij kogoś za swoimi wojownikami. Niech Usud pójdzie. Powiedz im, aby
zaprzestali rzezi.**

**Już dosyć umarło. Powiedz im, by oszczędzili każdego, kto wpadnie im w ręce
i podda się. I**

**jeszcze jedno, w Shalhizarze jest dużo zniewolonych kobiet, których nie wolno
skrzywdzić.**

Mam zamiar odesłać je do domów.

**Yarali Nakh szykował się, by wykonać rozkazy, gdy zbliżył się kolejny
uczestnik bitwy.**

**Voltar podszedł do Conana, trzymając złamany miecz. Z trudem mówił, bo
cięto go przez**

twarz i kapiąca krew dławiła go.

— Conanie, mój miecz złamał się przy ostatnim uderzeniu, ale więcej go nie potrzebuję.

Ammad leży tam, wśród, trupów swoich opancerzonych psów. Nigdy już nie znieważy

Stygijczyka z gór. Czy nie dotrzymałem słowa, Conanie?

— Dotrzymałeś słowa. Ale dlaczego zadajesz mi to pytanie? Nigdy nie myślałem, że mógłbyś nie dotrzymać przysięgi.

Yoltar odetchnął głęboko i usiadł ze skrzyżowanymi nogami pod drzewem, kładąc

złamany miecz na kolanach. Ponad sadem zaczęły się rozlegać ciche pojękiwania, ranni

wołali o wodę. Conan chwycił Slikha za ramię i podniósł się sztywno.

— Akarionie, musimy przenieść rannych pod dach i zrobić dla nich co można.

Kobiety

pomogą. Dam sobie radę sam, Slikhu, za kilka minut będę mógł przyjść wam z pomocą. Ty i

Voltar idźcie do najbliższego kanału i przynieście wody.

Po odesłaniu, ludzi, Conan pomagał sobie trzymając się konarów drzewa; nie ocknął się

jeszcze całkowicie z paraliżującego szoku po ranie głowy. Nogi ciągle miał sztywne.

— Siedząc tu i trzymając się za zranioną nogę rozmyślałem, Conanie —

powiedział

Akarion. — To miasto łatwiej bronić niż Khroszę z Serotańczykami

pilnującymi zewnętrznej

szczeliny i schodów, nawet piechota króla nie zdobędzie Shalhizaru. Poślę po

kobiety i dzieci,

i zajmiemy płaskowyż. Zostań z nami, Conanie i rządz przy moim boku!

Zbudujemy tu

królestwo!

— Czy dotknęło cię szaleństwo, które doprowadziło do wymordowania dzisiaj

setek ludzi?

— odpowiedział Conan. — Widzisz do czego doprowadziła ambicja władców

Shalhizaru.

Oni też planowali zbudowanie królestwa w tych górach.

— Ale w przeciwnym razie król mnie zniszczy!

— Teraz nie musisz już obawiać się jego gniewu! Każdy, kto uwolnił go od

strachu przed

Sztyletem Węża, może być pewien przebaczenia, niezależnie od jego

przeszłych wykroczeń.

Dak za to głowę! Jak myślisz, dlaczego wezwałem cię, by zdobyć to miasto? By

pomóc

swoim interesom? Znasz mnie przecież. Wiedziałem, że jeśli razem

zniszczymy to gniazdo

zmij, zdobędziesz łaskę króla.

Akarion westchnął gwałtownie.

— Miecz odsuwa się od mojej szyi dzięki tobie, Conanie. Nie kocham życia

wyjętego spod

prawa, ale wpadłem w pajęczynę kłamstw.

— Porwaliśmy tę sieć. Gorzka jednak jest cena. Żałuję, że nie mogło to się stać

mniejszym

kosztem dzielnych mężczyzn.

— Wszyscy zginęlibyśmy, ja także; gdyby król wyruszył przeciwko nam, jak

planował —

mruknął Akarion. — Ci, którzy umarli, zginęli upragnioną śmiercią

Serotanczyków. A dla

żywych zostaną łupy i kobiety zmarłych.

— Nie śpieszmy się z plądrowaniem. Musimy przekazać miasto urzędnikom

króla, ale

myślę, że przekonam go, by zrobił cię naczelnikiem miasta. Po zastąpieniu

tych bandytów i

złodziei przez przyzwoitych obywateli z innych części królestwa, miasto stanie

się dumą

każdego króla. Król będzie chciał mnie nagrodzić za udział w tej wyprawie.

Poproszę go, aby

ciebie postawił na czele tego miasta. Naczelnik Shalhizaru, jak to brzmi

Akarionie?

— Twoja hojność zawstydzia mnie — powiedział kothyjski wódz, szarpiąc się za

brodę z

emocji. — Ale co ty zrobisz, Conanie? Zaspokajasz potrzeby wszystkich tylko

nie swoje.

— No cóż, w tej chwili dam wody tym biednym diablom i opatrzę im rany, jak najlepiej

potrafię. Widzę Slikha i Voltara niosących wóde, a moje nogi znowu żyją.

— Moi ludzie wracają do sadu. Pozwól im to zrobić. Jesteś zmęczony i ranny; walczyłeś cały dzień i całą ostatnią noc!

— Dam sobie radę. Nic mi nie jest. Kilka godzin snu dzisiejszej nocy postawi mnie na nogi. O świcie muszę być w drodze.

— Dokąd, w imię Croma? — wykrzyknął Akarion.

— Najpierw do Khroshy, by zabrać Laarę. Później do Khorshemish, by opowiedzieć królowi co się zdarzyło i zdobyć dla ciebie łaskę i stanowisko Naczelnika Shalhizaru.

— Wrócisz wtedy do Shalhizaru?

— Przyślę Slikha wraz z eskortą króla. Mam interes w Vendhyi.

— Na Croma! Czy kiedykolwiek odpoczywasz? Jesteś, jak jastrząb wędrujący z wiatrem.

Co będziesz tam robił?

— Muszę zawieźć Laarę do ojca i wyrównać rachunki w Ghori z pewną tłustą świnią o nazwisku Unqvis. Trzy lata temu zabił mojego przyjaciela. Nigdy nie mogłem tego

udowodnić, a inny przyjaciel, urzędnik, wyblagał abym nie brał prawa we własne ręce.

Czekałem trzy lata, żeby temu psu powinęła się noga. Teraz tak się stało i mogę to

udowodnić. Postawił się poza prawem, a ja mam zamiar wyrównać ten stary rachunek.

— O bogowie! — zdziwił się Akarion. — A mówią, że to my rodzimy się nieugięci!

Ciągle potrząsał głową zdumiony, gdy Conan utykając podszedł do Slikha i Yoltara, i wyciągnął rękę po dzban pełen wody.

BOHATEROWIE Z BEAR CREEK

Robert E. Howard

(fragmenty)

ELKINS NIGDY SIĘ NIE PODAJE

Tato klął tak głośno, że słyszałem go już od Sandy Crossing, gdy wracałem do chaty z

Chawed Bar. Leżał na niedźwiedziej skórze, pośrodku podłogi, z dzbankiem wódki koło

łokcia i listem w dłoni, który moja siostra Quachita musiała mu już przeczytać. Rzucił okiem

na list, pociągał łyk wódki, a potem klął straszliwie.

— I właśnie tera ta wojna — powiedział zawzięcie. — Nie mogli se poczekać, aż ranie

wykończy ten reumatyz. Nie oni! Te moje krewniaki że swoim samolubstwem to istna zaraza.

Biecláfidge, leć na ranczo do wuja Joela, ale już.

— Znaczy się, do wuja Joela Garfielda z Arizony? — spytałem.

— A do kogo, ty durnia? — ryknął tato. — Garfieldy majom kłopoty, i chociaż nie

proszom o pomoc, to ja nie bende sie przygtondać, jak ktoś gnembi moje rodzinę. Wuj Joel

zawsze był zbyt cholernie spokojny, gdy chodziło o jego dobro. Pojedziesz do ty Arizony i

weźmiesz wszystko w swoje ręce. I nie słuchaj żadnego głędzenia o

układach czy

kompromisach. Wojna z Elkinsami, to wojna na śmierć i życie! Ruszaj! —

rzekł tato i

podniósł dzbanek.

Zostawiłem Kapitana Kidda w zagrodzie, którą postawiłem specjalnie dla

niego, nic

innego by go nie otrzymało, a potem poszedłem do Perdition, żeby złapać

dyliżans.

Przystanek był przerobiony na saloon i zaraz paru chłopaków zaczęło się ze

mną zakładać, że

nie obalę litra wody, bez przerwy na oddech i bez odrywania ust od butelki. Za

każdym

razem, gdy obalałem litra, wygrywałem dolca, a przegrany płacił za whisky.

Miałem już pełno kasy w kieszeni, gdy ktoś wrzasnął: „Dyliżans zara rusza!”.

Wlazłem do

środka wśród krzyków i strzelaniny. Woźnica trzasnął batem i już jechałem

do Arizony

bronić rodzinnego honoru.

Nie wiedzieć czemu, byłem dziwnie śpiący, może dlatego, że to jeżdżenie

dyliżansami mi

jakoś nie podchodzi i dość kiepsko pamiętam podróż. Zatrzymaliśmy się parę

razy, żeby

zmienić konie, a raz jacyś ludzie gadali. Słyszałem, jak jeden rzekł: „O Boże, to ma być

człowiek? Jak tak, to jest to największy facio jakiego widziałem”.

Było już późne popołudnie, gdy się przecknąłem na dobre, kraj, przez który jechaliśmy był

mi zupełnie nieznanym. W życiu wcześniej nie byłem w Arizonie. Woźnica wetknął głowę

przez okno i spytał:

— Gdzie pan jedziesz?

— Do Arizony — mówię, a on na to: — Jesteśmy w Arizonie już od wschodu słońca.

Gdzie pan chcesz w tej Arizonie?

No i myślałem, i myślałem, i nie mogłem sobie przypomnieć, więc w końcu mu mówię:

— A jakie tu macie miasta?

— Na jakiś czas temu, minęliśmy Rifle River — odparł.

— No dobra — mówię — chcę wysiąść w mieście, gdzie mieszkają Garfieldy.

Powinieneś

pan wiedzieć, gdzie to jest. Ich tam jest duża rodzina.

— Aha — on na to — to będzie następne miasto, Sawtooth. Mieszkają na ranczo, jakąś

milę za miastem.

— A co to za jedni ci, co to ich napastują? — spytałem.

— Clantonowie. Stary Clanton pozwał do sądu starego Garfielda o jakąś ziemię, wygrał

sprawę i zagarnął kupę forsy.

— Sędzia był lewy — rzuciłem szybko.

— No, ja tam nie wiem... — zaczął tamten.

Z tego co mówił, od razu się połapałem, że wszyscy tu są przeciwko

Garfieldom i na samą

myśl o tym aż się we mnie zagotowało.

— Mówię, że sędzia był lewy! — Ryknąłem i przesunąłem się trochę do przodu.

Woźnica zbladł i powiedział.

— T-tak, taki Masz pan rację. Tak, po prostu gadałem bez zastanowienia.

Wkrótce wjechaliśmy do Sawtooth i woźnica pokazując batem rzekł z dumą:

— To tam, to jest nowy sąd.

— A co to za żelazna rura na kołach obok niego? — pytam, a on na to:

— To działo, co to ludziska pożyczili z Fortu Polk, w razie, jakby Apacze

napadli na

miasto.

Właśnie, gdy podjeżdżaliśmy do przystanku, wskazał jakiegoś starszego

gościa z

bokobrodami, opartego o belkę do wiązania koni. — To stary Garfield, zawsze

wychodzi na

dyliżans.

Nie wyglądał tak staro, jak się spodziewałem, i nie był tak wielki jak tato.

Nigdy się nie

widzieliśmy, ale podszedłem do niego i uścisnąłem mu dłoń. Był zaskoczony i

wydał parę

dziwnych mruknięć.— Jestem Breckinridge Elkins, wasz bratanek, wujku Joel

— objaśniłem

go, a ludziska na całej ulicy przystanęli, żeby popatrzeć, jako że mam donośny głos. —

Przyjechałem, żeby dopilnować sprawiedliwości.

— Cie.... cieszę się, że cię widzę, Breckinridge — powiedział trochę drżącym głosem. Od

razu się skapowałem, że tato miał rację. Wuj Joel nie był taki, jak my z Bear Creek.

— Nie ma strachu, wujku Joel — rzekłem klepiąc go po plecach — biorę sprawy w swoje ręce.

— Bierzesz sprawy? — zagulgotał prostując się.

— No pewnie, powiedzcie no, wujku — powiedziałem przechodząc do rzeczy, bo my,

EHrinsowie, nie lubimy zwlekać. — Gdzie są ci cholerni Clantonowie?

— Gdzie? — rzekł wskazując jakiegoś faceta, siedzącego na brzegu koryta,, po drugiej stronie ulicy. — Tam jest jeden.

No więc, z natury jestem spokojny i łagodny, jak mało kto, i niełatwo mnie wkurzyć. Ale

waśń rodowa to co innego, i jak tato mówi, jest to powód do wojny na śmierć i życie. Mimo

to, trzymam nerwy na wodzy i idę do tego faceta, co tam siedzi.

Widział jak nadchodzę i podniósł się szybko.

— Ty jesteś Clanton? — pytam.

— Ta — odparł wojowniczo — a bo co?

— Jestem Breckinridge Elkins i przyjechałem tu, żeby bronić swojej rodziny —
zacząłem

w całkiem cywilizowany sposób, pomimo krzywdy wyrządzonej moim.

— A ja jestem John Clanton i nigdy o tobie nie słyszałem — powiedział
zdeenerwowany.

Bez dalszej dyskusji walnął mnie w ucho i kopnął w kolano, ale nie dałem się
ponieść i

rąbałem go tylko raz w szczękę, tak, że przeleciał przez koryto i wylądował w
rynsztoku z

nogami na belce do wiązania koni.

Wuj Joel krzyknął, a ja obróciłem się i zobaczyłem, jak nadbiega jakiś facet.

— Jestem szeryfem — wrzasnął, błyskając gwiazdą — i aresztuję cię za
zakłócenie

spokoju!

Już miałem się poddać, bo tato zawsze mi mówił, żeby do władzy z
szacunkiem, ale

przypomniałem sobie, że tu chodzi o honor rodziny i szeryf trzyma z
Clantonami. Zabrałem

mu więc broń, żeby sobie nie zrobił krzywdy i wepchnąłem ścierwo do koryta.

— Jako, że jesteś — sługusem Clantonów — orzekłem — zrobię z tobą to, co z
każdym

nędznym kojotem.

Ostatnie słowa były rykiem, od którego zadrżały wszystkie okna na ulicy, bo
zaczynało

mnie już nosić. Aby podkreślić swoje słowa, wyciągnąłem rewolwery, i
strzelilem w parę

tablic i okien. Wszyscy wiali, oprócz wuja Joela, który schował się za korytem.

Pomyślałem, że nie znają mnie tutaj, więc ogłosiłem na całe gardło:

— Jestem Breckinridge Elkins z Bear Creek w Nevadzie i biorę w swoje ręce
sprawy klanu

Garfieldów. Nikt nie odpowiedział, więc rzekłem: — Wyłaźcie, hultaje i
przedstawcie się!

Kto nie ze mną, ten przeciw mnie! Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. —

Gdzie

zastępcą szeryfa?

Dalej nikt nie odpowiadał, więc wpadłem do saloonu i zobaczyłem za barem
faceta, który

próbował schować odznakę. Sięgnąłem przez kontuar, porwałem go za frak i

rzuciłem na

podłogę.

— To tak?! — ryknąłem mu prosto w ucho. — Chcesz zniszczyć dowód i zrobić
ze mnie

idiotę? Oskalpuję cię, ty... Ale facet zemdlął, więc wnerwiony rzuciłem go w

kąt i

wyszedłem. Wszyscy ciekawscy wyglądający zza rogów zniknęli...

Wuj Joel właśnie wsiadał na wóz, więc podbiegłem i wskoczyłem na miejsce

koło niego,

aż bryka się gibnęła, konie zarżały i ruszyliśmy.

— Gdzie mieszkanie, wujku? — krzyknąłem.

— O, tam — powiedział oblizując wargi i pokazał ponad pastwiskami i polami

lucerny na

dach odległego o kilometr domu.

— Eee... wlecemy się jak te ślimaki — powiedziałem. — Dajcie mi te lejce,

wujku.

Porwałem za lejce i wrzasnąłem, aż koniska podskoczyły, a potem poszły jak

burza.

Nie wyglądało na to, że wujkowi Joelowi podoba się ta jazda. Trzymał się

kurczowo

siedzenia i krzyczał za każdym razem, jak przelatywaliśmy przez zakręt na

jednym kole, a

ludziska odskakiwali w pole i też krzyczeli.

— Co jest, kurna, grane? — spytałem i zestrzeliłem kilku facetom kapelusze,

żeby

poprawić humor wujkowi, ale jemu się to nie podobało.

Gdy zbliżyliśmy się do rancza, nie miałem zamiaru się zatrzymywać i otwierać

bramę, bo i

tak gnaliśmy na tyle szybko, żeby ją rozwalić. Tak też się stało, ale jakiś

kawałek trafił wuja

Joela w głowę, a ten wrzasnął coś okropnego. Jak już wpadliśmy na

podwórze, stało się jasne,

żer te bestie poniosły, więc ściągnąłem je mocno, ale jedno koło odpadło od wozu.

Zatrzymałbym je tak, czy siak, ale uprząż trzasnęła, koniska poleciały i zatrzymały się

dopiero, gdy lejce zaczepiły się na drzewie. Z domu wybiegła jakaś starsza kobita, cztery

panienki i trzech chłopaków i ta stara mówi:

— Rany boskie, co się dzieje?

Potem wszyscy zaczęli się drzeć, bo wuj Joel leżał sztywny, a ta panusia zaczęła

wrzeszczyć:

— Zabity! Dawać wody! Dawać wody!

Nie wiem na ile zdałaby mu się ta woda, jakby był rzeczywiście zabity, ale zobaczyłem

pełne koryto na jakieś sto — sto czterdzieści litrów. Wziąłem je i przyniosłem, a oni wszyscy

patrzyli, jakby nigdy nie widzieli kogoś noszącego koryto. Wylałem je na wuja Joela, a on

usiadł trzęsąc się, parsknął i rzekł:

— Co, do cholery, chcesz mnie utopić?

— Ojciec, co to za jeden? — Spytała niepewnie ta starsza facetka, a młodziaki patrzyli na

mnie, jakby ktoś tak duży jak ja był czymś niezwykłym.

— Mówi, że jest moim bratankiem — powiedział wuj Jod, wycierając twarz

drżącą ręką

— i przyjechał tu pomóc nam z tymi Clantonami.

— Myślałam, że sprawa już jest załatwiona — powiedziała ta kobieta. —

Wygrali proces

i...

— Sprawa nigdy nie jest załatwiona, póki Elkinsowie i ich krewni nie wygrają

—

powiedziałem zapalczywie. — Wojna się dopiero zaczęła. Jak się nazywają te
młodziaki?

Byłem nimi rozczarowany tak samo, jak wujem Joelem. Ta gałąź rodziny nie
była tak rosła

jak my z Bear Creek. Te chłopaki byli już mężczyznami, ale mieli nie wiele
więcej niż metr

osiemdziesiąt.

— To Bill, Jim i Joe — powiedział wuj, wskazując ich po kolei. — A
dziewczyny...

— Dziewczyny nie ważne — powiedziałem. — Wszystkie kobiety trzeba zabrać
w

bezpieczne miejsce. Joe, weź odczep te mustangi i wypuść je na pastwisko.

Bill, zaprząż do

tego wozu jakieś spokojne konie i zawieź mamę, i siostry do Sawtooth. Będą

tam siedzieć, aż

się wojna nie skończy.

Starsza facetka popatrzyła oszołomiona na wuja Joela, a ten tylko skinął

bezsilnie głową i

rzekl:

— Lepiej róbcie, jak mówi. Wygląda na to, że wziął sprawy w swoje ręce, a ja za cholere

nie mam zamiaru się z nim klócić.

— Jim — mówię — siadaj na konia, przyczep jakąś białą szmatę do wyciora i jedź

powiedzieć tym Clantonom, żeby odesłali swoje kobiety do Sawtooth. Nie będziemy

ryzykować, że skrzywdzimy jakieś baby.

— Ja tam nie mam żadnej białej szmaty — powiedział, jakby oszołomiony, więc

ściągnąłem płótno ze sznura na bieliznę, oderwałem kawałek, a ta starsza kobieta, jak nie

wrzaśnie:

— Moje najlepsze prześcieradło! — Baby nigdy nie wiedzą o co im chodzi.

Jakiś kilometr na południe, za niskimi, falistymi pagórkami widać było dach piętrowego

domu Clantonów. Wuj Joel powiedział, że jest ich tam siedmiu facetów.

— Bill — powiedziałem, szperając po kieszeniach — wykup całą amunicję w Sawtooth.

Ta wojna może trochę potrwać, a poza tym nie chcemy chyba zostawić nic Clantonom.

— W życiu czegoś takiego nie widziałam — powiedziała stara, ale wlaźła z

córkami na

wóz i Bill ruszył z nimi do miasta. Jim pojechał wymachując białą flagą, a ja

zagonilem wuja

Joela i Joe'go do pomocy w przygotowaniach do oblężenia.

Nalaliśmy wody w co tylko się dało. Potem kazałem im zrobić okiennice, sam

zabrałem się

za czyszczenie i oliwienie broni. Niektóre sztuki wyglądały, jakby z nich nie

strzelano od

Wojny Secesyjnej.

Wkrótce wrócił Jim i powiedział, że Clantonowie są mocno poruszeni. Johna,

najstarszego

z chłopaków, przywieźli z miasta ze zwichniętą szczęką, a baby posłuchały

ostrzeżenia i

zwały do Sawtooth.

— Dobra! — mówię. — To teraz możemy wyróżnić resztę rodzinki ze spokojnym

sumieniem. Nie ma co ukrywać wrogości. Jim, pojedź do Clantonów i zastrzel

ich starego,

niech wiedzą, że zabawa się zaczęła.

Jim wyglądał, jakby miał rzygnąć. Popatrzył tępo na wuja Joela, który zbladł

pod tymi

swoimi bokobrodami, ale nic nie powiedział, więc Jim wsiadł na konia i

pojechał.

— Rozczarowałem się tymi waszymi chłopakami, wujku Joel — powiedziałem,

sięgając

znowu po bańkę z olejem. — Nie mają ambicji, żeby ciąć i rżnąć. A powinni. W

życiu nie

myślałem, że spotkam jakichś krewnych Elkinsów, którzy nie rwaliby się do

mordobicia

dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wydawało mi się, że wy, Garfieldy z

Arizony, to

jesteście prawdziwe niedźwiedzie. Jestem absolutnie rozczarowany. A to co?

— To meksykańska escopeta — powiedział wuj Joel słabo. — Nie baw się tym,

może

wypalić znienacka.

Spluwa ładowana była od przodu, miała szeroki wylot lufy i nabita była

kilkoma garściami

śrutu, Pokraśniałem, na jej widok i właśnie zaczynałem doprowadzać ją do

porządku, gdy

wrócił Joel. Wyglądał na zniechęconego, a w spodniach brakowało mu

siedzenia.

— Zrobilem, jak żeście kazali — powiedział. — Zaczaiłem się za zagrodą i

strzelilem do

starego Clantona, ale spudłowałem, a oni poszczuli mnie buldogiem.

— Co?! — ryknąłem. — A więc nie chcą walczyć, jak na cywilizowanych

mężczyzn

przystało, tylko zniżają się do podłych, niskich chwytów. A my mamy psa? —

spytałem

tknięty nagłą myślą.

— Nie — odparli.

— No dobra, ty i Jim jedźcie, i przywieźcie tu tego, buldoga. Potrzebny nam będzie pies,

żeby szczekał, jak ktoś się będzie skradał w nocy.

— Ale nas zastrzelą! — zaprotestowali.

— Nie, jak to dobrze załatwicie, to nie — powiedziałem. — Odciągnijcie psa od domu nie

pokazując się.

No i pojechali z kością wołową i siecią. Ledwie zniknęli, jak przyjechał Bill i powiedział,

że w Sawtooth straszne zamieszanie i ludziska gadają, żeby przyjść tu kupą i mnie

zlinczować., Wuj Joel stwierdził sarkastycznie, że w tej awanturze z

Clantonami to tylko tej

kupy nam tu brakuje, ale ja to olałem, bo obcy w swej niewiedzy zawsze chcą mnie

linczować.

Wyładowałem amunicję, którą przywiózł Bill i wśród nabołów znalazłem kilka paczek

prochu. Popatrzyłem na nie, potem na escopetę i nagle przyszła mi do głowy myśl. Zawylem

tak, że wuj Joel wyskoczył przez najbliższe okno.

Wkrótce Jim i Joe wrócili z psem w sieci. Większa część ich ubrań była poszarpana.

Powiedzieli, że Clantonowie zabarykadowali się w domu na ranczo i strzelali do nich z dużej odległości, gdy szamotali się z psem. Musieli pomyśleć, że to fortel, aby ich wywabić z domu i zostali na ranczo.

To było to, o co mi chodziło.

Zaczynało się już zmierzchać i jak tylko zrobiło się ciemno, uwiązałem buldoga na podwórzu i kazałem wujowi Jeolowi, i Jimowi zamknąć wszystkie drzwi, położyć się na dachu ze strzelbami i pilnować domu. Billowi i Joe'emu kazałem pojechać, i przycząć się na grzbiecie wzgórza nad domem Clantonów, i czekać na mnie. Zaprzęglem do wozu parę najsilniejszych mułów i pojechałem do Sawtooth. Oprócz tych, którzy się zebrali w salonie, wszyscy już spali. Nie spotkałem nikogo, póki nie dotarłem do sądu.

Zatrzymałem się koło armaty, wysiadłem i zacząłem się przymierzać do załadowania jej na wóz, gdy z cienia ktoś wychynął. Później dowiedziałem się, że to był sędzia. Nic nie zrobił,

tylko spytał:

— A ty co tu robisz?

— Pożyczam se tę armatę — powiedziałem, po czym schyliłem się, zarzuciłem

ją na plecy

i ruszyłem do wozu. Sędzia złapał się za głowę, cofnął się i rzekł:

— O Boże, to ta gorzala mnie tak trafiła! Halucynacje mnie biorą!

Wpakowałem działo na wóz i odjechałem myśląc, że ludzie w tym Sawtooth są

jednak

dziwni.

Nie pojechałem na ranczo wuja Joela. Skierowałem się w stronę domu

Clantonów. Zanim

zjechałem z drogi na ich ziemię, załadowałem armatę amunicją; którą

wziąłem ze sobą w

koszu. To było duże, fajne działo i wpakowałem w nie kilka kilogramów

prochu, kilogram

kul karabinowych, cztery kilogramy śrutu, parę lemieszki, trochę drobnego

żelastwa, dziesięć

gwoździ, trochę pinesek, skobli, fajerek, klamek i krowi łańcuch.

Zwalilem parę plotów i zatrzymałem konie niedaleko domu za wzgórzem, na

którym

czuwali Bill i Joe.

— Wychodził któryś z tych lajdaków? — spytałem.

Zaprzeczyli. Wszystkie światła były pogaszone i wyglądało na to, że wszyscy

spali, no

może oprócz kogoś na warcie.

— Dobra! — rzekłem. — Chcę ich wszystkich mieć w kupie. Wy, chłopaki

zjeżdżajcie do

domu i czekajcie tam na mnie.

— Co chcecie zrobić? — spytali.

**— Chcę załatwić ten konflikt jednym strzałem — powiedziałem wyciągając
działo z wozu.**

— Mam zamiar wystrzelić cały klan Clantonów do nieba.

**Zbledli, kolana im zadrżały i odjechali w pośpiechu. Zrzuciłem działo na
plecy, zszedłem
ze wzgórza obok zagrody, przelazłem przez płot i ustawiłem armatę jakieś sto
metrów od
domu.**

**Nic się nie ruszało. Nawet, jeżeli ktoś był na straży, to musiał zasnąć. Nie
wiedziałem,**

**gdzie są sypialnie, ale wyliczyłem, że ładunek wymiecie cały dół domu tak, czy
inaczej.**

**Ustawiłem armatę, wycelowałem, zapaliłem zapalną i przytknąłem do
zapłonu.**

Bam!

**Noc rozdarł oślepiający płomień. Wybuch zatrzęsł ziemią, a ładunek
przeleciał przez dom**

**jak tornado. Poprzez kłęby dymu zobaczyłem, że podmuch wywalił w domu na
wylot dziurę,**

**przez którą możnaby przegonić stado wołów. Budynek zaczął się chwiać i
zapadać.**

Ale w tej samej chwili wybuchł ogłuszający harmider i przez okna piętra

zaczęli

wyskakiwać mężczyźni w koszulach nocnych, niczym szczury z worka.

Rozbiegli się we

wszystkich kierunkach drąc się przeraźliwie, a ja zdałem sobie sprawę, że

wszystkie te

obleśne Clantony spały na górze. Nawet jednego nie utlukłem! A poza tym to

zapomniałem o

odrzućcie i tak mnie kopnęło, że przeleciałem przez belkę ogrodzenia. Zanim

się

wygramoliłem, zniknęli już wszyscy w krzakach, tak że nie mogłem nawet

żadnego

zastrzelić, jak wiali. Byłem tak cholernie rozczarowany, że usiadłem na

miejscu i zacząłem

żałośnie rozpaczać na całe gardło.

Potem się wściekłem i popędziłem szukać wrogów w zaroślach, ale nikogo nie

znalazłem.

Najwyraźniej cały czas wiali, a ja nie znałem na tyle dobrze okolicy, żeby

zapolować na nich

w ciemnościach. Wróciłem w końcu bardzo zde gustowany.

Lufa armaty pękła w trzech czy czterech miejscach i widząc, że na nic już mi

się nie

przyda, postanowiłem odstawić ją do Sawtooth.

Muły zerwały się i uciekły, więc musiałem całą drogę taszczyć ją na grzbiecie i

już witało,

kiedy postawiłem ją z powrotem koło sądu.

Poszedłem potem do saloonu niezadowolony i spragniony. Nie cierpię, jak

moje świetne

pomysły sypią się, tylko dlatego, że jacyś frajerzy nie mają na tyle rozumu,

żeby siedzieć tam,

gdzie powinni. Chociaż było wcześniej, wszyscy laźili po ulicy i gadali o

wybuchu. Któryś z

Clantonów przegalopował przez miasto bez zatrzymania i wrzaskiem

zawiadomił wszystkich

o eksplozji, ale sam nie wiedział, co się stało. Jedni mówili, że to piorun, inni, że trzęsienie

ziemi, a jeszcze inni, że tornado.

Nie zauważyli mnie, jak wszedłem do saloonu. Hałas działa mi na nerwy, więc

ryknąłem:

— Cicho! Jak chcecie wiedzieć, co rozwalilo chatę Clantonów — to ja!

Wszyscy rzucili się do drzwi wrzeszcząc: „Ratuj się kto może! Wrócił” Po

pewnym czasie

wróciłem na ranczo wuja Joela na piechotę. Kiedy tam dotarłem, wujek

trzymał w jednej ręce

worek z kozłej skóry, a w drugiej list który właśnie czytał i oznajmił mi:

— No, Breckinridge, wojna skończona. Stary Clanton odesłał mi tę forszę, co to

ją ode mnie

wygrał i chce pokoju. Mówi, że jak zwałamy na niego trzęsienie ziemi i

tornado, to on ma

dosyć.

— A! Więc on sobie myśli, że nas można kupić? — zgrzytnąłem zębami, czując, że

pogwałcono mój honor. — Wyślijcie im tę forszę z powrotem i powiedzcie, że klanu Elkinsów nie można przekupić.

— Za diabła tego nie zrobię! — Zawył wuj Joel, pokazując po raz pierwszy pazury i przyciągnął do piersi nędzną mamonę.

— A właśnie, że zrobisz! — ryknąłem. — Żaden Elkins nigdy nie przehandlował honoru.

Tylko krew może zmyć krzywdę wyrządzoną Elkinsowi! Wydzierałem się, chodząc tam i z powrotem wymachując pistoletami, jak to mam w zwyczaju, gdy się wnerwię.

— Jak Elkins

wypowiada wojnę, to jest to wojna na śmierć i życie! A broń odkładamy dopiero wtedy, gdy wróg zalegnie unurzany w swojej jusze!

Chłopcy pochowali się wszyscy pod domem, a wuj Joel myślał głęboko. W końcu rzekł:

— Chyba masz rację, Breckinridge. Napiszę zaraz list z wyzwaniem i wyślę staremu

Clantonowi razem z tą forszą.

— No, teraz mówisz jak Elkins! — pochwalilem go, po czym przestrelilem parę okien,

żeby się uspokoić. — Idźcie to pisać, a ja pokażę chłopakom, jak się rzuca siekierą.

Wkrótce wuj Joel przyszedł z forszą i pismem, i zbladł, jak zobaczył, że na cel zużyliśmy

jego najlepszy kapelusz, ale nic nie powiedział. Dał Billowi kasę i list, a ja wziąłem jedną z

wujkowych białych koszul, przyczepilem ją do tyczki od fasoli, jako flagę pokoju i Bill

pojechał. Szybko zacząłem się niecierpliwić, bo siedzenie na tyłku i czekanie na atak nie leży

w naturze Elkinsa. To my zawsze atakujemy. Ale Clantonowie się rozproszyli, a ja nie

wiedzialem, gdzie ich szukać, więc pozostało tylko czekać, aż sami przyjdą.

Nie podobały mi się okiennice i kazałem chłopakom je zdjąć i przerobić.

Łaziłem z

buldogiem po całym ranczo i szukałem dla niego najbardziej strategicznego miejsca. Za

każdym razem, gdy wuj Joel wpadał na niego niespodziewanie, pies go gryzł, a wujek kłął

obrzydliwie. Aż strach było go słuchać.

Billa nie było bardzo długo. Doszedłem do wniosku, że Clantonowie pogwałcili białą flagę

i już miałem jechać go szukać, gdy przyjechał blady i podniecony. Powiedział, że dał

Clantonom forse i list, i odkrył ich kryjówkę. Według niego, rozbili się w

kanionie, kilka

kilometrów na południe i planowali napaść na nas tuż przed świtem. Bill

powiedział, że

moglibyśmy podkraść się zaraz po zmroku i wyrznąć ich wszystkich.

Bardzo się uradowałem i ucieszyłem, że zaczął w końcu pokazywać

prawdziwego ducha

Garfieldów i zaczęliśmy układać plany.

Ja z wujem Joelem mieliśmy się zakraść w dół kanionu i zaatakować ich od

tyłu, a

chłopaki mieli ich dopaść z flanki. Bili powiedział, że poniżej obozowiska

Clantonów, kanion

się zwężał i on z braćmi mogliby wdrapać się na skały, nad tym przewężeniem,

a gdy

Clantonowie zaczną wiać, zrzucą na dół pochodnie i w ich świetle wystrzelają

drani.

Strasznie mi to się podobało i jeszcze bardziej się ucieszyłem, gdy wuj Joel

zaofiarował

się, że wyczyści mi spluwy. Dałem mu je i posłałem chłopaków, żeby pilnowali

dróg, na

wypadek gdyby Clantonom się coś, odwidziało i zaatakowali za dnia. Dałem

buldogowi

kawał surowej wołowiny nasączonej whisky i prochem, żeby nie stracił

bojowego ducha, Po

tym, jak złamał ząb próbując mnie ugryźć, zostaliśmy dobrymi kumplami.

Potem załadowałem escopetę dużą ilością prochu, śrutem, gwoździami i kawałami soli.

Daleko by nie doniosło, ale na krótki dystans narobiłoby dużo szkód.

Strasznie się niecierpliwiłem i nie mogłem się doczekać nocy, kiedy będziemy mogli

wytłuc tych wszystkich Clantonów. W końcu zapadł zmrok i ruszyliśmy.

Byłem gotów długo

przed innymi. Przytroczyłem escopetę do siodła, nie mówiąc o tym nikomu,

bo wujek Joel

trząsał się na sam jej widok.

Gdy dotarliśmy do kanionu powyżej obozowiska Clantonów, rozdzieliliśmy się.

Uwiązaliśmy konie w krzakach i chłopcy poszli wzdłuż brzegu kanionu, żeby dostać się nad

przewężenie poniżej obozu. Zeszliśmy z wujem Jodem do kanionu. Było tak ciemno, że nie

widzieliśmy nic, oprócz zarysu krawędzi na tle gwiazd. Wuj Joel nie widział nawet, że na

plecach miałem escopetę. Daliśmy chłopakom dużo czasu i ruszyliśmy w dół kanionu

macając drogę w ciemności.

Wuj Joel robił tyle hałasu, że mógłby obudzić całą armię. W końcu zmusiłem go, żeby

zdjął buciory, ale co wlażł na ostry kamień; to jęczał i kłął. Uciszył się, gdy

powiedziałem

mu, że przez niego wszystkich nas tu wymordują.

Wkrótce trafiliśmy na gładką ścieżkę i powiedział, że podkradnie się i

zobaczy, czy

Clantonowie śpią, a jak śpią, to zawyje jak kojot. Nie chciałem go puścić, ale

się upierał; więc

dałem mu spokój i zniknął w ciemnościach. Po chwili usłyszałem ujadanie

kojota.

Po omacku przelazłem przez jakieś przewężenie i wyszedłem na obszerny

placyk. Nagle,

ktoś zdarł koc z lampy i mnie oślepił, a na moje ramiona opadło lasso i

unieruchomiło mi

ręce. W tej samej chwili podniósł się straszny wrzask i opadła mnie chmara

ciemnych postaci.

Ryknąłem, zerwałem lasso, jakby to była bawełniana nitka, ściągnąłem z

pleców escopetę i

wypaliłem w ciemno. Podmuch położył całą bandę. Ludzie padali jak kręgle,

wrzeszcząc i

klnąc. Ktoś jęknął:

— Ty stary durniu! Mówiłeś, że jego spluwa jest pusta!

A ktoś inny zawył:

— Znowu ma tą cholerną armatę! Łapać go, zanim znów załaduje!

A potem zakotłowałem się w śmiertelnej walce z tą hołotą, a przynajmniej z

tymi, którzy

się do tego nadawali.

Słyszałem, jak wuj Joel klnie gdzieś okrutnie. Nie wyciągnąłem pistoletów, bo

bałem się,

że go trafię. Latarnia została rozbita i walczyliśmy po ciemku. Tarzałem się w

tej ciźbie,

jednym ciosem kładłem trzech albo czterech, porwałem w ramiona tyłu ilu

zdołałem i

ścisnąłem, aż zatrzeszczały im żebra. Rzuciłem kilku twarzami na ostre skały,

a kilkoma

innymi wymiotłem dno kanionu.

Było ich grubo więcej niż siedmiu. Ścierwo wałało się pod nogami i ciągle się

potykałem,

a cały kanion był pełen ludzi rwących mi się do gardła. Pomyślałem, że cała

okolica przyszła

pomóc Clantonom przeciwko moim krewniakom i ta stronnictwość tak mnie

zdezerwowała, że

podwoilem wysiłki, a wrzaski trafianych wzniosły się pod rozgwieżdzone

niebo Arizony.

Ludzie strzelali do mnie w ciemności i trafiali się nawzajem. Niektórzy

próbowali podciąć

mi nogi i tych rozdeptywałem. Inni cięli się nożami na ślepo sądząc, że tną

mnie. W końcu

dopadłem, sądząc po wadze, największego faceta w tym tłumie, porwałem go

za kostki i

zakręciłem nim młynka nad głową kładąc pokotem tych idiotów.

Zaczęli wrzeszczeć: „Ratunku! Mordują!”, a potem popędził wszyscy w dół

kanionu, a

przynajmniej ci, którzy mogli pędzić. Rzuciłem za nimi moją ludzką maczugą i

zapaliłem

zapalkę, żeby policzyć trupy. Całe dno kanionu było zaśmiecone jęczącymi

osobnikami.

Najwidoczniej dałem za mało prochu, a za duży ładunek, bo ten wszystek śrut

i gwoździe nie

zabiły nikogo, chociaż ich nieźle poharatały.

Odnalazłem wuja Joela nasłuchując jego klątw. Leżał na brzuchu i wymyślał

straszliwie.

Wyglądało na to, że zatrzymał siedzeniem większość soli.

— Czegoś mi nie powiedział, że, taszczysz ten garłacz? — zaczął gniewnie. —

Zostaw

mnie! Umieram i chcę umrzeć w spokoju.

Bąłem się, że Clantonowie powrócą, więc podniosłem go i wsadziłem na

konia.

Zawolałem chłopaków, ale nie odpowiedzieli. Domyśliłem się, że Clantonowie

ich zabili i nie

zostało nam już nic innego, jak wrócić na ranczo i bronić się do końca. Wuj

Joel jechał

przewieszony przez siodło, jęczał i lkał, a potem zaczął kląć, aż strach było

sluchać.

— Jesteście ostatnim z Garfieldów, wujku Joelu — rzekłem poruszony, — Ale nie

martwcie się. Wasi synowie będą pomszczeni. Zostanę z wami aż do końca.

Gdy dojechaliśmy do domu, nie było widać śladu pościgu. Zostawiłem wuja

Joela

próbującego wydłubać trochę soli ze swego boku. Przybiłem okiennice i

ściągnąłem buldoga,

i wszystkie beczki z wodą, jakie tylko mogłem znaleźć.

— Jak nadejdą, to ja będę walczył, wujku Joelu — powiedziałem. — a Wy

będziecie gasić,

jak podłożą ogień.

Nic nie odpowiedział. Wyglądał na oszłomionego. No, ale każdy byłby

oszłomiony po

stracie wszystkich synów. Cóż, takie już są te właśnie rodowe. .

Właśnie wstawał świt, gdy wyjrzałem przez okno na piętrze i zawołałem:

— Idą! O rany, ciągną ze sobą armatę!

Zobaczyłem Clantonów na czele, obok szeryfa, zastępcę i jakichś czterdziestu

czy

pięćdziesięciu ludzi. Sądząc po ich siniakach i poobijanych obliczach, musieli

to być ci,

którym tak dołożyłem w kanionie. Razem z nimi nadciągała kompania

żołnierzy z fortu i

trzystu może czterystu gapiów.

Naprowadziłem muszkę mojej „czterdziestki piątki” na starego Clantona.

Nacisnąłem

spust, a oni wszyscy wrzasnęli i skulili się. Stary nie padł, a po odrzucie

poznałem, że nabój

nie miał kuli. Zacząłem jak opętany wyrzucać naboje i zobaczyłem, że oba

pistolety nabite

były ślepakami. Wtedy zobaczyłem Billa, Jima i Joe’go w tłumie razem z

Clantonami.

— Żądam, żebyś się poddał! — lyknął szeryf.

— Cofnij się, bo cię podziurawię! — odwrzasnąłem chwytając za Winchestera.

Obróciłem

się gniewnie do wuja Joela.

— To wy załadowaliście moją broń ślepakami, gdy udawaliście, że ją czyścicie!

—

oskarżyłem go. — Czyście zgłupieli? A co wasi chłopcy robią z tymi tam?

Załamał się, gdy to usłyszał.

— Tak, to ja zamieniłem ci naboje! — wrzasnął jak dziki. — I to ja poszedłem

naprzód w

kanionie, żeby zawiadomić ludzi szeryfa, że nadchodzisz, ty cholerny

maniaku! Jak wczoraj

odsylałem forszę staremu Clantonowi, to napisałem mu, żeby wymyślił z

Billem jakiś plan,

żeby cię złapać, i żeby ściągnął szeryfa z ludźmi. Wciągnąłem cię w pułapkę.

Gapilem się na niego absolutnie sparaliżowany.

— Ja nie chciałem bić się z Clantonami! — zawył. — To ty wpackowałeś nas w tę całą

kaszanę! Jesteś zagrożeniem dla społeczeństwa! A teraz wypuść mnie stąd!

— Na co mi przyszło! Dożyłem chwili, gdy słyszę takie słowa! — powiedziałem ogłupiały. — kupiłeś haniebną pokój, wydając swego bratanka wrogom, jak owieczkę

wilkom! Ale ten numer nie przejdzie. Przyjechałem tu bronić honoru rodziny aż z Nevady i obronię go pomimo ciebie.

Zapadł się w sobie z cichym jękiem. Na zewnątrz usłyszałem starego Clantona: — Dawać go tu, do diabła! Rozwalił mi cały dom i poharatał mi synów na śmierć!

Szeryf krzyknął: — Elkins, chcę z tobą pogadać! Nie strzelaj! — podjechał pod okno,

skrzywił się i rzekł: — Mój dobry człowieku, nie możesz opierać się armii Stanów Zjednoczonych!

— Nie jestem twym dobrym człowiekiem! — wrzasnąłem. — Jestem Breckinridge Elkins,

największy zabijaka, jaki kiedykolwiek zszedł z Gór Humbolta! Mogę załatwić grizzly,

zakręcić lwem górskim trzymając go za ogon i pierwszy ugryzę grzechotnika!

Jak będziesz

gotów, to ruszaj, ty świeży frajerze! A tych twoich niebieskich żołnierzyków

zwałę na jedną

kupe, tak jak zrobił tatko pod Bull Run.

Cały się zalał purpurę, zachnął się i zachłysnął, i w tym momencie jakiś gość z siwymi

bokobrodami przepchnął się przez tłum krzycząc.

— Jestem poczmistrz z Sawtooth. Mam list polecony dla Breckinridge’a Elkinsa.

Wrzucił list przez okno, a ja go złapałem. Potem się odwrócił i spokojnie odjechał poprzez

tłum. Otworzyłem kopertę i przeczytałem:

Drogi Breckinridge!

Doszły mnie słuchy o tobie. Cboty u diabła, robisz w tym Sawtooth? Tamte ludziska to

żadna nasza rodzina. Oni się piszą Guarfele. Przyjeżdżaj tu, gdzie twoje miejsce.

Twój wielce ci oddany wuj,

Joel Garfield, Rifle River, Arizona.

P.S. Tę rodzinę, cośmy mieli z nimi wojnę, to już przegoniliśmy z okolicy, ale przyjedź i

tak. Chcę cię zobaczyć i inni też.

Ogłupiały patrzyłem na postać jęczącą na podłodze.

— Ty nie jesteś Joel Garfield, który przyjechał tu w 1869 z hrabstwa

Guadalupe w

Texasie? — wykrztusiłem.

— Nie, nie jestem! — rzekł gniewnie. — Jestem Hoseph L. Guarfele! I

przyjechałem tu

ledwie dziesięć lat temu z Kansas!

W tym momencie mnie poniosło.

— A więc wykorzystaleś moją niewiedzę! — ryknąłem wyrzucając z wściekłości

jego

Winchestera przez szybę w drzwiach. — Zwabiłeś mnie tu podstępnie, żebym

za ciebie

walczył! Ty stary wężu, powinienem cię zastrzelić za narzucanie się

niewinnym

podróżnikom!

— Chciałeś, żebym wyszedł, to wychodzę!

Potem wyskoczyłem przez okno i spadłem prosto na konia kapitana, tuż za

siodłem.

Zwierzak zarżał i przysiadł, ale zaraz skoczył i wyrwał do przodu. Trzymałem

kapitana w pól

i żołnierze nie strzelali, bo bali się, że go trafią. Przeleciałem przez ich oddział

jak burza. Całe

zbiegowisko rozpierchło się z dzikim krzykiem na sam mój widok i po chwili

gnałem już

spokojnie w stronę gór.

Te ludziska, co to mówią, że ukradłem kapitanowi konia, to kłamcy.

Odesłałem go później.

I kłamstwem też jest to, że wrzuciłem kapitana na kaktusy, gdy już uciekłem

jego żołnierzom.

Nigdzie go nie wrzucałem. Po prostu nie patrzyłem, gdzie go porzuciłem, a

zresztą to on sam

powinien patrzeć, gdzie leci. Ja tylko chciałem znaleźć się, jak najdalej od tego całego

Sawtooth i tych obleśnych Guaifelów. Nic mnie tak nie wkurza, jak

niewdzięczność.

KAWALERSKI WIECZÓR KUZYN BUDKA

Pewnego dnia dostałem list od ciotki Saragossy Grimez:

Drogi Breckinridge!

Jestem pewna, że uczucia, jakie żywi do ciebie kuzyn Bearfield Buckner z

czasem osłabną.

Był u nas na kolacji pewnego dnia, zaraz po tym, jak zastrzelił trzech

chłopców od Evansa z

Colorado. Wspomniałam więc niby przypadkiem o tobie i nie zrobił się tak

purpurowy, jak to

bywało zwykle, kiedy ktoś wymówił twoje imię. Pozieleniał tylko trochę, może

dlatego, że

zakrztusił się mięsem, które jadł. I powiedział tylko, że jeśli cię kiedykolwiek spotka,

roztrzaska ci czaszkę dębową pałką, co było najłagodniejszą z wygłoszonych

przez niego

uwag na twój temat, odkąd wrócił do Texasu. Sądzę, że zarzucił już pomysł

oskalpowania cię

żywcem i zostawienia na prerii na pastwę sępów z połamanymi obiema

nogami. Myślę, że za

jakiś rok, będziesz się mógł z nim bezpiecznie spotkać. Jeśli będziesz musiał

do niego

strzelać, postaraj się tylko lekko go zranić, bo to przecież ty z nim zacząłeś.

Mamy się dobrze,

prócz tego, że James Allison ma złamaną rękę wskutek dyskusowania z

kuzynem Bearfieldem

o polityce. Życzę ci zdrowia, proszę, napisz kiedyś —

— twoja kochająca Ciotka Saragossa.”

Miło pomyśleć, że rodzina serdecznie o kimś myśli i zapomina drobne urazy.

Ale widzę,

że Bearfield przekręca fakty i ustawia ciotkę Saragossę przeciwko mnie,

inaczej nie

napisalaby, że to ja z nim zacząłem. Wszyscy trzeźwo myślący ludzie wiedzą,

że to nie była

moja wina, wszyscy prócz Bearfielda, który jest uczulony na moim punkcie.

Kiedy dołączyłem do Starego Branta Mulhollanda, by pędzić z nim bydło z

Pecos do

Platte, wiedziałem, że Bearfield był gdzieś w Colorado, ale to nie miało dla

mnie znaczenia.

Bearfielda można było spotkać wszędzie,, gdzie lała się wódka i strzelano ze

strzelb z

odciętymi lufami. Kłamię, kiedy mówi, że przybyłem w okolice High Horse

specjalnie po to,

żeby złamać mu życie i zniszczyć karierę.

Wszystko, co zrobiłem, zrobiłem z dobrego i szczerego serca. Ale nie był mi za to wdzięczny. Kiedy przypominam sobie, jak musiałem jeść jaszczuki w towarzystwie bosonogich bandytów, żeby tylko nie musieć zabić tego sukinsyna, jego niewdzięczność boli mnie bardzo.

Po pierwsze, to w ogóle nie zamierzałem odwiedzać High Horse, ale parę kilometrów na pomoc stamtąd, skończyło nam się żarcie, więc Stary Mulholland przed świtem zerwał ze mnie koc i zaskrzeczał:

— Bierz wóz, jedź do High Horse i kup coś do żarcia. Tu masz pięćdziesiąt dolarów. Jeśli wydasz choć centa, na coś oprócz boczku, fasoli, mąki, soli i kawy, zapłacisz głową szczeniaku!

— Czemu nie wyśle pan kucharza? — zaprotestowałem.

— Ta świnia leży tam, w krzakach i wyrzyguje resztki esencji waniliowej — odpowiedział

Stary Mulholland. — W końcu to przez ciebie umieramy z głodu. Gdybyś tyle nie jadł, starczyłoby nam na cały szlak. Jesteś jedynym tutaj, komu mogę powierzyć pieniądze, a i tak

nie ufam ci bardziej, niż bandzie Komanczów.

My, Elkinsowie, jesteśmy wrażliwi na takie uwagi, ale Stary Mulholland

urodził się już z

przekonaniem, że wszyscy chcą go wykołować. Zachowałem więc wyniosłe

milczenie i nie

powiedziałem mu, żeby poszedł do diabła. Potem zaprzęgam muły i ruszyłem

w drogę.

Kapitana Kidda wziąłem ze sobą uwiązanego z tyłu, bo gdybym go zostawił, do

mojego

powrotu zdążyłby wykończyć wszystkie konie w obozie.

Kiedy dotarłem do miejsca, gdzie rozchodzą się drogi do Gailego i do High

Horse,

usłyszałem za sobą kogoś grającego na banjo i śpiewającego „Noe zbudował

arkę”.

Ściągnąłem lejce i po chwili z za zakrętu pojawił się najdziwniejszy zaprzęg,

jaki widziałem

od czasu, kiedy do War Point przyjechał cyrk.

Była to dwukółka, wymalowana na czerwono–biało–niebiesko i wyladowana

dzbanami z

mętną podejrzaną cieczą. Siedzieli w niej: facet w długim płaszczu i wielkim

kapeluszu oraz

skośnooki murzyn z małpą na ramieniu, grający na banjo.

Biały zdjął kapelusz, uklonił się i powiedział:

— Witaj, przyjacielu mastodencie! Czy mógłbyś udzielić mi informacji, która z

tych dróg

wiedzie do miasta High Horse?

— Ta na południe — powiedziałem. — Ta na wschód idzie do Gailego. Czy wy jesteście z

cyrku? — zapytałem głupkowato.

— Cóż za pomówienie — on na to. — We mnie widzisz największego przyjaciela ludzkości od śmierci wynalazcy wódki z kukurydzy. Jestem profesor J.

Lattimer, wynalazca i

jedyny dystrybutor tego wybawienia dla cierpiącej ludzkości, czyli

Uspokajającego Elikssiru

Lattimera, dobrego dla zwierząt i ludzi!

Wyciągnął spod siedzenia dzban i pokazał go mnie, i jakiemuś, młodemu człowiekowi,

który właśnie nadjechał drogą z Gailego.

— Pewne lekarstwo — powiędnał. — Twój koń jest zbyt napalony na klacze? To wielkie

bydlę, które masz uwiązane do wozu ma w oku dziki błysk i...

— Nie jest napalony — przerwałeś mu. — Tylko krwiożerczy.

— Życzę zatem want obydwu miłego dnia, panowie — powiej dział. — Muszę jechać, by

użyć cierpiącym. Spotkamy się w High Horse.

Odjechał, a ja cmoknąłem już na muły, kiedy ten młodzieniec, który cały czas uważnie mi

się przyglądał, spytaj:

— Czy ty nie jesteś Breckinridge Elkins?

Kiedy potwierdziłem pokiwał głową ze smutkiem.

— Ten profesor nie musi jechać do High Horse, żeby szukać napalonych zwierząt. W

Gailego jest właśnie facet, zwariowany jak talala, twój własny kuzyn, Bearfield Buckner!

— Co? — wykrztusiłem przerażony, bo w rodzinie nie było dotąd przypadków choroby

umysłowej od czasu Evansa, wujecznego pradziadka Bearfielda, który kiedyś głosował

przeciw Hickory Jacksonowi. Ale wyzdrowiał przed następnymi wyborami.

— To prawda — nawijał dalej ten gość. — Cierpi na halucynacje i twierdzi, że zamierza

ożenić się z Ann Wilkins, dziewczyną z High Horse. Nie ma tam nawet kogoś o tym

nazwisku. Zalewał się właśnie w saloonie, kiedy odjechałem, nie chcąc patrzeć na tę ruinę

niegdyś szlachetnego człowieka. Boję się, że jeśli ktoś go nie powstrzyma, może sobie zrobić

krzywdę.

— Piekło i niebo! — powiedziałem poruszony. — Czy to prawda?

— Prawda, jakiem Lem Campbell — przysiągł. — Pomyślałem, że skoro jesteś jego

kuzynem, mógłbyś zabrać go do mojego domu parę kilometrów na południe

od Gallego i

przetrzymać go tam kilka dni, nim oprzytomnieje — popatrzył na mnie pytająco.

— Zrobię coś więcej — powiedziałem, wyskakując z wozu i uwiązując muły. —

Jedź za

mną — powiedziałem, wsiadając na Kapitana Kidda. Dwukółka profesora

znikała właśnie za

zakrętem, pogoniłem więc za nią. Kiedy ją dopadłem, stanąłem przed nią w

obłoku kurzu i

zapytałem:

— Mówisz, że to leczy ludzi i zwierzęta?

— Niezawodne! — zapewnił Lattimer.

— Zawracaj i jedź do Gallego — powiedziałem. — Mam dla ciebie pacjenta.

— Ale Gallego to mała wioseczka — skrzywił się z niesmakiem — w High Horse

jest

kolej i wiele saloonów i...

— Ludzki rozum jest w niebezpieczeństwie, a ty marudzisz coś o kolei! —

ryknąłem,

wyciągając „czterdziestkę piątkę” i odstrzeliwując mu kilka guzików od

plaszczu. — Kupuję

cały ładunek twojego płynu. Zawracaj i jedź do Gallego! — dodałem ostro.

— Ani myślę dyskutować — powiedział, blady jak ściana. — Meshak, nie

słyszysz tego

gentelmana? Wylaż spod siedzenia i zawróć konie.

— Tak, panie! — powiedział Meshak i zawrócili, akurat w chwili, kiedy

nadjechał Lem

Campbell.

Wyciągnąłem woreczek, który dostałem od Starego Mulhollanda i dałem go

Campbellowi.

— Jedź z tym do High Horse, kup za to żarcie i wyślij do obozu stada Starego

Mulhollanda

w Litte Janktown. Ja jadę do Gallego, wóz będzie mi potrzebny, żeby

załadować kuzyna

Bearfielda.

— Sam to żarcie zawiozę — powiedział, łapiąc woreczek. — Jak cię tylko

zobaczyłem,

wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Powiedział mi jeszcze, jak trafić do jego domu i popędził do High Horse, a ja

odjechałem

w przeciwną stronę. Mając dwukólkę zawołałem:

— Jedźcie za mną do Gallego. Jeden niech weźmie wóz, który stoi na

rozdrożu. I nie

próbujcie nawiać, kiedy zniknę wam z oczu.

— Przez myśl mi to nie przeszło — powiedział Lattimer. — Jedź i nie obawiaj

się.

Będziemy jechać za tobą najszybciej, jak się da.

Ruszyłem więc zakurzoną szlakiem do Gallego. — Nie było to wielkie miasto,

miało

tylko jeden saloon. Jadąc usłyszałem z niego potężny ryk, drzwi otworzyły się

i ze środka

wyfrunęło trzech czy czterech facetów, lądując w pyłe na środku ulicy.

— Tak — powiedziałem sobie. — Kuzyn Bearfield jest w mieście.

Gallego wyglądało tak, jak wygląda każde miasto, kiedy Bearfield świętuje.

Sklepy były

pozamykane, żaluzje poopuszczane, na ulicach nie było nikogo, a w oddali

widać było kogoś

— chyba szeryfa — uciekającego co koń wyskoczy na wzgórze. Przywiązałem

Kapitana

Kidda przed wejściem. Wchodząc do saloonu potknąłem się o wyczołgującego

się ze środka

faceta w fartuchu barmana, o oczach tak podbitych, że nie mógł ich otworzyć.

— Nie strzelaj! — krzyknął. — Poddaję się!

— Co się stało? — spytałem.

— Ostatnie, co pamiętam, to jak mówiłem facetowi o nazwisku Buckner, że

program

Demokratów jest głupi — powiedział. — Potem chyba zawałił się dach, albo

coś w tym

rodzaju. Jeden człowiek na pewno nie zdołałby mnie tak urządzić.

— Nie znasz mojego kuzyna — zapewniłem go.

Przeszedłem przez niego i wszedłem przez wyrwane z zawiasów drzwi. W

pierwszej

chwili pomyślałem, że Lem Campbell przesadził. Wyglądało na to, że

Bearfield zachowywał

się tak, jak zwykle, ale prędko zmieniłem zdanie.

Bearfield stał przy barze, nalewając sobie drinka, i miał na sobie

najstraszniejszą,

czerwono-żółto-zielono-purpurową koszulę, jaką w życiu widziałem.

— Co to jest — spytałem przerażony — to, co masz na sobie?

— Jeżeli chodzi ci o moją koszulę — odparł zirytowany. — To najszykowniejszy

ubiór,

jaki mogłem znaleźć w Denver. Kupiłem ją specjalnie na ślub.

— Więc to prawda! — jęknąłem żałośnie. Zwariował, jak cholera! Wiedziałem,

że nikt

przy zdrowych zmysłach nie założyłby takiej koszuli.

— Co jest zwariowanego w żenieniu się? — warknął, po czym odgryzł szyjkę

butelki i

pociągnął wielki łyk. — Ludzie to robią codziennie!

Obszedłem go ostrożnie dookoła, przyglądając mu się uważnie, co

najwyraźniej

wyprowadzało go z równowagi.

— Co się z tobą, do diabła dzieje?. — ryknął. — Mogę przecież...

— Uspokój się, kuzynie — starałem się go ułagodzić. — Co to dziewczyna, z

którą

wyobrażasz sobie, że masz się ożenić?

— Nic sobie nie wyobrażam, ty tępy gorylu — odparł wróg — Nazywa się Annie

Wilkins

i mieszka w High Horse, zaraz tam jadę i dziś jeszcze się pobierzemy.

Potrząsnąłem z politowaniem głową i powiedziałem:

— Musiałeś to odziedziczyć po twoim wujecznym pradziadku Evansie. Tata

zawsze

mówił, że choroba Evansa może znów pojawić się u któregoś z Bucknerów.

Ale nie martw

się, Evans został wyleczony i przez resztę życia głosował jak trza na

Demokratów. Ciebie też,

Bearfield, można wyleczyć i po to właśnie tu jestem. — Chodź, Bearfield —

powiedziałem,

chwytając go mocno za kark.

— Spieprzaj — odpowiedział kuzyn Bearfield, no i zaczęło się. Runęliśmy

razem na

ziemię i zaczęliśmy się po niej tarzać. Ten wieprz za każdym razem, kiedy był

na górze, tłukł

moją głową o podłogę, z której prędko posypały się drzazgi. Po dziesiątym

obrocie ja

znalazłem się na górze, wyrwałem kciuk spomiędzy jego zębów i

powiedziałem:

— Bearfield, nie chcę używać siły, ale...ugh! — To „ugh” to dlatego, że walnął

mnie w

kark.

Moje motywy były najszlachetniejsze i właściciel saloonu niepotrzebnie się

żołądkował z

powodu tego, co Bearfield narobił potem. Czy to była moja wina, że Bearfield

nie trafił mnie

dwudziestolitrowym gąsiorem i zbił lustro za barem? Czy to przeze mnie

Bearfield zniszczył

stół bilardowy, kiedy przerzuciłem go przez niego, uderzeniem pięści? Co do

zniszczonego

piecyka, mogę powiedzieć tylko, że instynkt samozachowawczy to

podstawowe prawo

natury. Gdybym nie zdzielił Bearfielda po łbie tym masywnym złodem, bez

wątpienia

zmasakrowałby mi twarz tym stłuczonym kuflem, którego próbował użyć jako

kastetu.

Słyszałem, że obłąkani walczą strasznie, ale nie wiem, czy Bearfield bił się

jakoś inaczej

niż zwykle. Nie zastosował swojej starej sztuczki, polegającej na wbijaniu mi

ostrog w kark,

kiedy toczyliśmy się po podłodze, a kiedy zbił mnie z nóg kołem do ruletki i

zaczął po mnie

skakać obiema nogami, przez moment pomyślałem, że zmięknę. Ale wstyd, że

mam w

rodzinie wariata, przywrócił mi siły, zrzuciłem go więc z siebie, wstałem,

wyrwałem kawał

miedzianej balustrady i zgąłem ją na jego głowie. Bearfield wypuścił z ręki

nóż, zachwiał się

i runął na podłogę.

Otarłem z twarzy krew i z radością odkryłem, że wciąż widzę na jedno oko.

Odwinąłem z

głowy Bearfielda balustradę i wyciągnąłem go za nogę przez drzwi. Akurat w

tej chwili

nadjechał profesor w swojej dwukółce. Meshak z małpą jechali za nim moim

wozem.

— Gdzie pacjent? — spytał Lattimer.

— To ten! Rzućcie mi linę. Zabieramy go do chaty Lema Campbella, gdzie

będziemy go

kurować, aż odzyska rozum — powiedziałem nastawiając sobie wybity kciuk,

Kiedy wiązałem Bucka, zebrał się naokoło nas niezły tłumek, a sądząc z

rzucanych przez

nich uwag, kuzyn Bearfield nie miał W Gallego zbyt wielu przyjaciół. Kiedy

taszczyłem go

do wozu, jeden z gapiów zapytał, czy jestem szeryfem, jak mu powiedziałem,

że nie, zwrócił

się do tłumu:

— Do diabła, chłopcy, czemu nie zapłacimy teraz Bucknerowi za to lanie, jakie

nam

sprawił? Mówię wam, to jedyna szansa! Jest nieprzytomny i związany, a ten to

nie szeryf! —

krzyczał.

— Dawać linę! — zawył ktoś. — Powieśmy go!

Ruszyli naprzód, a Lattimer i Meshak przerazili się tak, że ledwo mogli utrzymać lejce.

Ale ja wsiałem na konia, wyciągnąłem pistolety i powiedziałem:

— Meshak zawracaj i jedź na pomoc. Profesor, za nim. Hej ty! Zostaw te muły!

Jeden z tłumu próbował zatrzymać je, chwytając za uprząż, odstrzelilem mu więc obcas od buta i upadł, miotając przekleństwa.

— Z drogi! — ryknąłem, wymachując pistoletem w stronę zgromadzonych ludzi, którzy

cofnęli się pośpiesznie. — Ruszajcie! — wydarłem się, posyłając mułom dla zachęty parę

kulek przed kopyta i wóz odjechał pędem z Gallego skacząc na wybojach z Meshakiem

uczepionym siedzenia, wrzeszczącym jak obdzierany ze skrótym szympansem.

Profesor ruszył za

nim w swojej dwukółce. Pojechałem za nim, oglądając się, czy nikt nie strzela mi w plecy, bo

niektórzy wyciągnęli pistolety. Ale nikt nie strzelał, dopóki byłem w zasięgu strzału z

pistoletu. Potem ktoś wypalił ze strzelby na bawoły, ale chybił przynajmniej o pół metra, nie

zwróciłem więc na to uwagi i wkrótce miasto zniknęło mi z oczu.

Bąłem się, że Bearfield oprzytomnieje i spłoszy muły swoim wyciem, ale poręcz musiała

być twardsza niż sądziłem. Był jeszcze nieprzytomny, kiedy zatrzymaliśmy się przed chatą stojącą w małym zagajniku pośród wzgórz, o parę kilometrów na południe od Gallego.

Kazałem Mashakowi wyprząc muły i zamknąć je w corralu. Sam wniosłem Bearfielda do

chaty i położyłem na łóżku. Lattimerowi powiedziałem, żeby przyniósł cały zapas eliksiru,

którego miał trzydzieści pięć lit w dzbankach po trzy i pół litra każdy. Dałem mu za to

wszystkie pieniądze, jakie miałem.

Niedługo potem Bearfield podniósł głowę i zobaczył naprzeciw niego profesora Lattimera

w szerokim kapeluszu i długim płaszczu, skośnookiego Mashaka i małpę.

Zamrugał oczami i

westchnął:

— Mój Boże, chyba zwariowałem. To nie może być prawda!

— Jasne, że zwariowałeś, kuzynie — pocieszyłem go. — Ale nie przejmuj się...

Bearfield przerwał mi rykiem, od którego twarz Meshaka przybrała kolor brzucha ryby.

— Rozwiąż mnie, bydlaku! — wył, rzucając się na łóżku jak pyton, którego sparła kolka,

zmagając się z więzami, aż żyły wezbrały mu na czole. — Powiniennem być teraz w High

Horse, na swoim ślubie...!!!

**— Widzisz? — pokiwałem głową do Lattimera. — To ciężki przypadek, lepiej
zaczniemy**

go leczyć od razu. Przynieś lejek. Ile się tego daje?

**— Dla konia litr na raz — powiedział z powątpiewaniem. — Ale... —Zaczniemy
od tego.**

— mruknąłem. — Jeśli będzie trzeba, zwiększymy dawkę.

Właśnie, puszczając mimo uszu straszliwe groźby Bearfielda,

odkorkowywałem pierwszy

dzban, kiedy usłyszałem za piecami głos:

— Co wy, cholera, robicie w mojej budzie?

Odwróciłem się i zobaczyłem krzywonogiego pokurcza z długimi wąsami,

patrzącego na

mnie wytrzeszczonymi oczami.

**— Co znaczy „w twojej budzie” — zirytowałem się. — To jest dom mojego
przyjaciela,**

który nam go wynajął.

— Jesteś pijany albo nienormalny — on na to, szarpiąc się za wąsy. —

Zabieracie się stąd,

czy mam się zdenerwować?

**— Takiś groźny! — prychnąłem, zabierając mu rewolwer. Ale on wyciągnął nóż
„bowie”**

**— wyrzuciłam go więc za drzwi i dla ostrzeżenia strzeliłem parę razy w ziemię
koło niego.**

— Dorwę cię jeszcze, ty wielki prosiaku! — zawył, biegnąc do uwiązanej przy płocie

starej, kościstej chabety. — Jeszcze cię załatwię — obiecał, odjeżdżając galopem.

— Jak pan myśli, kto to był? — zastanawiał się nieco wstrząśnięty Lattimer, a ja mu na to:

— Jakie to ma znaczenie? Zapomnij pan o tym i pomóż mi dać lekarstwo kuzynowi Bearfieldowi.

Łatwo powiedzieć. Próbowaliśmy rozewrzeć oni szczęki, używając pogrzebacza jako

dźwigni — bezskutecznie. Na szczęście otworzył usta, żeby mnie przekląć i wtedy szybko

wpakowałem mu między zęby lejek. Zostawił na nim ślady zębów tak głębokie, jakby lejek

wpadł w pułapkę na niedźwiedzie.

Wierzał i kopał, póki nie waliśmy w niego całej porcji, a wtedy zesztyniał i oczy zaszły

mu mgłą. Kiedy zabraliśmy lejek, poruszał ustami bezgłośnie. Ale profesor powiedział, że

konie zawsze się tak zachowują, po dobrej dawce medykamentu.

Zostawiliśmy więc

Meshaka, żeby go pilnował, a Lattimer i ja wyszliśmy na chwilę, żeby ochłonać.

— Czemu Meshak nie wyprzągnął koni od dwukółki? — zapytałem.

— To chce pan, żebyśmy tu zostali na noc? — udał zdziwienie.

— Całą noc, cholera! — zakląłem. — Zostajecie to, póki on nie wyzdrowieje,

choćby to

miało trwać rok. Możliwe, że będziecie musieli przyrzadzić więcej tego

lekarstwa.

— To znaczy, że mamy się siłować z tym maniakem trzy razy dziennie? —

jęczał

Lattimer.

— Może, kiedy lekarstwo zacznie działać, trochę się uspokoi — pocieszyłem

go. Lattimer

wyglądał, jakby się dusił, ale w tej chwili z domku rozległ się ryk, od którego

nawet mi włosy

stanęły dęba. Kuzyn Bearfield odzyskał głos.

Zerwaliśmy się na równe nogi, a z domu wypadł Meshak z takim rozpędem, że

zderzył się

z Lattimerem i przerwrócił go. Tuż za nim pędziła małpa, piszcząc, jakby ktoś

jej podpalił

ogon.

— Och, Panie Wszechmocny! — szlochał Meshak, pędząc w stronę wysokiego

drzewa. —

Ten zwariowany człowiek rwie liny, jak nitki. On nas wszystkich pozabija! —

Zachowywał

się tak, jak zagoniony królik widząc zbliżającego się grzechotnika.

Wpadłem do chaty i zobaczyłem kuzyna Bearfielda tarzającego się po ziemi i
klnącego,

nawet jak na niego, zdumiewająco. Z przerażeniem zobaczyłem, że pozrywał
już część lin i

zdołał uwolnić sobie lewą rękę. Uchwyciłem ją, ale przez parę następnych
minut jedyne, co

mogłem zrobić, to trzymać się jej z całych sił, podczas gdy on rzucał mną po
całym

pomieszczeniu. W końcu zmęczyło go to i udało mi się go z powrotem związać.

Lattimer

wpadł do środka i odtańczył coś w rodzaju tańca węża.

— Meshak odjechał! — wrzeszczał. — Był tak przestraszony, że uciekł z małpą,
dwukólką

i wszystkim, co miałem. To wszystko twoja wina, ty człekokształtny mandrylu!

— pinił się

dalej.

Zbyt zdyszany, by z nim dyskutować, rzuciłem Bearfielda na jedno łóżko, a
sam ciężko

zwalilem się na drugie, podczas gdy profesor skakał, komentował i wyliczał,
ile mu jestem

winien za wózek i bagaże.

— Słuchaj — powiedziałem, odzyskawszy dech. — Wydałem wszystko, co
miałem, na

twój eliksir, ale kiedy Bearfield odzyska rozum, będzie ci tak wdzięczny, że na

pewno sam za

wszystko zapłaci. Zapomnij teraz o tak marnych rzeczach, jak pieniądze i

wykorzystaj swoją

naukową wiedzę, żeby przywrócić Bearfieldowi zdrowie.

— Zdrowie! — wydarł się Bearfield. — To po to wiążesz mnie tu jak baleron?

Wiele

świństwa wyżyciu piałem, ale nie śniło mi się, że coś może być tak ohydne, jak

to, czym żeście

mnie napoili. To paraliżuje człowieka. Rozwiążcie mnie, do diaska.

— Będiesz się zachowywał spokojnie? — zapytałem.

— Jasne — obiecał. — Jak tylko ozdobię twoimi kiszkami okoliczne drzewa.

— Wciąż agresywny — powiedziałem ze smutkiem. — Lepiej niech będzie

związany,

profesorze.

— Ale ja właśnie mam się żenić w High Horse! — zawył Bearfield i rzucił się w

więzach

tak, że aż spadł na ziemię. Sam był sobie winien i nie powinien był mnie

potem winić za to,

że walnął głową w podłogę i stracił przytomność.

— Dobra — powiedziałem. — Mamy przynajmniej parę minut spokoju. Pomóż

mi go

położyć z powrotem do łóżka:

— Co to? — stęknął profesor, podskakując nerwowo, kiedy z krzaków rozległ

się wystrzał

karabinowy i przez domek świsnęła kula.

— Prawdopodobnie Wąsaty — powiedziałem, dźwigając z ziemi kuzyna Bearfielda. —

Zdaje się, że widziałem u niego Winchestera. Słuchaj, robi się późno. Zobacz, czy w kuchni

jest coś do żarcia. Jestem głodny.

Profesor był strasznym niedojdą, ale udało mu się znaleźć i ugotować trochę fasoli z

boczkiem. Rozkazałem, by nakarmił Bearfielda, który ocknął się, poczuwszy zapach jedzenia.

Nie sądzę, żeby Lattimerowi smakowało, bo za każdym razem, kiedy w ścianę uderzała kula,

podskakiwał i krztusił się brudząc ściany. Wąsaty był uparty, ale strzelał z takiej odległości,

że nie mógł narobić szkód. Poza tym strzelał beznadziejnie. Wszystkie jego kule szły za

wysoko. Powiedziałem to profesorowi, ale mimo to był nieszczęśliwy.

Nie odważyłem się rozwiązać Bearfielda, musiał go więc karmić nożem Lattimer; któremu

tak trzęsły się ręce, że gorąca fasola spływała Bearfieldowi po szyi. Język, którym

przemawiał wówczas mój kuzyn, po prostu nie dawał się słuchać.

Kiedy skończyliśmy, było już zupełnie ciemno i Wąsaty przestał strzelać. Jak okazało się

później, skończyła mu się amunicja i pojechał na sąsiednią farmę pożyczyć trochę nabojów.

Bearfield przestał kląć, leżał tylko i patrzył na nas. Miał najstraszniejszy wyraz twarzy,

jaki kiedykolwiek widziałem u ludzkiej istoty. Lattimerowi zjeżyły się od, tego resztki włosów na głowie.

Bearfield wciąż walczył z więzami i musiałem je co chwilę poprawiać. Daliśmy mu więc

następną porcję, po czym Lattimer powłókł się do kuchni i zwałił pod stół, a ja sam czulem

się tak zmęczony, jak tylko może się zmęczyć Elkins.

Nie odważyłem się zasnąć, w obawie, że Bearfield oswobodzi się i zabije mnie, nim zdążę

się obudzić. Usiadłem na drugim łóżku i obserwowałem go. Po chwili usnął, a z kuchni

słychać też było chrapanie profesora.

Koło pomocy zapaliłem świecę. Bearfield obudził się i powiedział:

— Niech cię diabli, obudzilesz mnie z najślodszeo snu, jaki kiedykolwiek miałem. Śniło

mi się, że łowiłem rekiny na Bermudach.

— Co w tym słodkiego? — zdziwiłem się.

— Używałem ciebie jako przynęty. Hej, co ty robisz!?

— Czas na lekarstwo — powiedziałem i bitwa rozpętała się na nowo. Tym

razem udało

mu się chwycić zębami mój palec i niechybnie, by go odgryzł, gdybym nie
ogłuszył go

żelazną patelnią z boczkiem, Nim doszedł do siebie, miał już w sobie całą
porcję eliksiru.

Pomógł mi w tym Lattimer, który zbudził się, słysząc hałas.

— Ile to ma trwać? — spytał zrozpaczony. — Au!

To był Wąsaty. Tym razem podkradł się dość blisko chaty i pierwsza kula
przeczesła

włosy profesora.

— Jestem z natury cierpliwy, ale wszystko ma swoje granice — warknąłem,
zdmuchując

świecę i zrywając ze ściany dubeltówkę. — Zostań tu i uważaj na Bearfielda, a
ja zajmę się

Wąsatym.

Wymknąłem się z domku po przeciwległej stronie do tej, z której padł strzał i
zacząłem

skradać się naokoło przez krzaki. Księżyc wschodził. Wiedziałem, że potrafię
wykolować

Wąsatego. Każdy w Bear Creek by to potrafił. Oczywiście, z za kolejnej kępy
krzaków

zobaczyłem od tyłu Wąsatego, opartego o pień, celującego z Winchestera w
chatę.

Opróżniłem więc obie lufy w tylną część jego ciała, a on zawył i podskoczył na

z dumiewającą wysokość, po czym rzucił Winchestera i pomknął ścieżką na pomoc.

Tym razem postanowiłem go przegonić na dobre. Gonilem go więc, strzelając od czasu do

czasu, ale ta cholerna strzelba była nabijana drobnym śrutem, więc tylko takie naboje wziąłem

ze sobą. Nie widziałem dotąd, żeby biały tak szybko biegał. Wciąż nie mogłem dojść go

dostatecznie blisko, aż po jakimś kilometrze dał nura w zarośla i straciłem go z oczu.

No to zawróciłem do drogi i właśnie miałem wyjść z krzaków, kiedy usłyszałem zbliżające

się od pomocy konie. Zostałem więc w ukryciu i zaraz zza zakrętu wyjechało stępa kilku

ludzi. W ich rękach błyszczwały Winchestery.

— Cicho teraz — szeptał jeden z nich — to już blisko. Okrążymy ich, nim się kapną, co

jest grane. No, żywo chłopcy.

— Co to było, to przed chwilą? Ktoś strzelał — zaszeptał inny, nieco zdenerwowany.

— Może pobili się między sobą — zaczął inny. — Nieważne. Usadźmy tego drugiego,

nim zrozumie co się święci. Potem powiesimy Bucknera.

— Jak myślicie, po co go porwali? — wtrącił następny, ale nie czekałem już

dłużej.

Wstałem z za krzaka.

— Powiesić bezbronniego, bo was rozłożył w uczciwej walce? — zagrzmiałem i

wypalilem

po między nich z obu luf.

Stali tak blisko siebie, że na pewno nie chybiłem żadnego. Wrzeszczeli, że

przykro było

śłuchać. Konie przeraziły się hukem i błyskiem, zawróciły i cała banda pognęła

mimo woli z

powrotem. Strzelałem za nimi z pistoletów, ale nie odpowiedzieli i ich żalotne

jęki szybko

ucichły w oddali. To musieli być naprawdę twardzi faceci, nie?

Ale pomyślałem, że mogą wrócić. Usiadłem więc za krzakiem, z za którego

mogłem

obserwować drogę do Gallego. I, sam nie wiedząc, kiedy zasnęłem.

Obudziłem się o świcie. Poderwałem się i chwyciłem za broń, ale nikogo w

okolicy nie

było. Ci panowie z Gallego mieli najwyraźniej dosyć. Wróciłem więc do

chałupy i

zobaczyłem, że corral jest pusty, a mój wóz zniknął!

Biegając do chaty zobaczyłem przypięty do płotu list:

„Drogi panie Elkins:

Dla mnie już tego za wiele. Siwieję, siedząc i patrząc na tego wcielonego

diabła,

**zastanawiając się, ile mam czasu, nim on zdoła się rozwiązać. Zabieram się
stąd. Biorę wóz i
zaprzęg, jako zapłatę za to, co zabrał mi Meshak. Elik sir zostawiam, ale nie
sądzę, żeby
pomógł Bucknerowi. Jest dla napalonych zwierząt, nie dla obłąkanych
morderców.**

Szczerze panu oddany

Horacy J. Lattimer”

— Kurna — zakląłem, ruszając do chaty.

**Nie wiem, ile czasu zajęło Bearfieldowi wypłatanie się z więzów. W każdym
razie**

**czatował na mnie za drzwiami z żelazną patelnią w ręku i gdyby w chwili, gdy
zdzelił mnie**

nią przez głowę, nie złamała się rączka, mógłby mi zrobić krzywdę.

**Nie wiem też, jak udało mi się go poskromić, bo walczył jak obłąkany, z pianą
na ustach i**

za każdym razem, kiedy mi się wrywał chwycił dzban Uspokajającego

Eliksiru Lattimera i

**rozbijał mi go na głowie. Nim ogłuszyłem go nogą od stołu, rozbił już
wszystkie dzbany.**

Podłoga była zalana eliksirem, a moje ubranie było nim przesiąknięte tam,

gdzie nie było

przesiąknięte krwią.

Związałem go ponownie, po czym usiadłem na łóżku, usiłując złapać oddech i

zastanawiając się, co, do diabła teraz począć. Bo nie było już eliksiru, nie

mogłem go więc

leczyć, a skoro profesor zabrał wóz, nie było jak zawieźć go do cywilizacji.

Wtedy usłyszałem od zachodu gwizd pociągu i przypomniałem sobie, że

niedaleko stąd, na

południe są tory. Zrobiłem dla Bearfielda wszystko, co było w mojej mocy i

teraz mogłem

tylko odesłać go gdzieś, gdzie zaopiekują się nim inni.

Wyskoczyłem na dwór i gwizdnąłem na Kapitana Kidda, który wyleciał

natychmiast zza

narożnika domu, gdzie się na mnie zaczął i próbował zniecka kopnąć mnie

w brzuch, ale

nie dałem się. Zbyt wiele razy próbował mnie już skopać. Uskoczyłem i

walnąłem go pięścią

w chrapy, a potem osiodlałem, okiełznałem, przerzuciłem kuzyna Bearfielda

przez siodło i

poszedłem na południe.

Tą drogą musieli przedtem uciekać Meshak i Lattimer. Jakies pięć

kilometrów od chaty,

krzyżowała się ona z linią kolejową. Pociąg, który słyszałem przedtem gwizdał

w High

Horse. Kiedy nadszedł, pomachałem na niego. Zatrzymał się i załoga

wyskoczyła, pytając,

po co do cholery ich zatrzymuję.

— Jest tu ktoś, kto potrzebuje opieki lekarskiej — wyjaśniłem.

— To przypadek chwilowego pomieszania zmysłów. Odsyłam go z powrotem do Texasu.

— Zaraz — oni na to — my nie jedziemy do Texasu.

— Dobrze — burknąłem — wylądujcie go w Dodge City. Ma tam mnóstwo przyjaciół,

którzy się nim zajmą. Wyślę z High Horse wiadomość do jego rodziny w Texasie, żeby po

niego przyjechali.

Załadowali więc wciąż nieprzytomnego kuzyna Bearfielda, a ja dałem

konduktorowi jego

zegarek i rewolwer, jako opłatę za przejazd. Potem spokojnie poczłapałem do High Horse.

Dotarłszy tam, kogo spotkałem najpierw? Oczywiście, że Starego

Mulhollanda, który

zawył na mój widok jak głodny wilk.

— Gdzie żarcie, ty koniokradzie! — rzucił się na mnie, nim zdążyłem coś powiedzieć.

— Co, Lem Campbell wam go nie przywiózł? — zdziwiłem się.

— Nie znam nikogo takiego — ciskał się. — Gdzie moje pięćdziesiąt dolarów?

— Cóż — rzekłem — wyglądał uczciwie.

— Kto? — zawył Stary Mulholland. — Kto, ty szczurze?

— Lem Campbell, ten, komu dałem twoją forszę, żeby kupił żarcie — wyjaśniłem. —

Dobra, nie ma sprawy, odrobie te pięćdziesiąt dolców.

Stary Mulholland wyglądał, jakby się dusił.

— Gdzie... mój... wóz...?

— Ktoś go ukradł — powiedziałem. — Ale to też odrobie.

— Nie będziesz u mnie pracował — zapienił się Stary, wyciągając rewolwer. —

Jesteś

zwolniony. A co do forsy i wozu, wezmę za to twoją szczeciniastą skórę!

No więc zabrałem mu rewolwer i próbowałem z nim pogadać, ale krzyczał

tylko jeszcze

głośniej i zamierzył się na mnie nożem. Zawsze irytowało mnie, kiedy ktoś

próbował mnie

zadźgać, więc zabrałem mu go, a jego samego rzuciłem w koryto do pojenia

koni. Koryto

zweźzło się ku dołowi i w jakiś sposób jego głupi łeb zaklinował się tam, tak,

że facet zaczął

się topić.

Zebrał się tłum i wszyscy próbowali go stamtąd wyciągnąć za nogi, ale tak

nimi

wymachiwał w powietrzu, że kto tylko podszedł, zaraz dostawał ostrogą w

twarz. Podszedłem

więc do koryta, złapałem je za boki i rozerwałem. Wypadł i wypłuł pewnie z

pięć litrów

wody. I pierwsze, co powiedział, to oskarżył mnie, że umyślnie chciałem go

utopić, oto, jacy

ludzie są niewdzięczni.

Jeden z gapiów odezwał się:

— Bujda, ten duży nie zrobił tego wcale specjalnie. Byłem tu i widziałem wszystko.

Na to drugi:

— Widziałem to nie gorzej niż ty, ten duży chciał go utopić!

— Nazywasz mnie kłamcą? — powiedział pierwszy, sięgając po rewolwer.

Wtedy wtrącił się trzeci, mądrała:

— Nie wiem, o co idzie, ale stawiam dolara, że obaj nie macie racji!

Potem odezwało się jeszcze kilku, wszyscy zaczęli się przekrzykiwać: hałas zrobił się

ogłuszający. Ktoś sięgnął po broń. Pomyślałem, że jeśli zaczną do siebie strzelać, będą

kłopoty, ułagodziłem więc narwańca, bijąc go pięścią po głowie. W następnej chwili, ktoś

ryknął na mnie: „Ty skunksie!” i próbował uszkodzić mnie nożem. Za chwilę w całym

mieście wrzała bijatyka i strzelanina.

Kiedy skończyłem wychowywać tego awanturnika, kolbą mojego Colta, nagle zreflektowałem się: „Ejże, Breckinridge, przybyłeś przecież do tego miasta z misją dobrej

woli! Musisz troszczyć się o swoją biedną rodzinę.”

Ruszyłem w stronę stacji, kiedy zatrzymał mnie znajomy głos:

— Tam jest, szeryfie! Aresztujcie tego przekłętą włamywacza!

Obejrzałem się, a oto Wąsaty, od pasa w dół owinięty kocem jak Indianin i idący jak

kaczka, pokazywał palcem na mnie i darł się, jakbym mu zrobił coś złego.

Wszyscy ucichli, a on krzyczał:

— Aresztujcie go, niech go szlag! Wyrzucił mnie z mojego własnego domu i zniszczył mi

moje najlepsze spodnie z mojej własnej dubeltówki. Byłem w Knife River i wróciłem parę dni

wcześniej, niż zamierzałem, a tam, w mojej chacie siedzi ten skunks. Za duży był dla mnie, to

wróciłem do High Horse po szeryfa, a pod skórą miałem kilkaset ziarenek śrutu.

— Co masz do powiedzenia? — spytał szeryf niepewnie, jakby z jakichś przyczyn przestał lubić swój zawód.

— No co — odparłem — jasne, że wyrzuciłem tego palanta i naszpikowałem go śrutem,

ale miałem rację. Ten domek wynajął mi pan Lem Campbell...

— Lem Campbell! — zaskrzeczał Wąsaty, skacząc tak, że omal nie zgubił koca.

— Ten

powsinoga wcale nie ma domu. Pracował u mnie, póki go nie wylałem wyjeżdżając do Knife

River. Tego nicponia i lachmytę! Tfu! — splunął z obrzydzeniem.

— O matko — powiedziałem wstrząśnięty. — Czy nie ma już uczciwych ludzi na

świecie?

Zdaje się, że ktoś sobie ze mnie zakpił.

W tym momencie Wąsaty z cichym jękiem osunął się w ramiona swoich przyjaciół, a

szeryf powiedział do mnie:

— Nie bierz tego do siebie, ale muszę cię aresztować, jeśli nie masz nic przeciwko...

Nagle od wchodu dobiegł gwizd pociągu i ktoś powiedział:

— Co u diabła, nie powinno być o tej porze żadnego pociągu! Ze stacji wybiegł zawiadowca, wymachując depeszą.

— Zabierzcie krowy z torów! Dostałem cynk z Knife River — pociąg wraca.

Szaleniec o

nazwisku Buckner wy dostał się na wolność i zmusił ich do zawrócenia.

Wzdłuż całej linii

poszło polecenie otwarcia im przejazdu. Jada pełną parą. Nikt nie wie, dokąd

Buckner chce

jechać. Podobno szuka swojego krewniaka!

Z daleka słyhać było hałas i to nie były odgłosy pociągu. Nie, to był inny

dźwięk. Był mi,

jakby znajomy. Zacząłem się zastanawiać, co też stało się z załogą pociągu.

— Czy to nie Bearfield Buckner? — zastanawiała się jakaś kobieta. — Brzmi

całkiem jak

on. No, na Ann Wilkins już za późno.

— Co takiego? — zawylem. — Jest tu taka dziewczyna. Ann Wilkins?

— Była — przytaknęła kobieta. — Miała wczoraj wyjść za tego Bucknera, ale się nie

pokazał. Kiedy jej poprzedni narzeczony, Lem Campbell przyszedł do niej z pięćdziesięcioma

dolarami, które skądś wytrzasnął, zdecydowała się na niego. Pobrali się i wyjechali do San

Francisco na miodowy miesiąc... Co z tobą, młody człowieku? Jakoś pozieleniałeś. Co jadłeś ostatnio?

Nic nie jadłem. Myślałem. Oto zniszczyłem całą przyszłość kuzyna Bearfielda.

I to z

dobroci. Byłem jak rażony gromem. Przez dobroć zniszczyłem przyszłość kuzyna Bearfielda.

Moje intencje, były, jak najlepsze, chciałem uratować go, przed dalszym staczaniem się w

obłąd. I co dostałem w nagrodę? Podniosłem oczy, zobaczyłem dym i

usłyszałem ryk, jakby

stada spłoszonego bydła.

— Już jada, jada! — darł się ktoś. — Grzeją, aż miło. Słuchajcie tego gwizdu, mało nie

wysadzą kotła!

Ale ja siedziałem już na Kapitanie Kidzie i oddalałem się w szybkim tempie.

Ci, którzy

mówią, że boję się Bearfielda, kłamią. Elkins nie boi się nikogo: ani

drapieżnych zwierząt, ani

Bucknera. Ale zobaczyłem, że Lem Campbell wykorzystał mnie, żeby usunąć

Bearfielda ze

swojej drogi i gdybym tam na mojego kuzyna wtedy zaczekał, to musiałbym go

zabić albo

samemu zginąć, a nie chciałem żadnej z tych rzeczy.

Odjechałem na południe, żeby uratować Bearfieldowi życie i zatrzymałem się

dopiero w

Durango. Rewolucja, w którą się tam wplątałem, była wypoczynkiem po

moich ostatnich

kontaktach z kuzynem Bearfieldem.